

PROF. RYSZARD SZARFENBERG
JAK SOCJAŁ WYGRAŁ Z POLITYKAMI

HOŁOWNIA,
CZYLI HARAKIRI

DR JACEK DĘBIEC
SNUSY, SASZETKI, UŻYWKI
W POLITYCE

OBŁAWA AUGUSTOWSKA
– NIEDOKOŃCZONA
TRAGEDIA

MITOMAN i INKWIZYTOR



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



Sławomir Cenckiewicz, szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego



Dzień Dawcy szpiku w Twoim miejscu pracy

Twoje miejsce pracy może stać się początkiem czyjejs szczęśliwej historii – zorganizuj Dzień Dawcy szpiku w swojej firmie!

Z Fundacją DKMS to proste!

- Profesjonalne wsparcie organizacyjne
- Rejestracja pracowników w biurze – szybko i sprawnie
- Możliwość rejestracji online – w kilka minut, z dowolnego miejsca



Zeskanuj QR kod
i dowiedz się więcej

Wspólnie możemy podarować komuś szansę na dalsze życie!



Jerzy Domański MÓJ PRZEGLĄD

Schadzka kombinatorów

Koalicja. Słowo, które sieje popłoch nawet wśród najbardziej przebiegłych polityków. Zawodową chorobą koalicjantów jest bezsenność. Bo nie znają dnia ani godziny, kiedy partner polityczny wykręci im jakiś paskudny numer. Koalicja to takie porozumienie polityków, które od pierwszego dnia prowadzi do rozwodu. A skoro taki ma być finał, to trzeba cały czas zbierać haki, które mogą się przydać na wypadek konfliktu wewnątrz koalicji.

W wielu krajach Unii Europejskiej od dawna nie da się zmontować rządu bez porozumienia kilku partii. Tamtejsze elity miały więc czas na wypracowanie reguł, których wszyscy muszą przestrzegać, żeby przeżyć. W Polsce też mieliśmy już takie porozumienia. Z różnymi rezultatami, mimo że dotyczyły tylko dwóch partii. Od półtora roku mamy koalicję czterech partii, a jakby pogrzebać, to jest ich tam więcej. Co w oczywisty sposób musi komplikować sterowanie takim organizmem. Zmniejsza się skuteczność rządu, a zwiększają spory. Często ambicjonalne o drobiazgi.

Koalicja 15 Października to zbiór partii mających nawet w niektórych kluczowych sprawach odrębne programy. Co więc je łączy? Bardzo krytyczny stosunek do partii Kaczyńskiego i Ziobry. To silna więź, na której przy dobrej woli i założeniu, że niezbędne są kompromisy, można sporo zbudować. Mają przecież wystarczająco

dużo kompetentnych ludzi, by w szybkim tempie i konsekwentnie rozwiązywać te problemy, które najbardziej dotyczą ich wyborców.

By ta koalicja, sklejona decyzją wyborców, mogła maszerować w uzgodnionym kierunku, musi mieć mądrych liderów. I w podstawowych sprawach powinno panować w niej zaufanie. Bo to jeden z fundamentów naszych relacji z ludźmi. W polityce też, choć tam jest to pojęcie bardziej rozciągnięte.

Jednak nie aż tak, by koalicjanci przeszli do porządku dziennego nad nocną schadzką marszałka Hołowni z prezesem Kaczyńskim w prywatnym mieszkaniu Bielana. Tego nie da się obronić. O wiarygodności Hołowni możemy już mówić w czasie przeszłym. Wielkie ambicje i spore umiejętności retoryczne nie składają się jeszcze na figurę męża stanu, za którego Hołownia bardzo chce uchodzić. Nie jest też prawdą, że marszałek Sejmu musi przełamywać bariery i rozmawiać z każdym. Przecież w parlamencie jest coraz więcej osób z zarzutami kryminalnymi. I co? Warto do nich jeździć na kolacyjki i pogaduchy? Bielana ma takie zarzuty, a razem z Kamińskim stanowią obrzydliwy duet zawodowych kombinatorów, którzy nie mogą żyć, jak nie knują. Może właśnie ta umiejętność zafascynowała marszałka, który też kombinuje. We własnym interesie.

BAKOWSKI



W NUMERZE

KRAJ

- 8 **Hołownia, czyli harakiri**
Polska 2050 – partia niepotrzebna
- 10 **Mitoman bezpieczeństwa narodowego**
Czy Cenckiewicz rozpęta wojnę z rządem?
- 14 **Jak socjal wygrał z politykami**
– rozmowa
z prof. Ryszardem Szarfenbergiem
- 18 **Moloch do likwidacji**
Idzie nowe w Wodach Polskich
- 22 **Kraj drogowych zabójców**
Wszystkie winy polskich kierowców
- 25 **Ludzie przychodzili
po kryminały i „ceramy”**
Księgarnia w Kluczach

PSYCHOLOGIA

- 28 **Snusy, saszetki i używki w polityce**
– rozmowa z dr. Jackiem Dębciem

HISTORIA

- 32 **Tragedia niedokończona**
Prawda o obławie augustowskiej
- 35 **Dziesiąta rocznica śmierci
kpt. Antoniego Jabłońskiego**
– zdobywcy Berlina

SPORT

- 36 **Polska nie chce fiolków**
Trenerski polskocentryzm Kuleszy

ZAGRANICA

- 38 **Supermax zamiast reformy więziennictwa**
Francja chce znów zsyłać przestępców
- 40 **Naturalna broń Iranu?**
Strategiczna cieśnina Ormuz

OBSERWACJE

- 44 **Jasnowidz i piętnastu sprawiedliwych**
Raz uniewinnienie, raz dożywocie
- 48 **Więcej niż trunek**
Południe Europy smakuje anyżkiem
- 56 **1955 – dwa tygodnie radości**
V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów

KULTURA

- 52 **Seksmisja, czyli Kingsajz ma znaczenie**
Kultowe filmy Machulskiego
- 58 **Culturalia**
- 66 **„Rytuály ukryte”** Ewy Stawiarskiej

ZWIERZĘTA

- 59 **Król podziemia**
Sekrety borsuczej nory

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 **Jerzy Domański**
Schadzka kombinatorów
- 13 **Jan Widacki**
Ruch Obrony Granic Rozsądku
– pilnie potrzebny
- 21 **Andrzej Szahaj**
Ponad podziałami
- 43 **Roman Kurkiewicz**
Co by tu jeszcze obronić, panowie?
- 47 **Tomasz Jastrun**
Neandertalczycy na granicy
- 51 **Wojciech Kuczok**
Skale obrzydliwości



52

KULTURA

SEKSMISJA, CZYLI KINGSAJZ MA ZNACZENIE

Kultowe filmy Machulskiego



56

OBSERWACJE

1955 – DWA TYGODNIE RADOŚCI

V Światowy Festiwal
Młodzieży i Studentów

59

ZWIERZĘTA



KRÓL PODZIEMIA

Sekrety borsuczej nory

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. PAP/TOMASZ GZELL



f 11 lipca Dzień Pamięci o Polakach – Ofiarach Ludobójstwa na Wołyniu



Fatalne rządy tzw. sanacji z lat 30. XX w., niesprawiedliwe i zwyczajnie upokarzające mniejszości narodowe na obszarze II RP, nie mogą stanowić usprawiedliwienia dla ludobójczych czystek dokonanych m.in. na Polakach przez ukraińskich szowinistów. Ukraina musi stanąć w prawdzie, uczciwie podejść do ekshumacji polskich obywateli, których szczątki spoczywają w lasach czy bezimiennych dołach. Dziwię się instytucjom Unii Europejskiej, które milczą na ten temat. Potem mamy wielkie zdziwienie, że Rosja gra tragedią, próbując jeszcze bardziej skonfliktować Polaków i Ukraińców, i tak poróżnionych w kwestii historii.

Damian Paweł Strączyk

To jak to jest? Na Ukrainie 100 pomników Bandery w 100 miejscowościach, setki ulic, uczelni, parków i szkół noszą imię Bandery lub Szuchewycza. W Odessie w biały dzień w ciągu kilku godzin młodzież ukraińska spaliła 48 Rosjan, w tym kobietę w siódmym miesiącu ciąży... Czy to była młodzież patriotyczna, czy faszystowska? Przez osiem lat w zbuntowanych separatystycznych regionach Doniecka i Ługańska (zanim wkroczyła tam armia rosyjska, by bronić swoich rodaków) ktoś zabił 14 tys. Rosjan. Kto ich zabił? Czy wojsko wysłane przeciw separatystom przez Poroszenkę i Zelenskigo było patriotyczne, czy faszystowskie? O co się toczy ta III wojna światowa między dwoma słowiańskimi narodami, dlaczego czynnie uczestniczą w niej 32 państwa NATO?

Bogdan Jachacz

f Austriackie ugory niepamięci

Zazwyczaj okazuje się, że dziadzius jednego lub drugiego był tylko szefem kuchni polowej. A że w Leibstandarte SS Adolf Hitler? No cóż, taki dostał przydział, wiadomo, wojsko. To, że otrzymał od Führera Krzyż Żelazny z liśćmi dębowymi i diamentami, to tylko dlatego, że tak smacznie gotował. A wcale nie za pacyfikację 20 polskich wiosek ani za rozstrzelanie oddziału Amerykanów, którzy się poddali w Ardenach.

Marek Utkin



f Bliski Wschód — te problemy do nas przyjdą

Pan ambasador Płomiński przedstawił w wywiadzie wiele spraw, które miały miejsce na Bliskim Wschodzie, a ingerencja krajów zachodnich nie podlega żadnej dyskusji. Obecnie na Bliskim Wschodzie tylko Iran pozostał na innej płaszczyźnie politycznej i gospodarczej. Jest członkiem BRICS+, a to dla Zachodu mało akceptowalne. Izrael rozpoczął wojnę z Iranem za zgodą USA, co do tego nie może być żadnych wątpliwości. Chodziło nie o program nuklearny, tylko o uderzenie w Chiny, które kupują irańską ropę. Izrael tym razem wpadł w solidną pułapkę, chociaż początek był korzystny. Irański ostrzał raketowy doprowadził Izrael na skraj upadku. Straty są ogromne, dlatego, aby ocalić Izrael, Trump zaproponował rozejm. W ten sposób uratował premierowi Izraela cztery litery. Bombardowania ośrodków w Iranie niczego wielkiego nie dały, a teraz Iran jeszcze wyżej podniósł poprzeczkę. Chiny, Rosja stoją za Iranem, co jest zrozumiałe. Ale czy dalsza eskalacja nastąpi? To raczej mało prawdopodobne.

Andrzej Kościański



ZDJĘCIE TYGODNIA



Historyczna chwila dla polskiego tenisa – Iga Świątek w finale Wimbledonu. Do tej pory Polka triumfowała cztery razy we French Open i raz w US Open.

W raporcie NIK została opisana **afra spółki windykacyjnej GetBack**, która wybuchła w 2018 r. i doprowadziła ponad 9 tys. klientów, którzy wykupili obligacje tej spółki, do **straty 3,14 mld zł**. Za jedną z największych afier finansowych III RP odpowiedzialność ponoszą Komisja Nadzoru Finansowego, służby specjalne, prokuratura i sąd. Zawiadomienia o podejrzeniu popełnienia przestępstwa obejmują **ponad 20 urzędników państwowych, w tym Morawieckiego i Świączkowskiego**.

Oleksandr Alfiorow, historyk, dziennikarz, major rezerwy, został powołany na nowego **szeфа Ukraińskiego IPN**. Był oficerem 3. brygady szturmowej wywodzącej się z Pułku „Azow”, relatywizował rolę ukraińskiej Waffen SS-Galizien pracującej dla III Rzeszy. Dowódcę UPA Romana Szuchewycza uważa za jednego z najważniejszych bohaterów Ukrainy. W wywiadzie dla „Ukraińskiej Prawdy” sugerował, że historycznie Ukraina mogłaby obejmować m.in. Podlasie i Chełmszczyznę.

Pieniądze państwowe, czyli niczyje – tak działa nowojorski oddział Instytutu Pileckiego. Tydzień przed utratą władzy przez PiS zawarto umowę najmu na ponad 3 tys. m kw. w prestiżowym miejscu w Nowym Jorku. W ciągu półtora roku miała być otwarta wystawa o rotmistrzu, ale nie wywiązano się z tego, mimo klauzuli o karach za nieuruchomienie

placówki w terminie i podwyżce czynszu, który i tak jest znaczny: ponad 1,66 mln dol. rocznie z podwyżką o 2,5% co roku przez 15 lat („Rzeczpospolita”).

Przewodniczącą Rady Programowej TVP została Barbara Bilińska, w przeszłości m.in. wicedyrektorka TVP 2, dyrektorka biura handlu TVP, szefowa kanałów Discovery Networks na Europę Środkową. Jej **zastępcami zostali Wanda Nadobnik**, wieloletnia szefowa publicystyki międzynarodowej w TVP, współautorka programu „7 Dni – świat”, oraz nasz redakcyjny kolega **Robert Walenciak**.

Słuchalność Programu I Polskiego Radia w badaniu Radio Track w okresie luty-kwiecień była najniższa w historii badania i wyniosła 3,7% (spadek z 4,4%). Tok FM spadło w tym czasie z 3,2% do 2,3%. Najwięcej słuchaczy ma RMF FM – 30,2%.

Kupiony w 2017 r. dla CBA **system Pegasus** został w latach 2017-2022 **użyty wobec 578 osób**. Pod koniec 2021 r. izraelski producent programu odebrał Polsce licencję na jego używanie.

Prawie **499 tys. osób** siedziało w 2023 r. w więzieniach na terenie Unii Europejskiej. Na 100 tys. mieszkańców UE przypada 111 więźniów. Na czele jest Polska z 203 więźniami na 100 tys. mieszkańców. W Finlandii jest ich 53, w Holandii 66, a w Słowenii 68 (Eurostat).

W nr. 28/1331 „Przeglądu” w Przeglądzie Tygodniowym na s. 6 zapis dotyczący gen. Michała Strzeleckiego powinien mieć następujące brzmienie: Gen. bryg. Michał Strzelecki został decyzją ministra Kosiniaka-Kamysza nowym dowódcą Wojsk Specjalnych.

W informacji o kontroli na granicach z Niemcami i Litwą ostatnie zdanie powinno brzmieć: I to wszystko, gdy liczba nielegalnie przebywających w Unii migrantów spadła w 2024 r. o 38%.

PRZEBŁYSKI

Duda Wieszatiel

Taki był milutki. Gładko uczesany prymusik gładko wygłaszający frazesy. Mimo to Kaczyński przez cztery lata nie miał z Dudą kontaktu. Żli ludzie plotkują, że to z powodu bratanicy, ale kto by im wierzył? Na koniec urzędowania mógłby Duda choć trochę naprawić to, co zepsuł. Wiele osobiście, a jeszcze więcej, tolerując działania i podpisując ustawy przygotowane przez Ziobrę i jego pomagierów. Zamiast naprawy lub choćby skruchy Duda wybrał atak. Na kogo? Na sponiewieranych przez siebie sędziów. Mówi o nich językiem, którego używa jego otoczenie: spóta, koryto, zdrada. Sędziom grozi, że jak się nie opamiętają, to zostaną wyrzuceni bez prawa do stanu spoczynku. A może ich spotkać coś jeszcze gorszego, bo „dawno nikogo nie powieszono za zdradę”. Czyżby Duda znalazł sobie zajęcie po prezydenturze? Szykujcie mu katowskie wdzianko.



Prezydent podważalny

Do tych, którzy opisują Karola Nawrockiego jako „prezydenta domniemanego”, dołączył prof. Marcin Matczak z określeniem „prezydent podważalny”. Dlaczego tak? Bo może się zdarzyć, że umocowanie Nawrockiego do sprawowania urzędu zostanie podważone. Na przykład gdy Trybunał Konstytucyjny zacznie działać w nowym składzie i uzna, że Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych nie jest sądem, gdyż została powołana na podstawie wadliwych przepisów. Co będzie wówczas z jej decyzją w sprawie wyboru Nawrockiego? I co z późniejszymi decyzjami eksboksera prezydenta?

Magnat Sakiewicz

Skoro Telewizja Republika umacnia się na rynku, warto wiedzieć, kto jest jej właścicielem. W akcjonariacie spółki trzykrotnie widzimy Tomasza Sakiewicza. Po raz pierwszy w Stowie Niezależnym, które ma w Republice 23,2% akcji. Wspólnikiem tej spółki jest oprócz Sakiewicza spółka Srebrna (PiS). Po raz drugi Sakiewicz jest wspólnikiem w Niezależnym Wydawnictwie Polskim, które ma w Republice 20,8% udziałów, a jest wydawcą „Gazety Polskiej”. A trzeci raz jako osoba fizyczna Sakiewicz w Telewizji Republika ma 16,1% udziałów. Pozostali akcjonariusze Republiki to przy nim drobni. Pod boki Kaczyńskiego Sakiewicz wyrósł więc na magnata medialnego. Teraz chętnie by zastąpił prezesa.





PYTANIE TYGODNIA | Czy Polacy potrafią śmiać się z siebie?

DR MAŁGORZATA OSOWIECKA-SZCZYGIEL,

psycholożka z Wydziału Psychologii w Sopocie USWPS

Coraz częściej tak – zwłaszcza młodzi ludzie często dystansują się od naszego typowego narzekania i szukają narodowych przywar, śmieją się z charakterystycznego sposobu życia czy tworzą komiczne memy o życiu w Polsce. Śmiejemy się z tego, co nam nie pasuje, jest dla nas dziwne czy niechciane (np. ceny w sklepach), ale też z tego, co sami robimy (np. parawany na plaży). Warto pamiętać, że humor jest jednym z najzdrowszych mechanizmów obronnych i jak nic innego uczy dystansu, potrafi łączyć i bywa początkiem rozmowy, wyzwala pozytywne emocje i sprzyja uwolnieniu tych negatywnych. Polacy – jak każdy inny naród – potrzebują więc uśmiechu, a nieraz nawet wyszydzenia czegoś czy totalnego obśmiania rzeczywistości.

KRZYSZTOF DAUKSZEWICZ,
satyryk, publicysta

Proszę mnie pytać o wszystko, tylko nie o to, czy mamy poczucie humoru na własny temat. Nas bawi wyłącznie robienie karykatury z Polski.

MIROSLAW PAWŁOWSKI,
dyrektor Biblioteki Publicznej im. Juliana Ursyna Niemcewicza w Dzielnicy Ursynów m.st. Warszawy

Podobno najlepsze poczucie humoru na własny temat mają Szkoci i Czesi, ale nie wiem, czy to prawda. Ja lubię poczucie humoru Woody'ego Allena. Jego humor jest błyskotliwy, pełen ironii i jednowierszowych puent o człowieku. A czy my, Polacy, potrafimy śmiać się z siebie? Oglądając wypełnione amfiteatry i sale koncertowe na kabaretach, mogę powiedzieć, że kochamy dowcipy o sobie, lecz czasami mam wrażenie, że odbieramy je raczej ogólnie, czyli dowcip nie mówi o mnie, tylko o sąsiadach – i dlatego

mnie śmiesz. Autoironia to już wyższy stopień poczucia humoru, bo wymaga dystansu, którego niestety nieraz nam brakuje. Żarty stają się mniej subtelne i to niestety problem, bo rubasność nie jest czasami najwyższych lotów. Nie narzekajmy jednak – niech każdego śmiesz to, co śmiesz, bo śmiech to zdrowie.

PROF. JACEK WÓDZ,
socjolog

Powiedziałbym, że raczej nie. Istnieje jednak pewien typ humoru, który nas bawi. Śmiejemy się z przywar osób powszechnie znanych. Jesteśmy narodem z kompleksami, więc bardzo nie lubimy, jak ktoś się wyróżnia, np. jest w czymś lepszy. A jeśli ktoś zajmuje bardzo eksponowaną pozycję, cieszymy się, kiedy możemy się pośmiać z jego potknięć i wpadek. Natomiast nie lubimy śmiać się z własnych wad.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

Hołownia, czyli harakiri

Polska 2050 rozsypuje się na naszych oczach. A koalicja?

Robert Walenciak

Wybory prezydenckie, ich wynik i cała otoczka polityczna – to wszystko zmieniło polską politykę. Przegrana Trzaskowskiego wepchnęła obóz rządzący w stan zapaści. Jego liderzy sprawiają wrażenie, jakby wciąż nie wyszli z szoku. A my na to patrzymy.

I oto zobaczyliśmy, jak marszałek Sejmu Szymon Hołownia właśnie popełnił polityczne harakiri. On i jego partia. Bo został złapany, jak zajeżdżał do domu europościa PiS Adama Bielana, by po nocy knuć z Jarosławem Kaczyńskim.

Widzimy też, jak Donald Tusk się szarpie i przekłada rekonstrukcję rządu. W zasadzie pozostaje tylko jedno pytanie: czy koalicja ma szansę wywinąć się z kłopotów, czy to już równia pochyła?

Zacznijmy od Hołowni. Sam się przyznał, że dwukrotnie spotykał się z Kaczyńskim w mieszkaniu Bielana późną nocą. O czym rozmawiali? To również wiemy – o rządzie technicznym, którego Hołownia mógłby być premierem, o przedłużeniu jego marszałkowania, o zwołaniu Zgromadzenia Narodowego, które ma przyjąć prezydencką przysięgę Karola Nawrockiego. Plus polityczne ploteczki.

Tak naprawdę to, o czym Hołownia z Kaczyńskim rozmawiał, co ustalał, nie ma już wielkiego znaczenia – samo spotkanie zmieniło układ sił.

Hołownia, zanim wyszły na jaw nocne konszachty z PiS, już był politykiem mocno poobijanym. Jego wynik wyborczy – 4,99% poparcia w pierwszej rundzie – pokazał, że wpływy lidera Polski 2050 są gasnące. Wnioski z tego szybko wyciągnęło PSL, które przyjęło uchwałę o zakończeniu współpracy z partią Hołowni. Ta została więc sama na scenie politycznej, bez struktur i bez

sojuszników. Także bez szans na samodzielne wejście do Sejmu, bo w sondażach nie przekracza 5%.

Nocne spotkanie z Kaczyńskim było dla tej resztki wyborców Hołowni potężnym ciosem. Szedł on bowiem do polityki jako człowiek czysty, prostolinijny. To się podobało, w wyborach w 2020 r. w pierwszej turze uzyskał 13,87% poparcia. Ten kapitał pozwolił mu przetrwać do 2023 r., zawrzeć koalicję z PSL i wprowadzić do Sejmu 31 postów. Ale półtora roku marszałkowania i różnych zwrotów oraz nieudane tegoroczne wybory mocno nadszarpnęły jego pozycję. A knucie z Kaczyńskim, w tajemnicy nawet przed najbliższymi współpracownikami, ostatecznie ją zrujnowały.

Nie ma bowiem dziś powodu, by głosować na Hołownię i jego partię, gdyż nie wiadomo, co ją wyróżnia. Nie wiadomo, czego chce (poza stanowiskami), w oczach wyborców jest ugrupowaniem niepotrzebnym.

Polska 2050 została sama na scenie politycznej, bez struktur i bez sojuszników, bez szans na samodzielne wejście do Sejmu.

A Hołownia z idealisty przestoczył się w krętacza i intryganta. Gdy ujawnione zostały jego nocne kontakty z Kaczyńskim, pojawiła się teoria, że może to być wstęp do jakiegoś odwrócenia sojuszy, do wyjścia Polski 2050 z koalicji.

Szybko jednak się okazało, że to strachy na lachy. Politycy Polski 2050, postawieni wobec wyboru: lojalność wobec Hołowni czy stanowisko, zaczęli wybierać to drugie. Dziś zatem Hołownia nie ma ani twarzy, ani wyborców, ani partii, która jest zbiorem kilkudziesięciu ludzi grających na siebie.

Mogliśmy o tym się przekonać podczas środowego głosowania

nad nowelizacją ustawy zwiększającej wydatki budżetowe na budownictwo społeczne. Ta ustawa to oczko w głowie Lewicy, pilotował ją zresztą jej przedstawiciel w Ministerstwie Rozwoju i Technologii, wiceminister Tomasz Lewandowski. Zakłada ona rozbudowę Funduszu Dopląt, który wspiera budownictwo społeczne. Do 2030 r. fundusz ma otrzymać nawet 10 mld zł. Środki te mają zostać przeznaczone m.in. na rewitalizację ok. 75 tys. pustostanów. Lokale te w dużym stopniu zaspokoiłyby istniejący głód mieszkaniowy. A że byłyby uderzeniem w lobby deweloperów – to osobna sprawa.

Lewicy udało się przekonać koalicjantów i w środę głosowano nad ustawą. I zupełnie niespodziewanie została do niej wepchnięta poprawka, która pozwala na to, by mieszkania komunalne będące w zasobie społecznych inicjatyw mieszkaniowych (SIM) mogły być kupowane! Ich lokatorzy po 15 latach

użytkowania będą mogli je wykupić na własność. Poprawka przyjęta została głosami PiS, Konfederacji i Polski 2050. Ta poprawka to cios w ideę budownictwa społecznego. Bo oznacza w perspektywie lat, że w jednym budynku będą lokale komunalne i własnościowe i że miasto będzie systematycznie mieszkania tracić. Bo je wynajmie, a potem najemca je sobie wykupi. Po co więc budować na wynajem?

Parę tygodni temu królowały w mediach informacje o kawalerce, którą wykupił z rąk Jerzego Ż. Karol Nawrocki. Cała sprawa była przekrętem – Jerzy Ż. wykupił kawalerkę od miasta Gdańska za 10% wartości, za pieniądze Nawrockiego. A potem

Pierwsze posiedzenie Sejmu X kadencji.
Nz. prezes PiS Jarosław Kaczyński
z marszałkiem Sejmu Szymonem Hołownią.



i tak przejął ją Nawrocki, już za nią nie płacąc. Jerzy Ż. trafił zaś do domu opieki.

System, w którym mieszkanie komunalne zawsze będzie komunalne, te patologie eliminuje. Tymczasem poprawka PiS, Konfederacji i Polski 2050 otwiera dla nich furtkę.

Można to tłumaczyć. Nie tylko tym, że zadziałało lobby deweloperów. Dla Konfederacji wszystko, co komunalne i społeczne, brzydko pachnie. Oni chcą tylko własności prywatnej. PiS z kolei dało się poznać jako partia o lepkich rękach – ewidentnie wyczuli, że może to być jakaś okazja. A Polska 2050, jak widzimy, zapisała się do tego kręgu kulturowego. Można więc powiedzieć, że z partii koalicyjnej przekształca się w partię transakcyjną.

Co to oznacza dla koalicji i premiera? Ruch Polski 2050 ewidentnie zdenierował Tuska. „Jeśli to był kolejny moment podkreślenia dystansu do własnej koalicji ze strony Polski 2050, to powiedziałbym, że to jest niemądre”, komentował.

Idźmy dalej – czy głosowanie nad ustawą mieszkaniową oznacza, że koalicja jest rozchwiana i w zasadzie nie wiadomo, czy jeszcze istnieje, czy już nie? Tego dowiemy się w najbliższych dniach. Bo na razie wiemy,

Hołownia nie ma ani twarzy, ani wyborców, ani partii, która jest zbiorem kilkudziesięciu ludzi grających na siebie.

że tworzy się na nowo – tak trzeba czytać opowieści o jej rekonstrukcji. Co z tego będzie? Może nie być nic... Pamiętajmy, Jarosław Kaczyński, gdy tworzył rząd Zjednoczonej Prawicy, też w wielu sprawach miał związane ręce, do Zbigniewa Ziobry pisał listy, Jarosława Gowina usunął dopiero za którymś razem...

W przypadku obecnej koalicji siła poszczególnych jej członków jest większa. Każda jej część będzie więc próbowała znaleźć swoje miejsce na najbliższe miesiące. Na razie pewne jest jedno: wszyscy potrzebują oddechu. Platforma – po przegranej Trzaskowskiego musi wyciągnąć wnioski i zbudować nową hierarchię. Zresztą to zapowiada – ma się łączyć z Inicjatywą Polska Barbary Nowackiej i Nowoczesną. Tusk, o którym wszyscy mówią, że wszedł na ścieżkę Leszka Millera, będzie chciał odwrócić los. Polska 2050 – musi zdecydować o swojej przyszłości. PSL – na nowo się ułożyć po rozdzieleniu z Hołownią. Lewica – znaleźć swoje miejsce między Platformą a Zandbergiem.

A PiS już szykuje się do przejęcia rządów, Nawrocki do ataków na

Tuska, Konfederacja zaś chce przejąć rząd dusz. Najbliższe tygodnie zdecydują więc, jaki kształt przybierze polska polityka.

Paradoksalnie nieszczęścia mogą się stać okazjami. W minionym tygodniu przez media przetoczyły się informacje o nadchodzących burzach, podtopieniach itp. W związku z tym mogliśmy zobaczyć Donalda Tuska i Tomasza Siemoniaka na czele różnych sztabów jako dowódców. Dla jednych była to oznaka, że państwo jest silne i chce działać. Dla drugich – PR-owa gra. Istotne było co innego – w dzisiejszych czasach wyborcy chcą widzieć liderów w roli osób sprawczych, podejmujących decyzje, wygrywających. I to jest jakaś odpowiedź dla Tuska.

Z kolei Lewica zyskała na nieszczęsnym głosowaniu Polski 2050 nad ustawą mieszkaniową i na

kłopotach Hołowni. Jego kłopoty ją wzmacniają w ramach koalicji. A ustawa mieszkaniowa? To oczywiście, że dla większości Polaków pomysłem z wykupywaniem, który przegłosowała Polska 2050 razem z PiS i Konfederacją, jest nie do zaakceptowania. To przecież zaproszenie do korupcji, do skandali, które przypomniatła sprawa kawalerki Jerzego Ż. Mamy zatem lex Nawrocki!

Lewica miała w minionych miesiącach wielkie problemy z tym, by sprawy, które udało się jej przeforsować, były głośne, aby media o nich mówiły. W tym przypadku gwiazdka spadła z nieba – jest głośna sprawa, na dodatek sympatia społeczna powinna być po stronie Lewicy. Spodziewajmy się więc batalii w Senacie o konieczne poprawki. A potem kolejnej batalii w Sejmie.

Oto polska polityka. Determinują ją wielkie tendencje, fale społeczne, które trzeba wyczuć i na nich płynąć. Ale także bieżące wydarzenia, okazje, które co chwila się pojawiają. Piłka więc w grze.

r.walenciak@tygodnikprzeklad.pl

Mitoman bezpieczeństwa narodowego

Sławomir Cenckiewicz jako szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego rozpęta wojnę totalną z rządem

Andrzej Sikorski

„Będzie to wojna, w której najdzielniej będą bili się królowie, ale ginąć będą zwykli ludzie. My wszyscy stracimy na tym konflikcie rządu z prezydentem, bo sparaliżowana zostanie machina państwowa. Po wyborach i jeszcze w trakcie kampanii moja hipoteza była taka, że Jarosław Kaczyński będzie chciał uczynić z Kancelarii Prezydenta i z urzędu głowy państwa bastion, z którego będzie wyprowadzany szturm na demokratyczną większość rządzącą. Nominacja Cenckiewicza jasno wskazuje, że nie można mieć co do tego już wątpliwości”, stwierdził w rozmowie z „Faktem” prof. Tomasz Nałęcz.

Trudno się nie zgodzić z profesorem. Nigdy dotąd w najnowszej historii Polski nie zdarzyło się, aby tak ważną dla bezpieczeństwa kraju funkcję pełniła osoba bez kompetencji, zacietrzewiona politycznie, gotowa dla własnych interesów Polskę podpałić. Człowiek, nad którym nikt nie będzie sprawował kontroli. Razem z chuliganem stadionowym szczyjącym się stosowaniem przemocy stworzą niebezpieczny duet. Cenckiewicz jest z wykształcenia historykiem specjalizującym się w lustracji i w szczuciu na zasłużone osoby. Nigdy nie zajmował się obronnością, polityką międzynarodową ani szeroko pojętym bezpieczeństwem.

Likwidator WSI

W 2006 r. Antoni Macierewicz uderzył w polską armię, niszcząc wywiad i kontrwywiad wojskowy. A Cenckiewicza, wówczas



Prezentacja w MON odtajnionych dokumentów na temat stanu wojennego. Nz. Antoni Macierewicz, Sławomir Cenckiewicz i Bartłomiej Misiewicz, 13 grudnia 2016 r.

35-letniego pracownika gdańskiego oddziału IPN, ulokował na czele komisji likwidacyjnej Wojskowych Służb Informacyjnych. W komisji kierowanej przez Cenckiewicza zasiadał m.in. Tomasz L., związany z PiS pracownik warszawskiego ratusza (pracę dostał za czasów prezydentury Lecha Kaczyńskiego). W 2022 r. urzędnik został zatrzymany przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego pod zarzutem współpracy z wywiadem rosyjskim. Będąc w komisji likwidacyjnej WSI, „ruski szpion” miał dostęp do najważniejszych tajemnic wywiadu i kontrwywiadu wojskowego. Cenckiewicz przydzielił Tomasza L. do zespołu, który miał się zajmować inwentaryzacją grup operacyjnych, czynnymi sprawami operacyjnymi, ewidencją operacyjną, rozkazami niejawnymi. Po zatrzymaniu Tomasza L. przez

ABW bagatelizował jego rolę w komisji likwidacyjnej. Stwierdził, że jako przewodniczący komisji nie miał wpływu na dobór swoich współpracowników, nie znał Tomasza L., który był człowiekiem Radostawa Sikorskiego, wówczas ministra obrony.

Cenckiewicz pracował w komisji likwidacyjnej WSI do jesieni 2007 r. W międzyczasie dostał fuchę w radzie nadzorczej państwowej spółki Operator Logistyczny Paliw Płynnych (OLPP), zajmującej się magazynowaniem paliw, a także ich przeładunkiem. Firma była nadzorowana przez ludzi Antoniego Macierewicza, a Cenckiewicz (bez doświadczenia w branży paliwowej i w nadzorze nad spółkami prawa handlowego) trafił do OLPP „jako przedstawiciel świata nauki”, co zabrzmiało iście komicznie.

Ofiara tuskowego reżimu

W latach 2016-2023 Cenckiewicz był dyrektorem Wojskowego Biura Historycznego. Ulokował go tam Antoni Macierewicz jako szef MON. Zamiast dbać o dziedzictwo polskiego oręża, pisowski historyk zajęty był szczuciem na przeciwników politycznych, za co wkrótce stanie przed sądem. W maju br. usłyszał prokuratorskie zarzuty pomocnictwa w odtajnieniu przez szefa MON Mariusza Błaszczaka fragmentów planu obronnego Polski „Warta” i wykorzystaniu ich w propagandowym serialu „Reset”. Cenckiewicz nie tylko kłamliwie oskarżył rząd PO-PSL, że w razie rosyjskiej agresji chciał oddać Putinowi polskie terytorium na wschód od linii Wisły, ale też zdradził tajemnice polskiej armii, m.in. liczebność wojska, jego uzbrojenie, możliwości operacyjne. „Reset”, emitowany w upolitycznionej TVP przed wyborami parlamentarnymi, miał pomóc PiS utrzymać się przy władzy i zożydzić w oczach Polaków Donalda Tuska oraz innych polityków PO jako zdrajców będących na usługach Niemiec i Rosji.

Gdy Cenckiewicz wchodził na przesłuchanie do prokuratury, czekała na niego grupa zwolenników, wśród których byli Mariusz Błaszczak i Karol Nawrocki. „To zemsta za film »Reset«, za książkę »Zgodac«, ale w dłuższej perspektywie to jest pewnie zemsta za wszystko, co ja w swoim życiu zrobiłem. Prawie 30 lat siedzę w archiwach, napisałem ponad 30 książek, ale oni pamiętają te najważniejsze. Pamiętają książki o Wałęsie – za to mnie nienawidzą, pamiętają likwidację WSI i książkę »Długie ramię Moskwy« i pamiętają »Reset« i »Zgodę«, czyli dekonspirację i obnażenie ich prorosyjskiej polityki, współpracy z FSB. To są rzeczy, których mi nigdy nie zapomną i będą mnie zawsze za to ścigać. Represje nie są pierwsze, ale po raz pierwszy będę miał postawione zarzuty karne”, biadolił pisowski historyk.

Ponieważ zarzuty usłyszał 8 maja, tego dnia zaś w polskim Kościele katolickim wspomina się św. Stanisława, biskupa i męczennika, Cenckiewicz zaczął bredzić, że „on jest symbolem stanięcia naprzeciwko

tyranii władzy”, a „dziedzicem złego władcy, tego złego człowieka, który zabił wielkiego świętego i patrona Polski, jest dzisiaj Donald Tusk”. Cenckiewicz kłamał nawet w tak oczywistej sprawie. Stanisław świętym i patronem Polski został dopiero po śmierci (podobno Bolesław Śmiały kazał mu obciąć członki) i gdyby nie konflikt z królem i męczeńska śmierć, pewnie nie stałby się sławny.

Cenckiewicz był współautorem filmu (producentem była TVP) i miał zarobić na nim gigantyczne pieniądze – prawie pół miliona złotych. W tym czasie nie tylko zajmował dyrektorski stołek w WBH, ale również

Jeszcze nigdy się nie zdarzyło, aby tak ważną dla bezpieczeństwa Polski funkcję pełniła osoba bez kompetencji, gotowa dla własnych interesów podpalić kraj.

pracował na pół etatu jako archiwista w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, gdzie zbierał materiały do „Resetu”, czyli szukał haków na Donalda Tuska i Radosława Sikorskiego. Być może za to też wkrótce usłyszy prokuratorskie zarzuty, bo nie dostał zgody na wykorzystywanie archiwów MSZ do prywatnych celów.

Bez dostępu do tajemnic

Cenckiewicz kierował także utworzoną przez PiS komisją ds. wpływów rosyjskich. Zadaniem tego sądu kapturowego była eliminacja z życia publicznego m.in. Donalda Tuska. Cenckiewicz ma obsesję na punkcie premiera i innych ważnych polityków PO, których zwalcza równie zaciekle jak niegdyś Lecha Wałęsę. W mediach społecznościowych wyzywa premiera, ministrów jego rządu, prokuratorów i szefów służb specjalnych od zdrajców i bandytów, co niezbyt dobrze świadczy o jego stanie psychicznym. Podobno przyszył szef BBN leczył się kiedyś psychiatrycznie i zataił to, wypełniając ankietę bezpieczeństwa, gdy starał się o dostęp do tajemnic państwowych.

W związku z zarzutami prokuratorskimi Cenckiewicz stracił certyfikat dostępu do tajnych dokumentów, a bez tego nie będzie mógł pełnić

swoich obowiązków. Ale takimi drobnostkami prezydent elekt się nie przejmuje. „Nie tylko wybitny intelektualista, akademik, autor wielu książek z zakresu działania komunistycznych, sowieckich służb specjalnych. Nieprzeciętny umysł prof. Sławomira Cenckiewicza, ale także cechy wolicjonalne i moje głębokie przekonanie, że jedyna racja, której służy, to siła i stabilność Rzeczypospolitej. To państwowe podejście pana profesora bardzo sobie cenię”, kadził swojemu zaufanemu Karol Nawrocki.

Założmy jednak, że Cenckiewicz jakimś cudem dostanie certyfikat dostępu do informacji niejawnych. Na

jego biurko każdego dnia spływać będą dziesiątki dokumentów opatrzonych klauzulą tajności, głównie materiały wojskowe oraz informacje ze służb. W oparciu o nie będzie przygotowywał dla prezydenta stanowiska i rekomendacje, w tym o charakterze strategicznym dla bezpieczeństwa narodowego. Czy człowiek, który ma widoczne problemy z psychiką oraz czytaniem i rozumieniem dokumentów, notorycznie kłamiący i manipulujący, będzie zdolny wypełniać swoje obowiązki i nie sprowadzi na Polskę nieszczęścia?

Terrorysty z UOP

„Teczek bezpieki pomagają głównie w obalaniu mitów” – tak brzmi credo Cenckiewicza. Pisowski historyk chętnie robi użytek z bezpiekowskich kwitów, do których podchodzi bezkrytycznie, co dla historyka jest kompromitujące.

W książce „Oczami bezpieki” Cenckiewicz insynuował (nie ma na to żadnych choćby poszlak), że w 1980 r. działacz Ruchu Młodej Polski Aleksander Hall za pośrednictwem swojej narzeczonej, agentki SB, zdradził bezpiece nazwisko kpt. Adama Hodysza, oficera SB, który współpracował z Solidarnością, za co po dekonspiracji trafił ▶

do więzienia. O Hodyszu natomiast Cenckiewicz napisał, że jego przeżeni mogli wiedzieć, że współpracował z Solidarnością, toteż nim manipulowali, co również jest insynuacją.

„Poważnemu badaczowi nie przystoi snuć rozważań niepopartych żadnymi dowodami, a rzucających cień na postawę Hodysza – bohatera tamtych czasów, człowieka, który za swój wybór moralny zapłacił wysoką cenę. Do Sławomira Cenckiewicza mówię: jeśli ma Pan jakieś nowe dokumenty w sprawie Hodysza, to proszę je pokazać. Jeśli nie, to milcz Pan”, odpowiedział partyjnemu historykowi Aleksander Hall na łamach „Gazety Wyborczej”.

Nazwisko Hodysza przewija się w jeszcze innej spiskowej historii lansowanej przez Cenckiewicza. W kwietniu 1995 r. doszło w Gdańsku do wybuchu gazu w wieżowcu

Cenckiewicz ma obsesję na punkcie premiera i innych ważnych polityków PO, których zwalczą równie zaciekle jak niegdys Lecha Wałęsę.

przy alei Wojska Polskiego. Budynek niemal legł w gruzach. W wyniku katastrofy zginęły 22 osoby. Śledztwo wykazało, że przyczyną wybuchu było rozszczelnienie instalacji gazowej przez mieszkańca, który zginął w katastrofie. Jednak Cenckiewicz odpalił swoją bombę, twierdząc, że to funkcjonariusze Urzędu Ochrony Państwa doprowadzili do tragedii. W wieżowcu mieszkał Hodysz (w 1990 r. został szefem delegatury UOP w Gdańsku), który rzekomo miał dokumenty obciążające Lecha Wałęsę, dotyczące współpracy z SB. Prezydent RP zlecił więc swoim ludziom w specłużbach, aby je odzyskali. Ci postanowili upozorować wybuch gazu, żeby wprowadzić wszystkich mieszkańców z budynku i wejść do mieszkania Hodysza. „Wybuch gazu w Gdańsku był operacją UOP, zaś ofiary niezamierzonym wypadkiem przy pracy”, cytował swoich rzekomych informatorów Cenckiewicz. „Teza o tym, że za wybuchem stał Urząd Ochrony Państwa, jest absurdalna i wyssana z palca”, stwierdził natomiast Bogdan Borusewicz.

Opowieści z mchu i paproci

Innym razem Cenckiewicz wywodził, że słynna ucieczka Zbigniewa Bujaka, jednego z przywódców podziemnej Solidarności, po zatrzymaniu przez SB w marcu 1983 r. była w rzeczywistości „elementem większej operacji Departamentu II”, która miała doprowadzić do wyeliminowania „Aleksandra Małachowskiego z roli głównego ideologa związku i wprowadzenia na to miejsce własnego źródła informacji”. Były to piramidalne brednie. Każdy, kto choć trochę zna najnowszą historię Polski i Solidarności, wie doskonale, że Małachowski, choć był powszechnie szanowany, nigdy nie aspirował do roli ideologa i nie był za takiego uważany. Prof. Andrzej Friszke, komentując rewelacje Cenckiewicza, powiedział, że wykorzystał

on esbecką notatkę, w której „miesza się prawda z fałszem, i w rezultacie powstała nie historia, lecz wywracająca logikę procesu historycznego publicystyka”.

Szczytem bezczelności było sugerowanie w mediach społecznościowych, że ks. Józef Tischner był kapusiem SB. Pisowski historyk nie przedstawił przy tym żadnych dowodów na rzekomą współpracę z bezpieką podhalańskiego duchownego, uważanego za kapelana Solidarności. Wybuchł skandal, ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, autor książki „Księża wobec bezpieki na przykładzie archidiecezji krakowskiej”, stwierdził, że Tischner nie mógł być tajnym informatorem, bo nie tylko nie ma na to żadnych dokumentów, ale w dodatku są takie, które wskazują, że był nękanym przez SB, która prowadziła wobec niego wrogie działania.

Nawet kard. Stanisław Dziwisz potępił Cenckiewicza: „Sławomir Cenckiewicz (...) wiedział, a w każdym razie wiedzieć powinien, jaki odzew społeczny spowoduje zamieszczony przez niego, nieoparty na żadnych

dowodach, wpis o rzekomej agenturalnej działalności ks. prof. Józefa Tischnera (...). Ten nieodpowiedzialny wpis próbuje podważyć niekwestionowane dokonania naukowe jednego z wybitnych intelektualistów w wymiarze uniwersalnym, działa na szkodę Kościoła i co więcej – wywołuje u odbiorców tej informacji, niemających rozeznania w sprawach lustracyjnych, błędne przekonanie, że już sam wpis zdziałany ręką nieznanego funkcjonariusza SB sam w sobie stanowi dowód na taką współpracę, która nigdy nie miała miejsca. (...) Wiem (...), co czują ludzie niesłusznie oskarżani, zniesławiani, skazywani bez dowodów, ludzie, którym odbiera się poczucie godności”.

Lustracyjna twórczość Cenckiewicza jest nie tylko absurdalna, ale i tragikomiczna. Najpierw pisowski historyk w książce „Konfidenty” prześwielił życiorys ikony polskiej prawicy katolicko-narodowej, więźnia politycznego okresu stalinowskiego, Wiesława Chrzanowskiego, uznając, że ten utrzymywał podejrzane relacje z SB, a potem w tygodniku „Do Rzeczy” zarzucił współpracę z komunistyczną bezpieką prof. Witoldowi Kieżunowi, bohaterowi powstania warszawskiego, który rzekomo donosił na... Chrzanowskiego (sic!). Po takich rewelacjach Kieżun dostał za pałci, a potem chciał się zastrzelić.

W obronie prof. Kieżuna stanęli propisowscy historycy, m.in. Jan Żaryn i Piotr Gontarczyk (który wspólnie z Cenckiewiczem lustrował Lecha Wałęsę). Ten drugi w rozmowie z portalem Fronda powiedział: „To jest publikacja po prostu skandaliczna. Wydaje mi się, że za opublikowaniem takiego artykułu stała tylko i wyłącznie zemsta na człowieku, który wypowiadał się inaczej niż autorzy »Do Rzeczy« na temat Powstania Warszawskiego. Tu chyba nie ma żadnych innych powodów i raczej nie da się dorobić żadnej ideologii. Zemsta to raczej niskiego formatu motywacja”.

Zdaje się, że zemsta i fałszywe oskarżenia wobec przeciwników politycznych, tych faktycznych i tych urojonych, będą głównym zajęciem Sławomira Cenckiewicza jako szefa BBN.

Andrzej Sikorski

Z Galicji



Jan Widacki

Na granicy z Niemcami pojawiły się grupy osiłków o byczych karkach i z szaleństwem w oczach; ubrali się w żółte kamizelki z napisem „Ruch Obrony Granic” i wyposażyli w białe-czerwone flagi. Zatrzymywali (nie wiem, czy jeszcze to robią, czy już im się znudziło) prywatne samochody, usiłowali legitymować kierowców, sprawdzali, czy w pojazdach nie ma ludzi o skórze innej niż biała. Rozbili też jakieś namioty, udekorowali pobocza dróg banerami i tablicami z rasistowskimi i nacjonalistycznymi hasłami. Zdarzało się przy tym, że ponaglali do aktywności, a przy okazji czasem obrażali funkcjonariuszy Straży Granicznej czy policji, którzy ich zdaniem mało aktywnie i zbyt łagodnie wykonywali swoje obowiązki.

Z głębi kraju mieli wsparcie polityków PiS i Konfederacji, którzy na różnych forach i przy różnych okazjach rozdzielali szaty, że Niemcy „podrzucają nam” tysiące imigrantów, a rząd polski i podległe mu służby zachowują się biernie, o ile nie współdziałają po cichu w tym haniebnym procederze. A Niemcy to przecież – wiadomo!

i z Polski nielegalnie przedostali się do Niemiec. To po pierwsze. Po drugie, tych przekazanych w ramach readmisji migrantów w roku 2024 było 688. W 2023 r., gdy jeszcze rządziło PiS, było ich o prawie jedną trzecią więcej, bo 968. W tym roku, przez pierwsze półrocze, nieco ponad 300. Tymczasem politycy prawicy wmawiają, że są to „tysiące”. Dlaczego rząd tego nie tłumaczy i nie przypomina? Może trzeba to robić od rana do wieczora, może wtedy przebije się to do świadomości społecznej, a przy okazji ludzie zobaczą, jak prawicowi politycy i ich propagandziści beczelnie kłamią. Może też zrozumieją, że żaden Ruch Obrony Granic nie jest potrzebny, a nawet jest szkodliwy dla państwa, dla społeczeństwa, dla jego swobód obywatelskich.

Mnie również martwi bezczynność państwa – nie przy ochronie granicy, ale polegająca na tolerowaniu takich ewidentnie przestępczych ruchów. Przestępstwem w Polsce (i w całym cywilizowanym świecie!) jest przywłaszczanie sobie funkcji i uprawnień organów państwowych. Bezprawne kontrolowanie

Ruch Obrony Granic Rozsądku – pilnie potrzebny

Te tępo-gębne osiłki na granicy uzyskały także ogromne wsparcie w internecie. Nawet jacyś zagubieni intelektualnie harcerze dostrzegli w nich wysławianych w harcerskiej pieśni „rycerzy spod kresowych stanic, obrońców naszych polskich granic”. Wielu ludzi uwierzyło, że nasze granice są zagrożone, że tysiące nielegalnie przybywających do nas imigrantów, w dodatku na ogół – aż strach pomyśleć – muzułmanów, nie dość, że szturmują nasz płot na białoruskiej granicy, to jeszcze są przez zdradzieckich Niemców podzucani przez zachodnią granicę.

Skoro nikt tego nie prostuje, to ludzie wierzą, że tak się dzieje, nabierają przekonania, że rząd i jego służby są w najlepszym razie nieudolne, jeśli nie zdradzieckie (pamiętają przecież, że „Tusk jest niemieckim agentem”, co zdemaskował niegdyś w Sejmie Jarosław Kaczyński). Są więc wdzięczni, że pojawili się samozwańcy „obrońcy naszych polskich granic”, że dzięki nim znów stajemy się „przedmurzem chrześcijaństwa”.

Może trzeba ludziom na początek wytłumaczyć, co to jest readmisja (odsyłanie migrantów, którzy nielegalnie przekroczyli granice, do państwa, z którego przybyli). Wyjaśnić, że Polska jest sygnatariuszem zarówno wielostronnych, jak i dwustronnych umów o readmisji, że taką umowę z Niemcami podpisaliśmy jeszcze w 1993 r. Readmisja wynika również z unijnego rozporządzenia („Dublin III”). To, co robią Niemcy, jest właśnie realizacją tych umów i zobowiązań międzynarodowych. Odsyłani nam przez nich migranci to ci, którzy najpierw nielegalnie przedostali się do Polski, nie zostali tu zatrzymani

pojazdów, legitymowanie ludzi itd. Ze zdumieniem wysłuchałem w radiu rozmowy z wiceministrem obecnego rządu, który tłumaczył, że prokuratura jest bezradna, bo prawo polskie wymaga, aby takie przestępstwa zgłaszali pokrzywdzeni. A zgłoszeń nie ma. Pan minister albo nie zna prawa, albo udaje, że nie zna. Prokuratura powinna z urzędu ocenić działania samozwańczych obrońców granic pod kątem naruszenia przepisów Kodeksu karnego: art. 191 par. 1 (bezwprawne zmuszanie do określonego zachowania), art. 224 par. 1 (bezwprawne wplywanie na czynności urzędowe), art. 226 (znieważanie funkcjonariusza), art. 227 (przywłaszczenie funkcji publicznej). To tak na początek. Żadne z tych przestępstw nie jest ścigane na wniosek i na żadne zgłoszenie pokrzywdzonych nie trzeba tu czekać.

Wybitny amerykański politolog James Q. Wilson, specjalista od administracji publicznej, a nadto kryminolog, wspólnie z George’em L. Kellingiem, też kryminologiem, sformułowali na początku lat 80. XX w. tzw. teorię wybitych szyb. Wedle tej teorii (potwierdzonej empirycznie) tolerowanie nawet drobnych naruszeń prawa i porządku publicznego tworzy atmosferę sprzyjającą lekceważeniu prawa i popełnianiu coraz poważniejszych przestępstw. Poddaję to pod rozwagę rządzącym, a szczególnie panu wiceministrowi, który sądzi, że jest bezradny wobec prawa.

Polsce jest dziś pilnie potrzebny Ruch Obrony Granic Zdrowego Rozsądku, te raz po raz, w dodatku z coraz większą częstotliwością, są przekraczane. ■

Jak socjal wygrał z politykami

Polska ma jeden z najhojniejszych systemów wsparcia dla rodzin na świecie

Rozmawia Robert Walenciak

Przerzucam dane... Raporty Poverty Watch 2024 i Szlachetnej Paczki wskazują, że w Polsce rośnie skala ubóstwa. W 2022 r. poniżej minimum egzystencji żyło 1,9 mln osób, a w 2023 r. już 2,5 mln. To najgorszy wynik od 2015 r. Dlaczego tak się dzieje? Jako państwo jesteśmy coraz bogatsi, a liczba żyjących w ubóstwie rośnie.

– Samo bogactwo kraju nie gwarantuje, że wszyscy będą w nim żyli na wysokim poziomie. Są dużo bogatsze i dużo potężniejsze kraje niż Polska, a ubóstwo jest tam bardzo mocno obecne. Bezdomność w Stanach Zjednoczonych... W krajach tak bogatych jak Belgia, Holandia także nie brakuje bezdomnych. A Paryż i Francja?

A Polska?

– Jeśli chodzi o Polskę i wskaźniki ubóstwa, to właściwie od roku 2014 sytuacja się poprawiła, szczególnie w przypadku dzieci, i była w miarę stabilna. I nagle przyszło załamanie w 2023 r. Tłumaczę to przede wszystkim brakiem waloryzacji 500+ i zasiłków rodzinnych przy wysokiej inflacji w latach 2022-2023. Z kolei w 2024 r. sprawdziły się nasze optymistyczne prognozy, że ubóstwo spadnie do poziomu sprzed roku 2023. Tak się stało! Czyli skok w roku 2023 był czymś jednorazowym.

Dlaczego rok 2024 okazał się tak dobry?

– Po pierwsze, poprawiła się sytuacja gospodarcza, spadła inflacja i realnie wzrosły dochody. Po drugie, podniesiono świadczenie 500+ o 300 zł, co zrekompensowało spadek jego wartości realnej.

To uściślijmy jeszcze jedno: od jakich dochodów zaczyna się granica ubóstwa?

– Tutaj mamy do czynienia z wieloma granicami. Najniższą jest ubóstwo skrajne – to granica minimum egzystencji – i w 2024 r. dla gospodarstwa jednoosobowego było to 972 zł miesięcznie. Czyli jeśli osoba miała wydatki niższe niż ta kwota miesięcznie, była uznawana przez GUS za skrajnie ubogą.

Za te pieniądze musiała kupić jedzenie, leki, zapłacić za mieszkanie, ubranie...

– Zapłacić za wszystko. Za podstawowe potrzeby. Druga kategoria, która także służy



PROF. RYSZARD SZARFENBERG

– politolog, wykłada na Wydziale Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych Uniwersytetu Warszawskiego. Członek Zarządu Polskiego Towarzystwa Polityki Społecznej. Przewodniczący Rady Wykonawczej Polskiego Komitetu European Anti-Poverty Network (EAPN Polska), prezes zarządu ATD Czwarty Świat.

Jego książka „Krytyka i afirmacja polityki społecznej” uznana została przez Komitet Nauk o Pracy i Polityce Społecznej PAN za najlepszą pracę naukową roku 2008.

GUS do określenia sfery niedostatku, to minimum socjalne. W 2024 r. w IV kwartale wynosiło ono 1863 zł dla jednej osoby. To dwa razy więcej niż minimum egzystencji. Ale na jedną osobę miesięcznie, na wszystko, to też dość skromna suma. Zwłaszcza gdy popatrzymy na Warszawę czy duże miasta.

Kogo dotyczy ubóstwo? Ludzi schorowanych, seniorów? Bo trudno uwierzyć, że młodych rodzin – bywa, że oficjalne dochody wykazują niskie, ale pracują na czarno.

– GUS bada ubóstwo na wydatkach, nie na dochodach, więc to, czy ktoś ma dochody z pracy na czarno, nie ma większego znaczenia. Dane o wydatkach uznawane są za mniej obciążone problemami, co nie znaczy, że problemów z nimi nie ma. Dochody czy wydatki to tylko część obrazu. Są jeszcze długi, które trzeba spłacać.

W ubóstwo rodziny są wpychane poprzez długi?

– Może tak się zdarzyć nawet w przypadku rodzin, które mają dochody powyżej minimum socjalnego. Wydatki na spłaty kredytów wyraźnie wzrosły podczas inflacji, bo wtedy wzrosły również stopy procentowe. I to był problem dla młodych rodzin z klasy średniej, które mają pracę, ale nie zarabiają dużo ponad średnią. Jeśli wzięlibyśmy pod uwagę ubóstwo pracujących z tych gospodarstw domowych, w których głównym źródłem dochodu jest praca, to nawet w tym przypadku mamy 4,7% ubóstwa skrajnego.

To dużo.

– Jak przeliczyłem, w 2024 r. było to ok. 718 tys. osób. Czyli wszyscy dorośli pracują, a gospodarstwo jest poniżej granicy ubóstwa skrajnego. W latach 90. powtarzano, że bezrobocie równa się ubóstwo. Że trzeba walczyć z bezrobociem, żeby zwalczyć ubóstwo. Dzisiaj bezrobocie mamy jedno z najniższych w Unii Europejskiej, a nadal mamy ubóstwo skrajne i niedostatek wśród pracujących.

A może to rzecz nieunikniona? I zawsze jakaś niewielka grupa będzie w sferze ubóstwa?

– 1,9 mln to wcale nie jest niewielka grupa.

Zapytam więc inaczej: ubóstwo to stały element w społeczeństwie kapitalistycznym?

– To zależy od systemu ochrony socjalnej. Możemy być bogatym społeczeństwem, a być skąpi dla naszych najuboższych. Politycy myślą: powinni iść do pracy i trzeba ich do tego motywować niskimi świadczeniami. Jednym z problemów, nad którymi dyskutowano przy 500+ z kryterium dochodowym, było osłabienie bodźców do pracy w przypadku matek małych dzieci.

Aktywizacja zawodowa to jeden z najpopularniejszych celów polityki społecznej.

– Rząd Tuska jest tego dobrym przykładem. Z hasłem: nic, co dane, nie zostanie zabrane, wprowadza nowe rozwiązania socjalne nastawione głównie na aktywizację zawodową. Po pierwsze, pakiet Aktywny Rodzic dla rodziców dzieci od 12. do 35. miesiąca życia. Wprowadzono

GUS bada ubóstwo na wydatkach, nie na dochodach. Więc to, czy ktoś ma dochody z pracy na czarno, nie ma większego znaczenia.

tam nowe świadczenie – Aktywny Rodzic w Pracy. Świadczenie to wynosi 1,5 tys. zł, jeżeli oboje rodzice spełniają kryteria zatrudnienia. Rząd zapowiedział również ograniczenie 800+ dla cudzoziemców. Ma to być świadczenie tylko dla pracujących cudzoziemców w Polsce. To też jest ruch w kierunku aktywizacji zawodowej, choć akurat cudzoziemcy w Polsce w większości pracują. Wprowadzono także warunek wysyłania dzieci do polskiej szkoły. Polityka socjalna dla Ukraińców, cudzoziemców staje się coraz bardziej warunkowa. Jest dosadna nazwa takiego kierunku – szowinizm socjalny.

Narodowi to się podoba. Przypuszczam, że tym najbardziej – najbardziej.

– Prawdopodobnie tak. W wielu społeczeństwach jest tak, że najpierw mamy naszych biednych, a dopiero później tych, którzy w oczach społeczeństwa mniej zasługują na wsparcie. I wśród tych „mniej zasługujących” są cudzoziemcy. U nas

ten dyskurs może jeszcze nie jest tak silny jak na Zachodzie, choć w uzasadnieniu rządowym wspomniano o turystyce socjalnej.

A polski socjal na tle europejskiego jest dużo mniejszy?

– Jeśli chodzi o wsparcie dla rodzin, mamy ulgi podatkowe na dzieci, dodatkowo dla rodzin wielodzietnych. Mamy rozwiązania w rodzaju Mama 4+ dla kobiet, które nie mają uprawnień emerytalnych, ale wychowały czwórkę dzieci. Mamy też świadczenie 800+. Było ono bardzo hojne w 2016 r., jeszcze jako 500+, teraz w porównaniu z płacą minimalną, która rosła szybciej, wygląda mniej imponująco, ale nadal jest stosunkowo wysokie. Są specjalne świadczenia dla ubogich rodzin, co prawda zamrożone od 2016 r., ale można je łączyć z 800+. Daje to taki obraz, że Polska ma jeden z najhojniejszych systemów wsparcia dla rodzin na świecie.

Trudno mi w to uwierzyć.

– Ale tak jest. Podkreślam, że chodzi o wsparcie dla rodzin z dziećmi. A jeśli ma się więcej dzieci, to tym bardziej system jest wspierający. Ubóstwo skrajne w rodzinach wielodzietnych wynosiło w 2014 r. 17%, a tylko 3,6% w 2024 r.!

Byłem przekonany, że jesteście gdzieś na 20. miejscu w Unii.

– Na 20. miejscu to jesteśmy z poziomem PKB na mieszkańca. A tu jesteśmy na jednym z pierwszych miejsc. A jeszcze w roku 2015 nasz system wsparcia dla rodzin był na jednym z ostatnich miejsc.

Jak do tego doszło?

– Po prawej stronie od lat 90. było przekonanie, że musimy podatkami wspierać rodziny z dziećmi, a polityka wsparcia tylko dla ubogich rodzin jest zła. I za pierwszego PiS została wprowadzona hojna ulga na dzieci i powszechne becikowe. Ta ulga i świadczenia zostały utrzymane przez PO, choć w zreformowanej postaci. Platforma jednak nie ▶

► dodatkowo nie robiła w sprawie świadczeń rodzinnych, poza tym, co wywalczyły w Sejmie rodziny z dziećmi z niepełnosprawnościami – i świadczenia ulegały erozji. PiS ze względu na ideologię i wybory zaproponowało 500+ i je wdrożyło, a później przyszły jeszcze dodatkowe ulgi dla rodzin wielodzietnych. Tusk obiecał, że niczego nie odbierze, i dotrzymał słowa, więc przeszła też podwyżka do 800+. Nowy rząd dodał też nowe świadczenia rodzinne. W ten sposób nasz system z bardzo skąpego dla rodzin stał się jednym z najhojniejszych na świecie.

Dzisiaj bezrobocie mamy jedno z najniższych w Unii Europejskiej, a nadal mamy ubóstwo skrajne i niedostatek wśród pracujących.

Jak taki socjal kształtuje społeczeństwo? Czy takie społeczeństwo jak dzisiejsze różni się postawami od tego z lat 90., wygłodzonego?

– Jak pan pamięta, 500+ było szokiem dla klasy średniej. Wcześniej dominowała narracja, że klasa średnia płaci podatki i nic nie dostaje. A tu nagle i ona dostała. Jakie to było zamieszanie!

Brać czy nie brać?

– To był jeden z czynników podziału politycznego w klasie średniej. Część przekonała się do PiS, choć przecież ta formacja nie wygrałaby wyborów w 2015 r., gdyby już nie miała tu poparcia.

A klasa ludowa?

– Od razu mocniej popierała PiS. Nie tylko ze względu na bardziej religijne i sceptyczne wobec migrantów poglądy, ale także ze względu na wsparcie, które najbardziej odczuły rodziny z klas ludowych.

Ci, co biorą, popierali Nawrockiego, ci, co pracują – Trzaskowskiego.

– To prof. Markowski wymyślił takie pojęcie – klasy transferowej. Ja się z tym nie zgadzam, jeśli to oznacza żyjących tylko z transferów. Osoby pracujące oczywiście też popierają PiS. Kiedyś rzeczywiście klasa średnia może myślała: my płacimy podatki, a tam są ci, którzy korzystają z tego, biorą świadczenia i nie pracują. Po upowszechnieniu

wsparcia na dzieci sytuacja się zmieniła.

Czy klasa ludowa ma możliwości awansu społecznego? Socjalizm łatwo je dawał. A teraz? Dziecko nie może dojechać do większej miejscowości, do technikum, do liceum. Nie może iść na studia, bo rodziny nie stać, aby wynająć mu pokój... To są pierwsze bariery.

– Tu chodzi o mobilność społeczną. Już nie o podziały klasowe w jednym pokoleniu, ale o to, jak te podziały się odtwarzają z pokolenia na pokolenie. Przypomnijmy sobie lata 90. Mieliliśmy wtedy bum edukacyjny

na wyższe wykształcenie i dzieci z rodzin, w których nie było takiego wykształcenia, zaczęły studiować. To był również czas, gdy inwestycja w wykształcenie zaczęła dawać większy zwrot. W ten sposób awans edukacyjny tego pokolenia był też awansem finansowym. Lata 90. i nawet pierwsza dekada XXI w. były trudne dla wielu osób. Ale dla młodzieży, która zaczęła studiować, to był duży awans. Poza tym otworzyły się wtedy szanse na prowadzenie własnego biznesu.

A teraz?

– Są dyskusje, że szanse na awans znowu się zmniejszyły. Ci, którzy zdobyli w tamtym czasie miejsca w strukturze społecznej, grzeją je dla swoich dzieci. Jest to może problem dla części klasy średniej, która uznaje, że dla jej dzieci możliwości poprawy sytuacji w stosunku do rodziców już są zamknięte.

I co wtedy?

– Pamięta pan niedawne dyskusje o PiS? Część ścieżek awansu nie zależy od edukacji, ale odbywa się to poprzez znajomości i nepotyzm. Tak było za PiS, które korupcją, nepotyzmem itd. otworzyło te wszystkie pozycje w administracji, w spółkach skarbu państwa. Osoby, które tam się znalazły, nie były za bogate, zaliczały się do klasy średniej, nie miały dostępu do ścieżek awansu, ale poprzez ścieżkę polityczną, partyjną,

poszły do góry. To też, pomijając kwestie uczciwości, braku demokracji i tego, że tak nie powinno być, dla części osób z klasy średniej było ważne, bo pozwoliło im osiągnąć wysoki poziom zamożności. Wprowadziły rodziny, rodziców, znajomych na stanowiska, które cieszyły się prestiżem, dawały wysokie zarobki, a wcześniej były niedostępne.

Oto ścieżki awansu. W latach 90. i późniejszych – poprzez wyższe wykształcenie. A potem mamy bardziej specyficzne dla różnych okresów możliwości. Poprzez politykę, poprzez zmianę władzy.

Jak wypadamy w możliwościach awansu na tle Europy? Łatwiej u nas przeskoczyć z jednej warstwy do drugiej?

– Porównajmy się z krajami zachodnimi, w których mamy elitarne szkoły wyższe, z Francją, z Wielką Brytanią... Nawet w Szwecji się podkreśla, że jeśli chodzi o dochody, to może jest w miarę równo, ale jeśli chodzi o majątki, to już nierówności są jedne z większych. Można więc przyjąć, że Polska na tle krajów zachodnich to całkiem mobilne społeczeństwo.

Za to całkiem dobrze z Europą rezonują u nas nastroje antyimigranckie. Zwłaszcza w klasie ludowej.

– Nierówności są wykorzystywane do ich rozbudzania. Pamięta pan powtarzany często w stosunku do Ukraińców, także przez uboższych Polaków, motyw: że są pierwsi w kolejkach do lekarza... W tej narracji już nie chodziło o to, komu jest finansowo lepiej, tylko o to, kto ma lepszy dostęp do usług publicznych. To wszystko może być wykorzystywane do rozbudzania negatywnych emocji. Ludzie oczekują większej poprawy, bo w kraju się poprawia, ale nie wszystkim w równym stopniu. A są i ci, którym się poprawia, ale uważają, że za wolno, że innym poprawia się szybciej. Jeżeli takie nastroje dominują, to łatwo ludzi zmobilizować emocjonalnie, że ktoś obcy ma lepiej.

A są gorsi, są inni...

– Nastroje, które dziś dominują, nie wydają się mieć podłoża ekonomicznego, raczej jest to ogólne sprzeciw wobec nielegalnie



przybywających imigrantów. Sama ta nielegalność podkreśla, że oni nie są w prawie, żeby tu być. I to ułatwia ich odrzucenie, choć cały czas w tle są te mity o pierwszeństwie Ukraińców do usług publicznych.

Sam zachęcam protestujących przeciwko imigrantom, żeby przesiedli się na motorki i rozwozili jedzenie, aby byli kurierami.

– Kurierzy, Uber, budowy... Ludzie w większych miastach czują, jak bardzo imigranci poprawiają ich poziom życia. Bo pracują dla nich i u nich.

Za małe pieniądze.

– Więc i przedsiębiorcy, którzy ich zatrudniają, czują ulgę. Natomiast w mniejszych miastach wygląda to

Liberalny populizm?

– Nie tylko. Krytykami tej polityki byli też tradycyjni socjaldemokraci. Mówią tak: te pieniądze, które poszły na transfery, powinny pójść na edukację, ochronę zdrowia, transport publiczny. Można to stanowisko nazwać populizmem lewicowym. Tworzy on fałszywą alternatywę: albo świadczenia pieniężne, które są mało lewicowe, albo bezpłatne usługi publiczne, co ma być bardziej lewicowe. Można oczywiście mieć i hojne świadczenia pieniężne dla rodzin, i dobrej jakości usługi publiczne.

Są również tradycyjni liberałowie, dla których ważny jest porządek w finansach publicznych, niski defi-

jest przekonana do ich argumentów, a politycy nie chcą ludziom się narazić. I ten hojny socjal oraz usługi publiczne, które powinny być dobrze finansowane, to coś, co właściwie w dzisiejszej debacie jest konsensusem.

I do czego to doprowadzi?

– Jak to u nas, wszystko idzie szeroką falą. Jeśli chodzi o wybory w roku 2027 – to przecież rząd będzie musiał coś przed nimi dać.

I da?

– Jesteśmy w unijnej procedurze nadmiernego deficytu. Ta procedura nie jest już taka jak poprzednia, tylko trochę bardziej elastyczna. Jednak rząd będzie musiał jakoś sobie z tym poradzić w sytuacji, gdy jeszcze mamy zwiększać wydatki na obronność. Nie może ciąć, bo to zaraz wykorzysta silna opozycja i powie, że odbierają. A Tusk nie będzie niczego zabierał i jeszcze doda. Do czego to doprowadzi? Zwiększy deficyt i dług publiczny bardziej, niż pozwala na to procedura nadmiernego deficytu. W ten sposób wyładowujemy z rządem PiS i Konfederacji, który również powie: nie będziemy nic zabierać. A jak oni sobie z tym poradzą? Pewnie suwerenistycznie zawołają: mamy gdzieś unijne reguły! Środki z funduszy znowu będą mniejsze, poparcie dla Unii może też zacząć spadać. Wyłania się dość ciemny scenariusz, ale może się nie spełni.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Nasz system z bardzo skąpego dla rodzin stał się jednym z najhojniejszych na świecie.

nico inaczej. Jeśli spojrzelibyśmy w przyszłość... Ci cudzoziemcy, którzy do nas przybywają, nie zasilają klasy wyższej. Nie są prawnikami, inżynierami, tylko w większości wykonują proste prace robotnicze, opiekuńcze, usługowe.

W Danii, jak pan pisał, nastroje antyimigranckie nasiliły się wraz z obniżeniem świadczeń socjalnych. Transfery socjalne pomagają więc potrzebującym, ale i budują stabilność społeczeństwa. Jak więc mówić, że socjal jest bez sensu?

– Był to popularny pogląd za PiS.

cyt i dług publiczny. Główną postacią jest tu prof. Balcerowicz – ciągle powtarzający, że wydatki socjalne są za duże. Tylko to już nie są silne środowiska. Pamięta pan dyskusje, gdy PiS zaczynało politykę transferów? Wołano: skąd oni wezmą na to pieniądze? Wzięli. I deficyt wzrósł, ale COVID-19 i później masowe uchodźstwo z Ukrainy pogorszyły sytuację w tym względzie. Polska od tego się nie zawaliła.

Mamy więc słabe środowiska lewicowe i liberalne, które z różnych powodów krytykują politykę socjalną. Większość społeczeństwa nie

Moloch do likwidacji

Niż genueński Gabriel przyniósł nie tylko intensywne opady, ale i zdymisjonowanie prezes Wód Polskich Joanny Kopczyńskiej

Grzegorz Rudnik

We wtorek 8 lipca minister infrastruktury Dariusz Klimczak odwołał z funkcji prezes Joannę Kopczyńską, a powołał na to stanowisko jej dotychczasowego zastępcę, Mateusza Balcerowicza. Decyzja weszła w życie natychmiastowo, co dowodzi, że zapadła wcześniej. Uniknięto w ten sposób spekulacji, kto będzie kierował spółką, której wartości nie sposób oszacować.

Bo na ile wycenić 8638 km wałów przeciwpowodziowych, 32 792 jazy, przepusty, zapory i inne obiekty hydrotechniczne, 100 wielofunkcyjnych zbiorników retencyjnych, ok. 120 holowników, pontonów i wielozadaniowych barek, że o 26 lodotłamaczach nie wspomnę? Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie posiada też dziesiątki tysięcy hektarów gruntów, budynki administracyjne oraz inne cenne nieruchomości i ruchomości. Zatrudnia ok. 6,5 tys. pracowników, a jeden z byłych prezesów zarabiał miesięcznie 40 tys. zł.

Nic dziwnego, że instytucja ta od lat jest źródłem natchnienia dla dziennikarzy śledczych tropiących tzw. nieprawidłowości w podmiotach podległych de facto partyjnym bonzom.

Bo Unia tak chciała

PiS powołało Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie (PGW WP) na podstawie ustawy Prawo wodne, która została przyjęta przez Sejm w roku 2017. Najważniejszym powodem jej uchwalenia była konieczność implementacji Ramowej Dyrektywy Wodnej Unii Europejskiej, przyjętej przez Parlament Europejski 23 października 2000 r. Określiła ona obszary wspólnotowego działania



Sztab kryzysowy z udziałem ministra Dariusza Klimczaka i szefowej Wód Polskich Joanny Kopczyńskiej oraz wicepremiera Władysława Kosiniaka-Kamysza obraduje we Wrocławiu podczas powodzi we wrześniu 2024 r.

w dziedzinie polityki wodnej, mającej na celu ochronę europejskich rzek, jezior oraz innych zbiorników wodnych przed zanieczyszczeniem.

Polska nie śpieszyła się zbyt z przyjęciem tych regulacji. W końcu Bruksela zagroziła Warszawie utratą 3,5 mld euro z funduszy europejskich, w tym na inwestycje przeciwpowodziowe, oraz nałożeniem stosownych kar przez Komisję Europejską.

Politycy Prawa i Sprawiedliwości, publicznie demonstrujący obrzydzenie wobec unijnych – czytaj niemieckich – żądań, tym razem podeszli do sprawy z entuzjazmem, gdyż zorientowali się, że to świetna okazja, aby powołać w kraju scentralizowany system zarządzania wodami i obsadzić go swojakami.

Nowa instytucja miała przejąć nie tylko zadania samorządów, obowiązki

Krajowego Zarządu Gospodarki Wodnej oraz siedmiu regionalnych zarządów zajmujących się gospodarowaniem wodami, ale też krzepiąco wielki majątek.

Zdaniem rządzących można było równocześnie rozwiązać problem ciągłego niedofinansowania tych instytucji, dzięki dodatkowo pozyskanym środkom. Zakładano, że pieniądze będą pochodziły głównie z opłat za usługi wodne, np. za pobór wód czy naruszanie warunków korzystania ze środowiska.

Jak postanowiono, tak zrobiono. To, co działo się później, stało się przedmiotem dociekań pracowników Najwyższej Izby Kontroli. W obszernym sprawozdaniu opublikowanym w roku 2020 opisali oni liczne patologie, do których doszło w związku z organizacją

Państwowego Gospodarstwa Wodnego Wody Polskie. Zdaniem NIK proces ten przebiegał bez wystarczających środków finansowych, bez dostatecznej liczby wykwalifikowanych pracowników i bez właściwej koordynacji w podejmowaniu zadań i majątku od samorządów, stwierdzone zostały także zaniedbania w zarządzaniu.

Znamienne, że inspektorzy NIK nie mieli nawet możliwości zweryfikowania danych finansowych dotyczących kontrolowanej instytucji, gdyż sprawozdanie finansowe za rok 2018 udostępniono im w przedostatnim dniu kontroli, a rozbieżności między danymi, które wówczas im dostarczono, a tymi uzyskanymi w trakcie kontroli sięgały kilkuset milionów złotych. Ostatecznie w miejsce pierwotnie „wypracowanego” zysku w kwocie 95 mln zł pojawiła się po kolejnych korektach strata – 38,5 mln zł.

Nie dało się też potwierdzić wiarygodności informacji ujętych w sprawozdaniu z wykonania planu finansowego Wód Polskich za rok 2019. W konsekwencji NIK odstąpiła zarówno od oceny wykonania rocznego planu finansowego WP za rok 2018, jak i od oceny sprawozdania z wykonania planu finansowego za rok 2019.

W mediach pojawiły się opinie, że ta instytucja to „moloch bez steru”. Za to ze sternikiem – którym był wówczas Przemysław Daca. W przyszłości jeszcze będzie o nim głośno.

Pracownicy NIK ustalili, że początkowo pieniędzy brakowało na wszystko. Trafiliem w ich raporcie na informację, że kierownik Nadzoru Wodnego w Sochaczewie w pierwszym półroczu 2018 r. korzystał w pracy z prywatnego laptopa, a pracownicy za własne pieniądze kupowali papier do drukarek i tonery.

W tym samym czasie w Zarządzie Zlewni w Łowiczu brakowało komputerów, drukarek i kserokopiarek, a dyrektor, wprowadzając do systemu informatycznego np. faktury za prąd, korzystał z prywatnego sprzętu i prywatnego dostępu do sieci internetowej.

Kierownicy 10 z 18 skontrolowanych jednostek Wód Polskich skarżyli się, że brakuje im pracowników. Na przykład w Regionalnym Zarządzie Gospodarki Wodnej w Szczecinie

zadania, które przed reformą na podległym mu terenie wykonywało 100 osób, po zmianach wykonywało ok. 30 ludzi.

Dwa lata po utworzeniu Wód Polskich ich prezes nie dysponował informacjami o liczbie przejętych nieruchomości gruntowych, budynków oraz urządzeń należących do skarbu państwa! Innymi słowy, nie wiedział, jakim dysponuje majątkiem. Za to braki kadrowe, na które zwrócili uwagę pracownicy NIK, okazały się świetną wymówką – kierownictwo Wód Polskich tłumaczyło tym nierealizowanie niektórych zadań czy niewłaściwą realizację innych.

Konsekwencji nikt się nie obawiał. Prezes Daca i członkowie jego zarządu byli „niezatapialni” i „nie do wyjęcia”. Oczywiście do czasu.

Ustawione przetargi i kosztowne bryki

W połowie 2021 r. gruchnęła wieść, że Wody Polskie kupują nowe samochody. Stanęło na tym, że nabyto 308 SUV-ów, busów i pikapów za ok. 28-30 mln zł oraz kolejne 247 aut za 25 mln zł. Równocześnie kierownictwo miało korzystać z aut w długoterminowym leasingu. W mediach znalazłem informację, że dla jednej pani wiceprezes wyleasingowano sportowe porsche. Władze WP zaprzeczyły tej rewelacji.

Prezes Daca z godnością tłumaczył, że zakupy samochodów były niezbędne do sprawnej realizacji zadań przez instytucję, którą kieruje. I nie sposób z nim się nie zgodzić.

Poza tym NIK ustaliła, że w roku 2018 za prawie 17 mln zł kupiono 200 samochodów SUV Hyundai Tucson, które, delikatnie mówiąc, średnio nadawały się do jazdy po koronach wałów przeciwpowodziowych. Oczywiście hyundaie kupiono bez opon zimowych, dlatego później

przyszło Wodom Polskim ogłosić przetarg na ich dostawę.

Na usprawiedliwienie można dodać, że koreańskie SUV-y były po liftingu, z napędem na cztery koła i kosztowały ok. 84 tys. zł za sztukę, co było dobrą ceną.

Z kolei pod koniec 2021 r. poszła w świat wiadomość, że funkcjonariusze Centralnego Biura Antykorupcyjnego, działając na polecenie Prokuratury Okręgowej Warszawa-Praga, zatrzymali dwóch pracowników jednostki organizacyjnej Wód Polskich, Zarządu Zlewni w Dębem, oraz specjalizujących się w pracach melioracyjno-wodnych przedsiębiorców z województw mazowieckiego i łódzkiego. Zrzucono im ustawianie przetargów. Ze stanowiska odwołany został Longin Jankowski, dyrektor Zarządu Zlewni w Dębem, od dawna związany z Prawem i Sprawiedliwością. Kierownictwo Wód Polskich ustami swojej rzeczniczki tłumaczyło, że firma ogłasza rocznie ponad 10 tys. postępowań z zakresu zamówień publicznych i nie sposób upilnować ponad 6,5 tys. pracowników.

W tym czasie podśmiewano się również z mundurów oraz stopni na naramiennikach i eleganckich czapek, które pracownikom zafundowało ▶

Ukazał się nowy numer
Zdania (2/2025)



9 zł

**Troje na jednego
z Waldemarem Dąbrowskim**

W wersji elektronicznej dostępny
na sklep.tygodnikprzeglad.pl

► kierownictwo PGW WP. Uniformy przypominały mundury Marynarki Wojennej. Niemal admirałski mundur oraz bogato zdobioną czapkę przewidziano także dla ministra właściwego ds. gospodarki wodnej!

Największą wpadką Wód Polskich była katastrofa ekologiczna na Odrze, która wydarzyła się pod koniec lipca 2022 r. Z powodu wysokiego zasolenia rzeki, będącego skutkiem zrzutów wód kopalnianych, oraz panującej wówczas wysokiej temperatury doszło do masowego rozwoju tzw. złotej algi i śnięcia ryb.

Sprawa została nagłośniona przez media. Początkowo kierownictwo Wód Polskich próbowało ją zbagatelizować. W mediach społecznościo-wych wrzało. W sieci pojawiły się filmy z martwymi rybami. I dopiero wtedy oficjele ruszyli się z miejsc.

Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie zatrudnia ok. 6,5 tys. pracowników.

Pierwsze komunikaty z ostrzeżeniami pojawiły się w okolicach 12 sierpnia 2022 r. Tego dnia premier Mateusz Morawiecki odwołał ze stanowiska prezesa WP Przemysława Dacę i głównego inspektora ochrony środowiska Michała Mistrzaka.

Po trzech miesiącach Daca odnalazł się na stanowisku zastępcy dyrektora Instytutu Ochrony Środowiska – Państwowego Instytutu Badawczego. Żli ludzie twierdzili, że posadę załatwił mu Paweł Rusiecki, wiceprezes Wód Polskich, prywatnie małżonek ministra klimatu i środowiska Anny Moskwy, której instytut podlegał.

Po przejęciu władzy przez Koalicję 15 Października nastąpiła zmiana na stanowisku prezesa WP. Krzysztofa Wosia, który w 2022 r. został prezesem po Dacy, w styczniu 2024 r. zastąpiła dr Joanna Kopczyńska.

Politycy Platformy Obywatelskiej trochę krecili nosem na awans „pisówki” – w przeszłości Kopczyńska współpracowała z ministrem gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej Markiem Gróbarczykiem, a w latach 2018-2021, gdy Wodom Polskim prezesował Daca, była członkiem zarządu tej instytucji. Nic jednak nie

mogli zrobić. Ostatecznie minister infrastruktury Dariusz Klimczak z PSL odwołał ją kilka dni temu. Dziś wiemy, że nowego prezesa Wód Polskich czekają nowe wyzwania. On ma Wody zlikwidować!

Wiele musi się zmienić, by zostało po staremu

Rzecz w tym, że Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie to moloch, którego kierownictwo z eleganckiego wieżowca przy ulicy Tytusa Chałubińskiego 8 w Warszawie próbuje zarządzać tym, co się dzieje w Szczucinie, Miedoni, Wąchocku, Ścinawie i Włodawie.

Politycy Polskiego Stronnictwa Ludowego, którzy reprezentują w Sejmie samorządowców, od dawna prezentują pogląd, że część uprawnień

Wisły, który przejmie zadania inwestycyjne i eksploatacyjne związane z dorzeczem królowej polskich rzek, oraz Zarządem Dorzecza Odry, który miałby analogiczne zadania. Dodatkowo przewiduje powołanie powiatowych inspektorów administracji wodnej, których zadaniem będzie współpraca z samorządami.

W kierowanym przez niego resorcie infrastruktury pojawił się też pomysł utworzenia Funduszu Wodnego na wzór funkcjonujących już funduszy drogowego i kolejowego. Fundusz ten miałby zapewnić stabilne wieloletnie finansowanie zadań związanych z gospodarką wodną. Środki pochodziłyby z opłat wodnych i z dochodów z działalności gospodarczej.

Nic dziwnego, że plany ministra Klimczaka zyskały uznanie samorządowców. Poparcia udzielił mu marszałek województwa mazowieckiego Adam Struzik, który nazwał Wody Polskie „centralistycznym molochem, który trzeba zlikwidować”. Wtórował mu marszałek województwa kujawsko-pomorskiego Piotr Całbecki, który stwierdził, że województwom „powinny być przywrócone pewne nasze kiedyś odebrane funkcje, takie jak chociażby zarządzanie wodami. Rolnictwo nie może funkcjonować bez irygacji, retencji itd.”.

Samorządowcy chcieliby przywrócenia im kompetencji do zatwierdzania taryf za wodę i ścieki. Plany ministra wychodzą naprzeciw tym oczekiwaniom. Resort infrastruktury przewiduje, że rada gminy będzie ponownie odpowiedzialna za zatwierdzanie taryf w drodze uchwały. Z pewnymi ograniczeniami: Wody Polskie lub Krajowa Administracja Wodna będą miały prawo do interwencji w przypadku podwyżek przekraczających 15% lub wzrostu o poziom inflacji.

Plany resortu zakładały, że już w przyszłym roku zmiany wejdą w życie. Czy tak się stanie? Nie wiadomo. Na razie w Ministerstwie Infrastruktury trwają dyskusje i prace studyjne. Jest nowy prezes Wód Polskich, Mateusz Balcerowicz. A jeśli zdarzy się powódź, z którą rząd sobie nie poradzi, wróci stare, dobre hasło: „Balcerowicz musi odejść!”.

Grzegorz Rudnik



Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Ponad podziałami

Ostatnio sporo czytam o konieczności zasypywania przepaści, która powstała w Polsce między zwolennikami prawicy a całą resztą, czasami nieopatrznie nazywaną „obozem lewicowo-liberalnym” (nieopatrznie, albowiem różnice pomiędzy liberałami i lewicowcami są spore, delikatnie rzecz ujmując). Boję się, że nadzieje na skuteczność takiego zabiegu są płonne, sprawy zaszły za daleko. W polityce zakorzeniła się nienawiść, czego jedną z głównych przyczyn są media (pseudo)społecznościowe, fatalny wynalazek ludzkości, który prawdopodobnie doprowadzi do jej upadku, a przynajmniej do kompletnego zidiocenia. To im zawdzięczamy epidemię chamstwa, agresji i skłonności do poniżania, a także bezwstydne ukazywanie swojej niewiedzy jako cnoty, powszechnej amatorszczyzny przebiegającej się w szatki znawstwa (tzw. influencerzy), a wreszcie pogardzania nauką, czyli „nowego obskurantyzmu”. Media społecznościowe to jednak temat na osobny felieton.

Po tym rytualnym narzekaniu będzie o czymś pozytywnym – nie przypadkiem sprzed epoki mediów społecznościowych. Chodzi mi o seminaria lucieńskie, organizowane z inicjatywy prezydenta Lecha Kaczyńskiego w latach 2006-2009 w Lucieniu koło Płocka, gdzie znajduje się dawny ośrodek wypoczynkowy Kancelarii Prezydenta RP. Miałem trzykrotnie przyjemność brać w nich udział i jestem dumny z uczestnictwa, choć przecież już wtedy moje poglądy polityczne były odległe od tych, które prezentował obóz ideowy prezydenta.

No właśnie. Seminaria te zbierały ludzi wywodzących się z różnych politycznie i ideowo środowisk, choć niewątpliwie dominowali zwolennicy wizji prawicowo-konserwatywnej. Były one autentycznymi spotkaniami naukowymi, w trakcie których można było spokojnie i bez zaciętrzewienia dyskutować o ważnych sprawach. Panowała atmosfera wzajemnego szacunku i uznania. Otwartość na argumenty. Były to ciekawe, poważne rozmowy. Z pewnością za tę znakomitą atmosferę odpowiadali nie tylko (ówcześnie) młodzi członkowie gabinetu prezydenta Kaczyńskiego, niekryjący swoich ambicji intelektualnych i ciekawie je realizujący, ale także, a może przede wszystkim, sam prezydent. (Mój udział w tych spotkaniach zawdzięczam, oprócz łaskawości prezydenta, który sam akceptował wszystkich uczestników spotkań, starej przyjaźni z Andrzejem Zybortowiczem, doradcą Lecha Kaczyńskiego. Choć już wtedy dzieliły nas poglądy

polityczne, to wciąż łączyły setki przegadanych godzin i bardzo podobne poglądy naukowe). Widać było, jak rozkwita w trakcie debaty intelektualnej, jak bliska jest mu atmosfera seminarium naukowego. Wierzyłem mu bez zastrzeżeń, gdy podczas jednego z seminariów wyznał, że zdecydowanie bardziej lubi rolę naukowca niż prezydenta. Jego wypowiedzi w trakcie seminariów były zresztą zawsze kompetentne, bez względu na ich temat dominujący. Spotkania przy czerwonym winie, po oficjalnej kolacji, ukazywały go zaś jako człowieka bardzo miłego, nieco nieśmiałego, dysponującego poczuciem humoru i umiejętnością ciekawego opowiadania różnych anegdot ze świata polityki.

Również oprawa owych seminariów była zaiste przednia i przypominała mi miesiące spędzone onegdaj w Cambridge. Znakomita kolacja, świetne wino. Piszę o tym nie bez kozery. Wszak szacunek dla ludzi nauki, wyrażający się także w sposobie ich przyjmowania jako gości, nie jest w Polsce zbyt częsty. Wspominam o tym wszystkim, żeby pokazać, że możliwe jest spotkanie się

Jest możliwa dyskusja ludzi o różnych poglądach, a prezydent państwa może mieć klasę intelektualną i osobistą, która powoduje, że nawet przeciwnicy ideowi są dlań pełni szacunku.

ludzi o różnych poglądach politycznych i dyskusowanie, że mogą istnieć wartości sytuujące się ponad podziałami ideowymi, a wreszcie, że prezydent państwa może mieć klasę intelektualną i osobistą, która powoduje, iż nawet przeciwnicy ideowi są dlań pełni szacunku. Wspominam seminaria lucieńskie z łezką w oku. Pozwalały one uwierzyć w istnienie lepszej Polski, mądrzejszej i ciekawszej, niż to się wydawało na pierwszy rzut oka.

Gdzie ta Polska się podziała? Dlaczego wszystko wokół nas tak spsiało, a spokojna, poważna rozmowa pomiędzy ludźmi różniącymi się wyznawanymi opcjami ideowymi jest tak rzadka i coraz trudniejsza? Nadmierna polityzacja naszego życia społecznego fatalnie wpłynęła na jego jakość. A przecież, jak pisał jeden ze sławnych filozofów amerykańskich, „we wszystkim jest trochę polityki, ale nie wszystko jest polityką”. Przyjęcie do wiadomości tego dictum pozwala wciąż przyjaźnić się z osobami, z którymi politycznie się nie zgadzamy. Okazywać szacunek naszym przeciwnikom ideowym. Zachowywać dobre maniery we wzajemnych kontaktach. Wierzę, że wszystko to wciąż jest możliwe, choć tej wiary we mnie coraz mniej. ■

Kraj drogowych zabójców

Poziom bezpieczeństwa drogowego od kilku lat jest taki sam. Wakacyjne statystyki wypadków nie napawają optymizmem

Kornel Wawrzyniak

Policja z początkiem każdego wakacji prezentuje mapę wypadków drogowych ze skutkiem śmiertelnym. To już siódma edycja akcji. W zeszłym roku w Polsce w czasie wakacji odnotowano 375 wypadków śmiertelnych. Gdy piszę ten tekst, licznik wskazuje 54 ofiary śmiertelne. – Okres wakacyjnego odpoczynku stwarza zawsze sytuacje, gdzie koncentracja nam siada. Jadąc na urlop, już jesteśmy myślami w innym miejscu. Dodatkowo w podróży robi się zamieszanie. Czasem płacze dziecko, czasem bagaż jest źle rozłożony czy radio gra za głośno, a to wszystko obniża skupienie kierowcy – przestrzega instruktor i specjalista od bezpiecznej jazdy Sławomir Moszczyński.

Podstawy ratują życie

Problemem jest jednak nie tylko poziom skupienia, lecz także codzienna kultura jazdy polskich kierowców. W 2024 r. w Polsce doszło do 21 519 wypadków drogowych, w tym 1729 z ofiarami śmiertelnymi. Zginęło 1896 osób. Jeśli chodzi o liczbę zabitych w wypadkach, zajmujemy niechlubne czwarte miejsce w Unii Europejskiej za Francją, Włochami i Niemcami. Według raportu KGP o wypadkach drogowych to w Polsce w 2023 r. odnotowano najwyższy wskaźnik zabitych na 100 wypadków – 9,0. Znajdująca się na drugim miejscu Bułgaria miała 7,5. Podobnie wyglądało to w poprzednich latach – w 2021 r. było 2245 zabitych, w 2022 r. 1896 i w 2023 r. 1893.

Polacy często są nieodpowiednio przygotowani do wakacyjnych



podróży, co wskazuje ekspert. – Zapominamy o przygotowaniu samochodu. Pakujemy walizki i już chcemy wyjeżdżać. Tymczasem trzeba jeszcze sprawdzić ciśnienie w kołach, zadbać o trójkąt ostrzegawczy, sprawdzić koło zapasowe i spakować apteczkę (nawet jeśli jest nieobowiązkowa). To zmniejsza ryzyko kolizji drogowej, bo każda przypadkowa sytuacja jest wtedy mniej stresująca. Na przykład trójkąt sprawi, że będziemy widoczni podczas niespodziewanego postoju czy awarii. Taka drobna rzecz potrafi uratować życie – podkreśla Sławomir Moszczyński i dodaje: – Jeśli czeka nas długa trasa, powinniśmy robić przerwy. Jazda 11 godzin ciągiem tylko po to, żeby szybciej wypić drinka na plaży, ma najczęściej skutek odwrotny do zamierzonego. Przez pośpiech można nie dojechać na miejsce wcale.

(Nie)kulturalni kierowcy

Nieskuteczna egzekucja przepisów sprawia, że polscy kierowcy niespecjalnie boją się konsekwencji. Trudno o szacunek dla przepisów, skoro nie przestrzegają ich również politycy. 26 czerwca br. „Gazeta Zielonogórska” ujawniła nagranie z groźnego zderzenia na trasie S3. Ciemna skoda superb siedzi na zderzaku innego pojazdu, po czym wyprzedza go prawym pasem, uderza w przód wyprzedzanego samochodu i rozbija się o barierki. Drogowym piaratem okazał się Marcin Jabłoński, marszałek województwa lubuskiego.

Mrożące krew w żyłach chwile przeżyli niedawno podróżujący autostradą A4, na której grasował niebezpieczny kierowca mercedesa. 37-letni mężczyzna zajeżdżał kierowcom drogę. Zatrzymał ruch. Kopał inne samochody. W pewnym momencie położył

się w majtkach i podkoszulku na środku autostrady. – W sprawie kierowcy mercedesa na autostradzie A4 powinien się wypowiadać lekarz psychiatra. Nikt przy zdrowych zmysłach nie stwarzałby takiego zagrożenia i nie zachowywał się w ten sposób. Nie wiem, co ten ktoś chciał przekazać lub udowodnić. Nie widzę tam jednak żadnej głębszej myśli, nic oprócz głupoty, która mogła doprowadzić do nieszczęścia. Tym, co możemy zrobić, jest edukowanie i uczenie empatii za kierownicą. Powinniśmy też pomyśleć o zmianie przepisów, które mówiłyby o kulturze jazdy – komentuje Sławomir Moszczyński.

Głośna jest również sprawa wrześnieowego wypadku na Trasie Łazienkowskiej, gdzie rozpędzony volkswagen arteon uderzył w forda z czteroosobową rodziną w środku. Zginął 37-letni pasażer forda, ojciec dwójki dzieci. Łukasz Żak, który kierował volkswagenem, został oskarżony przez prokuraturę o prowadzenie auta w sposób zagrażający bezpieczeństwu drogowemu. Żak miał też kierować pod wpływem alkoholu. Prokurator Katarzyna Niemiec-Rudnicka dodała, że oskarżony spowodował wypadek, podczas gdy prawomocnym wyrokiem z 21 grudnia 2023 r. został wobec niego orzeczony zakaz prowadzenia wszelkich pojazdów mechanicznych. „A także czynu tego dopuścił się w okresie pięciu lat po odbyciu co najmniej sześciu miesięcy kary pozbawienia wolności za umyślne przestępstwo podobne”, przypomniała Niemiec-Rudnicka.

Uwagę zwraca w tej sprawie nieprzestrzeżenie sądowego zakazu

prowadzenia auta. Okazuje się, że to zjawisko dość powszechne. Jak podaje serwis Otomoto.pl, tylko w zeszłym roku zatrzymano ponad 25 tys. osób za prowadzenie pojazdu pomimo utraty uprawnień. Średnio każdego dnia policjanci zatrzymują 69 takich kierowców. Warto wspomnieć, że od 2017 r. kara za złamanie sądowego zakazu wynosi od trzech miesięcy do pięciu lat pozbawienia wolności. Według portalu Otomoto.pl dziś jedynie co czwarty zatrzymany trafia do więzienia, zwykle na kilka miesięcy, maksymalnie na rok.

W zeszłym roku w Polsce w czasie wakacji odnotowano 375 wypadków śmiertelnych.

Zgodnie z danymi, do których dotarł portal Interia, na koniec 2024 r. 773 kierowców ma na koncie ponad 10 sądowych zakazów prowadzenia pojazdów. Wobec kolejnych 15 sądy orzekły go... ponad 20 razy. Rekordzista zebrał ich 34! Dlaczego wielokrotnie recydywiści nie trafiają za kratki? Powód jest paradoksalny – część wyroków nie nadąża się uprawomocnić.

Warto zwolnić

– Mam takie wrażenie, a jestem już ćwierć wieku instruktorem nauki jazdy, że ludzie nie szanują własnego zdrowia. Bardzo często pojawia się ganieanie za rekordem. Nie za bardzo wiadomo, za jakim, bo próba jego pobicia bardzo często kończy się niestety tak samo, czyli śmiercią

na drodze. A to najgorszy wynik, jaki ktokolwiek chciałby osiągnąć – mówi „Przeładowi” Sławomir Moszczyński.

Polacy mają ciężką nogę i części z nich żadne przepisy nie są w stanie przestraszyć. Od 18 maja 2015 r. policja zabiera prawo jazdy za przekroczenie dozwolonej prędkości w obszarze zabudowanym o 50 km/godz. Uprawnienia do jazdy traci się w takim przypadku na trzy miesiące, już na etapie kontroli policyjnej. W lipcu 2024 r. policzono, że od wprowadzenia tzw. przepisu 50+ prawo jazdy

na trzy miesiące jedynie z powodu nadmiernej prędkości zawieszono 325 tys. kierowców. Rekordowy był rok 2020 r., kiedy uprawnienia na trzy miesiące straciło ponad 58 tys. osób.

Statystyka pokazuje, że polscy kierowcy mają również krótką pamięć co do nowych przepisów. Od 2016 r. (33 tys. odebranych praw jazdy) do 2018 r. (25 tys.) liczba zatrzymań spadała, aby w 2019 r. skoczyć do 45 tys. i znów zacząć rosnąć. Znaczny spadek odnotowano dopiero w 2022 r., kiedy ponownie zastrzyżono kary – w szczególności za prędkość.

W tym roku rząd przyjął projekt zmian przepisów przewidujący kolejne zastrzyżenie kar dla piratów drogowych. Nagłówki w portalach internetowych krzyczą: „Pięć lat więzienia za 150 km/godz. na ekspresówce”. Problem w tym, że groźba surowych kar, co można było zauważyć od ostatniej zmiany przepisów, nie działa. Eksperti z portalu Rankomat.pl przeanalizowali dane z Komendy Głównej Policji dotyczące utraty uprawnień do prowadzenia pojazdów. Główne przyczyny odbierania prawa jazdy z lat 2021-2023 i pierwszej połowy 2024 r. to kierowanie pojazdem pod wpływem alkoholu lub środków odurzających oraz przekroczenie prędkości o 50 km/godz. w terenie zabudowanym. W wymienionym okresie polska policja zatrzymała łącznie niemal 300 tys. praw jazdy. Jeśli chodzi ▶

Kilka wakacyjnych porad dla kierowców od instruktora jazdy Sławomira Moszczyńskiego:

Odetchnijmy, zanim wyruszymy w dłuższą trasę. Kierowca musi być wypoczęty. Pamiętajmy też, że nawigacja nie zawsze dobrze nas prowadzi. Bądźmy uważni. Bardzo ważne jest również przygotowanie auta do jazdy. Oprócz apteczki i trójkąta ostrzegawczego pamiętajmy o zatankowaniu samochodu, aby nie stanąć z braku paliwa na autostradzie, bo stanie na drogach szybkiego ruchu i autostradach jest bardzo niebezpieczne. A przede wszystkim włączmy myślenie i empatię.



o prędkość, tendencje są spadkowe. Ale jeśli chodzi o odbieranie prawa jazdy za prowadzenie po pijaku, tendencja utrzymuje się na poziomie ponad 40 tys. rocznie.

KGP przekazała, że w 2024 r. policjanci zatrzymali 91,3 tys. kierowców pod wpływem alkoholu. – Mówimy tutaj o stanie po użyciu alkoholu i stanie nietrzeźwości

W 2024 r. w Polsce doszło do 21 519 wypadków drogowych. Zginęło 1896 osób.

łącznie – przekazał nadkom. Robert Opas z KGP. Policjanci przebadali ponad 16 mln użytkowników ruchu na zawartość alkoholu i ujawnili 26 155 wykroczeń polegających na przekroczeniu prędkości powyżej 50 km/godz. w obszarze zabudowanym. – Jeżeli chodzi o sprawców pod wpływem alkoholu, tutaj wypadków było 1201, ofiar 151, a rannych 1428 – uzupełnił nadkom. Opas.

Stereotyp

– Ironicznie mówi się, że jest taka marka pojazdu, której nazwa już zobowiązuje do określonych zachowań na drodze i raczej nie należą one do bezpiecznych. Niestety tych określonych marek, lub tej jednej konkretnej, jest fakt, że udział tych aut w wypadkach na polskich drogach jest większy niż innych pojazdów. Oczywiście konstrukcja, np. moc silnika, sprzyja takim sytuacjom. Jednak należy pamiętać, że to człowiek prowadzi samochód i to bezmyślność kierowcy jest powodem nieszczęść – podsumowuje ekspert od bezpiecznej jazdy Sławomir Moszczyński.

Kierowcy pojazdów marki BMW od lat są kojarzeni z ryzykownym stylem prowadzenia. W oficjalnych komunikatach policyjnych regularnie pojawiają się informacje dotyczące incydentów i wypadków z ich udziałem. W internecie można znaleźć liczne nagrania dowodzące niebezpiecznych zachowań kierowców samochodów tej marki. W każdym żarcie czy stereotypie tkwi ziarno

prawdy. Według danych zgromadzonych przez firmę CarVertical, która bada przeszłość wypadkową samochodów wystawianych na sprzedaż, ponad 82% pojazdów marki BMW miało na koncie jakąś szkodę. Na drugim miejscu znalazło się Mini, które od lat działa pod skrzydłami BMW. Pierwszą trójkę zamyka dość egzotyczny w Polsce Dodge.

Dane od CarVertical pokrywają się z wyliczeniami Towarzystwa Ubezpieczeniowego Compensa z 2022 r., które sprawdziło zależność między marką pojazdu a liczbą powodowanych szkód. Na pierwszym miejscu znów BMW. Zgodnie z wyliczeniami Compensa kierowcy tej marki powodują o 55% wyższe szkody niż kierowcy najmniej wypadkowej marki na skali, czyli Hyundai. Warto zauważyć, że drugie miejsce zajął Volkswagen (22%), a trzecie Škoda (17%).

Według portalu Otomoto.pl najchętniej wyświetlane oferty samochodów używanych w zeszłym roku to modele BMW serii 3, Audi A4

W 2024 r. policjanci zatrzymali 91,3 tys. kierowców pod wpływem alkoholu.

i BMW serii 5. Dane dotyczące rejestracji używanych samochodów osobowych pokazują, że zarówno A4, jak i seria 3 ma naprawdę duże wzięcie. Ich konstrukcja, dobre osiągi i przystępna cena na rynku wtórnym zgrywają się często z brawurą niektórych kierowców i skłonnością do „sportowego” stylu jazdy.

Rząd zapowiedział zaostrzenie kar dla bandytów drogowych. W komunikacie przygotowanym przez Ministerstwo Sprawiedliwości wspólnie z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych i Administracji oraz Ministerstwem Infrastruktury czytamy: „Wypracowaliśmy kompleksowe propozycje, które dotyczą Kodeksu karnego, Kodeksu wykroczeń, jak również przepisów

Prawa o ruchu drogowym. Jesteśmy przekonani, że będą one celną odpowiedzią na to, co jest plagą na polskich drogach – lekceważenie norm, które prowadzi często do śmierci obywateli”. Według rządu zaostrzenie przepisów pozwoli wyeliminować z ruchu drogowego recydywistów z wielokrotnymi zakazami prowadzenia pojazdów. Przypadek pojazdu na podstawie wyroku sądowego będzie możliwy także wówczas, gdy sprawca był trzeźwy, ale kierował pojazdem pomimo obowiązującego zakazu.

W razie naruszenia zakazu prowadzenia pojazdów sąd będzie mógł warunkowo zawiesić wykonanie kary pozbawienia wolności jedynie w szczególnie uzasadnionych wypadkach. Zmiany będą dotyczyły również wprowadzenia dożywotniego zakazu prowadzenia pojazdów w przypadku skazania za niestosowanie się do orzeczenia zakazu ich prowadzenia.

Nowe rozwiązania zakładają ponadto podniesienie dolnej granicy świadczenia pieniężnego, które orzekane jest obowiązkowo za niestosowanie się do zakazu prowadzenia pojazdów – z 5 tys. zł do 10 tys. zł. Pozostaje jednak to samo pytanie, co przy każdym ewentualnym zaostrzeniu przepisów dotyczących drogowych bandytów: kto i kiedy będzie to egzekwował?

Weźmy sobie do serca radę Sławomira Moszczyńskiego: pośpiech nie przynosi żadnych korzyści. – Przypomnę, że w obszarze zabudowanym (jeśli znaki nie stanowią inaczej) mamy ograniczenie do 50 km/godz. Na trasach szybkiego ruchu maksymalna prędkość to 120 km, a na autostradach 140 km/godz. I jeśli ktoś chce jechać bezpiecznie, to te prędkości są wystarczające. Robiono liczne pomiary, aby sprawdzić, ile czasu zyska się, przejeżdżając trasę znacznie powyżej dozwolonych prędkości. Czasami te różnice wynosiły trzy minuty, czasem osiem minut. Czy warto ryzykować? Decyzja oczywiście należy do czytelników. Jak dla mnie, absolutnie nie warto.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeгляд.pl

Ludzie przychodzili po kryminały i „ceramy”

W 1989 r. małą księgarnię można było wziąć w ajencję. To wzięłam!

Anna Wyrwik

– W 1989 r. zaczęła się w Polsce transformacja, powstawały nowe sklepy, warzywniaki, kosmetyczne, z ciuchami, zaczęło się ruszać. Zastanawialiśmy się, czy i księgarnia pójdzie, ale co miało nie pójść! – opowiada Magdalena Wójtowicz, która właśnie od 1989 r. prowadzi w Kluczach Księgarnię.

Jak rzucili klasykę czy encyklopedie, ustawiała się kolejka

Klucze to wieś będąca siedzibą gminy o tej samej nazwie, położona w powiecie olkuskim, na północy województwa małopolskiego, przy granicy z województwem śląskim. Jej początki sięgają XIV w., kiedy to Elżbieta, matka Ludwika Węgierskiego – jak głosi strona gminy – „sprzedała Jaškowi i Wawrzkowi kluczewskie sołectwo z 2 sadzawkami rybnymi i łąką z rudą kopalnianą za 30 grzywien”. Nazwa Klucze pochodzą od zaplątanego w historię miejscowości klucznika albo od kluczy po prostu.

Zróbmy przeskok do XX w., a konkretnie do lat 60., kiedy w Kluczach dzieciństwo spędzała Magdalena Wójtowicz.

– Ziemię tu były słabe i od dawna nikt z rolnictwa nie wyżył – mówi. Kluczanki i kluczanie żyli głównie z Huty Szkła Walcowanego w pobliskim Jaroszowcu, z powstałych jeszcze w XIX w. Kluczewskich Zakładów Papierniczych, czyli słynnej „papierni”, i wielu innych okolicznych zakładów. Pracowała w nich m.in. mama Magdaleny, a że pracowała w dziale zbytu, miała kontakty z wydawnictwami, które przysyłały jej książki. – Mama



Niewielki pawilon w centrum wsi, z napisem socrealistyczną czcionką: KSIĘGARNIA, to miejsce, w którym wciąż można spotkać Magdalenę Wójtowicz.

czytała książki wyczynowo – uśmiecha się Magdalena. – Dla niej nie było książki za grubej, za trudnej, za nudnej. Każdą przeczytała i każdą potrafiła opowiedzieć.

Książki czytała też babcia Magdaleny, która nie chodziła do szkoły, czytać nauczyła się sama. Jak wspomina Magdalena, Kraszewski zawsze był koło łóżka.

Klucze się rozwijały, na oczach Magdaleny zbudowano nowe osiedle, a w roku 1966 powstała księgarnia Domu Książki.

Państwowe Przedsiębiorstwo Dom Książki powstało wcześniej, bo w roku 1950. W okresie świetności podlegało pod nie ok. 1 tys. księgarń w całym kraju. Wśród nich były małe księgarnie, takie jak ta w Kluczach. Wybudowano dla niej niewielki pawilon w centrum wsi, z charakterystycznym dla pawilonów z tamtego

okresu dachem idącym w górę i wystającym poza ścianę budynku oraz napisem socrealistyczną czcionką: KSIĘGARNIA.

„Księgarnia mojego dzieciństwa. Zawsze chętnie wracam. Zawsze jakaś nowość się trafi. No i ten zapach”, napisał ktoś opinię w internecie. Z pewnością wiele mieszkańek i mieszkańców Klucze by ją powtórzyło. Na pewno powtarza ją Magdalena, bo Księgarnia jest także księgarnią jej dzieciństwa.

Na początku lat 60. książek w Księgarni było mało. Na górnej półce stały „Dzieła wszystkie” Lenina i niewiele więcej. Zmieniło się to w latach 70. – Książek było trochę więcej i pamiętam, że jak rzucili klasykę, słowniki czy encyklopedie, przed Księgarnią ustawiała się kolejka.

Magdalena tak samo jak mama i babcia zaczytywała się w książkach. ▶

► Opowiada, jak przyszła do Księgarni kupić „Tomka u źródeł Amazonki”, bo dzień później do jej szkoły miał przyjechać Alfred Szklarski. Kupiła, Szklarski przyjechał, książkę podpisał i Magdalena do dzisiaj ma ten egzemplarz z jego autografem. A później, to wiadomo – liceum, lektury i co wpadło, bo książek było trochę więcej, ale wciąż mało.

W latach 70. i 80. Magdalena pochłaniała książki z serii Proza Iberoamerykańska Wydawnictwa Literackiego. Julio Cortázar i inni to były książki z klimatem, niektóre bardzo dobre, jak dziś wspomina. Czytała wtedy też Czechów, wiadomo, Bohumil Hrabal i reszta.

Studiowała w Krakowie, najpierw na Akademii Ekonomicznej, następnie socjologię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Po studiach wraz z przyjaciółką założyły na Czarnowiejskiej antykwariat. – Nazywał się po prostu Antykwariat. Ludzie przychodzili do nas po kryminały z „czarnej serii” i po „ceramy”.

„Czarna seria” naprawdę nosiła nazwę Klub Srebrnego Klucza i była wydawana od 1956 r. przez Iskry. „Ceramy” z kolei to wydawane od końca lat 50. przez Państwowy Instytut Wydawniczy książki historyczne i kulturoznawcze. Seria nazywała się Rodowody Cywilizacji. Numerym pierwszym była w niej książka o archeologii C.W. Cerama „Bogowie, groby i uczeni”. Stąd potoczna nazwa – „seria ceramowska”.

– Wszystkie szły – mówi Magdalena. – Jeśli ktoś przyniósł jakiegось „cerama”, można było ceny podnosić do woli. I tak się sprzedawało. Można było, bo wtedy stałe ceny musiały mieć księgarnie, antykwariaty miały, jakie chciały.

Co miało nie pójść!

Nastał rok 1989. Polska zmieniała ustrój, większość zakładów przemysłowych zamykano, w „papierni” w Kluczach rozpoczął się proces prywatyzacji, uwieńczony nazwą VelvetCARE Klucze (tak, chodzi o ten papier toaletowy i te chusteczki higieniczne). Prywatyzować się zaczął też Dom Książki (dziś to BookBook).

– Małą księgarnię, jak ta w Kluczach, można było wziąć w agencję – tłumaczy Magdalena. – To wzięłam!

Wzięła, bo z nadejściem nowych czasów nadeszły na Czarnowiejskiej w Krakowie nowe czynsze. A że wraz z mężem Bogdanem bywali w Kluczach i znali tutejszą Księgarnię, bo często kupowali w niej coś do swojego Antykwariatu, postanowili przenieść się na stałe.

I tu dochodzimy do momentu, o którym Magda mówi, że transformacja, że powstawały nowe sklepy, warzywniaki, kosmetyczne, z ciuchami, zaczęło się ruszać. Że zastanawiali się, czy i księgarnia pójdzie, ale co miało nie pójść. Poszło i grało. Dom Książki dawał niewielki czynsz i książki, po które Magdalena z mężem jeździli do Katowic. – Ludzie rzucili się na książki. Wychodziły coraz lepsze rzeczy. Oczywiście wciąż na pnium schodziła klasyka.

Magdalena pamięta, jak przypadkiem dowiedziała się, że drukarnia w Rzeszowie miała nadmiar papieru i wydrukowała ileś tysięcy egzemplarzy „Krzyżaków”. Mąż wsiadł w malucha i przywiózł 200 dwutomowych kompletów. Wszystkie sprzedali.

Diabeł, który leciał z workiem piasku

Magdalena oprowadza mnie po wnętrzu Księgarni. Wyjaśnia, że wszystko zostało tak, jak było, czyli z przodu stoją regały ekspozycyjne, magazynowe z tyłu, a biurko też jest z czasów Domu Książki i tylko komputer na nim się pojawił. To przed nim Magdalena siada codziennie rano, najpierw robi prasówkę, a następnie przegląda nowości na stronach hurtowni.

– W latach 90. nie było dostępu do wiedzy na temat nowych książek, nie było tylu recenzji – przypomina i opowiada, jak już nie w latach 90., bo w 2000 r., ukazały się „Harry Potter i Kamień Filozoficzny” oraz „Harry Potter i Komnata Tajemnic”. – Nikt tutaj nie wiedział, że to jest znane, a ja to ludziom polecałam i mówiłam, że bije rekordy na całym świecie. Jedni mi uwierzyli, drudzy nie, bo wiadomo, że każdy podchodzi z rezerwą,

jak mu się wciska książkę, ale wszyscy wiemy, jak się skończyło.

Pytam Magdę o ludzi w Kluczach, a ona odpowiada, że ludzie tu zawsze byli otwarci. – Kiedyś często przyjeżdżali do Klucza etnografowie, by poznawać lokalne legendy. Mieszkańcy za każdym razem opowiadali im legendę o diable, który leciał z workiem piasku i ten worek wkręcił mu się w krzyż na kluczewskim kościele. Piasek się rozsypał i tak powstała Pustynia Błędowska – Magda się uśmiecha. – Tak naprawdę nie ma żadnej legendy.

Pustynia Błędowska istnieje i jest okoliczną atrakcją turystyczną. Kościół też istnieje. I istnieją ludzie, którzy – jak mówi Magdalena – dzięki bliskości wielu ośrodków miejskich, bo Kraków, Katowice, Śląsk, Zagłębie, za dużo jeździli i za dużo widzieli, by wierzyć w legendy. Etnografowie w końcu przestali przyjeżdżać.

Na pewno w Kluczach czytają sporo

– Wydaje mi się, że ludzie dziś sporo czytają – ocenia Magdalena. – Na pewno w Kluczach.

Z raportu Biblioteki Narodowej „Stan czytelnictwa w Polsce w 2023 roku” wynika, że 43% osób czyta co najmniej jedną lekturę rocznie. W Kluczach do Księgarni przychodzą wszyscy: starzy, w średnim wieku, z dziećmi, najrzadziej młodzież.

– Niektóre nastolatki czytają, ale im starsze, tym jest gorzej, a też nie jestem na bieżąco z ich upodobaniami – przyznaje Magdalena. – Miałam nawet w ręce książki z serii „Rodzina Monet” i to jest straszne! Mama jest zachwycona, że jej nastolatek czyta, bo czyta, ale czyta „Rodzinę Monet”. Gdyby mama przeczytała jeden z tomów, zastanowiłaby się, czy to dobrze, że nastolatek czyta, i czy nie byłoby lepiej, gdyby w tym czasie pobeigał przed domem.

Inaczej jest z dziećmi, bo dziś – jak podkreśla Magdalena – literatura dziecięca jest znakomita. Wspomina pięknie wydawane w latach 90. albumy z serii Larousse’a, które, jak się potem okazało, miały sporo błędów w tłumaczeniach, ale było to w Polsce coś zupełnie nowego.



Teraz wiele jej półek zajmują kolorowe i świetnie zaprojektowane książki dla dzieci. Hitem ostatnich lat jest seria *Biuro Detektywistyczne Lassego i Mai* autorstwa Martina Widmarka i Heleny Willis.

Do Księgarni wchodzi pan, który kupuje książkę „*Idzie wojna? Spodziewaj się najlepszego, przygotuj na najgorsze*” Agnieszki Lichnerowicz oraz „*Małą empirię*” Katarzyny Sobczuk. Magdalena zna swoich klientów i często pod nich zamawia niektóre pozycje. – Kobietom można czasem coś podsunąć, ale mężczyźni nie lubią, jak się im doradza. Wołają sami popatrzeć na wystawę i wybrać – uśmiecha się.

Smith, Maślowska, Norman Davies...

Tak więc Magdalena siada codziennie rano, najpierw robi prasówkę, a następnie przegląda nowości książkowe na stronach hurtowni. Kiedyś zamawiała Małgorzatę Musierowicz, bo się sprzedawała, i Olę Tokarczuk, zanim jeszcze ta dostała Nobla. Bo Wisława Szymborska to faktycznie dopiero po Noblu się objawiła. – Dziś Literacką Nagrodę Nobla dostają mniej znani w Polsce pisarze. Annie Ernaux przed Noblem miała u nas wydaną tylko jedną książkę. A Han Kang? Mało kto ją kojarzy. Ostatnio kupiłam jej książkę na przecenie za 10 zł w Biedronce.

Listy nominowanych do nagród Magda jednak zawsze przegląda,

wiadomo, to jest rekomendacja i to się zamawia. Ona zamawia głównie literaturę piękną, społeczną i okołopolityczną.

Na jej półkach widzę starsze powieści: William Faulkner, „*Wielki Gatsby*” Francisca Scotta Fitzgeralda, widzę nowsze: Zadie Smith, Cormac McCarthy, Dorota Maślowska, Szczepan Twardoch, widzę hit ostatnich lat – powieść „*Dziewczyna, kobieta, inna*” Bernardine Evaristo, a także bestseller ostatniego roku „*New York Timesa*” – „*Gości weselnych*” Alison Espach. Jest „*Głód*” Martina Caparrósa, który wciąż czeka na swojego właściciela, i „*Galicja. Historia nie narodowa*” Normana Daviesa, która pewnie doczeka się go szybciej, bo ten autor zawsze dobrze się sprzedawał.

Magdalena pokazuje mi biografie: Marii Konopnickiej, Antoniego Słonimskiego, „*Panny z »Wesela«*. Siostry Mikołajczykówny i ich świat”, i mówi, że krakowskie klimaty się sprzedają, biografie też, a już te społeczne od czasów „*Chtopek*” najbardziej.

Mówi, że coraz słabiej schodzą książki kucharskie, rzadziej podręczniki. Tematyki religijnej unika.

I tak szło, a potem zaczęło siadać

Pytam Magdalенę o jej ulubione książki. – Cały czas jestem otwarta na nowości. Przede wszystkim lubię czytać powieści. Dobrze skrojone powieści. Ostatnio zachwycili mnie Lisa Genova z „*Motylem*” i Santiago

Magdalena zamawia głównie literaturę piękną, społeczną i okołopolityczną. I książki dla dzieci.

Roncagliolo z „*Nocą szpilek*”. Ale, tak jak mówię, cały czas jestem otwarta na nowych autorów.

Z opublikowanego przez Bibliotekę Analiz raportu „*Kondycja polskiego sektora książkowego*” z 2024 r. wynika, że 52% książek sprzedawanych jest w internecie. W księgarniach sprzedaje się ich 21%. Reszta jest sprzedawana w marketach, punktach pocztowych oraz na targach czy kiermaszach.

Jak wspomina Magdalena, kiedyś Księgarnia prosperowała dobrze. – Rozhulaliśmy. Podręczniki bardzo nas wspierały. To była ciężka robota, bo trzeba było przenosić wiele kartonów, ale dzięki temu był konkretny zysk, który dawał luz na inne rzeczy. I tak szło, a potem zaczęło siadać.

Raport o stanie polskiego rynku książki „*Jeszcze książka nie zginęła?*” przygotowany dla Instytutu Książki przez Polską Sieć Ekonomii podaje, że w 2024 r. w Polsce działało 1668 księgarni zajmujących się sprzedażą detaliczną, z czego 675 należy do dużych sieci. „*Zjawisko zamykania małych punktów handlowych przy rosnącej liczbie sklepów wielkopowierzchniowych – zauważalne w całym polskim handlu – dotyka także księgarnie. W okresie dekad 2010-2020 zamknięto w Polsce niemal co trzecią księgarnię*”, piszą autorzy. I dalej: „*Proces zamykania księgarni dotyka zwłaszcza mniejsze miejscowości, pogłębiając problem dostępu do książek na obszarach peryferyjnych*”.

Dziś obroty Księgarni w Kluczach nie są duże. Magdalena może sobie pozwolić na jej prowadzenie, bo jest na emeryturze i traktuje to jako hobby. Największe obok ogrodnictwa. Bogdan zmarł siedem lat temu, więc wszystko robi sama. Sama sprząta, zamawia, sprzedaje, sama prowadzi księgowość. Mówi jednak, że nie wyobraża sobie, by ktoś zgodził się tu tak pracować. Na pewno na tym nie zarobi. Pytam ją więc o przyszłość. – Wątpię, by Księgarnia przetrwała – odpowiada.

Anna Wyrwik

Snusy, saszetki i używki w polityce

Związki używek z władzą są tak stare, jak stara jest historia ludzkich społeczności

Rozmawia Dominika Tworek

Podczas tegorocznej kampanii prezydenckiej większość Polaków dowiedziała się o istnieniu snusa. Wyjaśni pan dokładnie, co to za produkt?

– Nazwa snus wywodzi się ze Szwecji i pochodzi od „zaciągać się” czy „wdychać”. Bo pierwotnie mieliśmy do czynienia właśnie z wdychaną formą nikotyny. Dopiero później zmieniła się ona w zażywanie doustne. Chodzi o wkładanie produktu nikotynowego pod górną wargę, by absorpcja tej substancji mogła zachodzić bezpośrednio poprzez śluzówkę jamy ustnej.

Tak naprawdę mamy do czynienia z dwoma pojęciami: snusem i saszetkami nikotynowymi.

– Snus to po prostu sproszkowany tytoń, który ma zapach i smak nikotyny. Natomiast w saszetkach nikotynowych znajduje się już sam ekstrakt nikotyny, bez tytoniu. One mogą mieć różne smaki, różne zapachy.

W trakcie najważniejszej przedwyborczej debaty Karol Nawrocki włożył do ust taką saszetkę. W pierwszej chwili pomyślałam, że to nieprawdopodobne, aby człowiek, który nie jest w stanie wytrzymać paru godzin bez nikotyny, mógł zostać reprezentantem Polski na arenie międzynarodowej. Dopiero później przyszło mi do głowy, że może to być jakiś rodzaj politycznej gry.

– Niewątpliwie zażycie snusa czy saszetki nikotynowej (bo nie wiemy dokładnie, co przyjął Karol Nawrocki) było elementem gry politycznej. W czasie kluczowej debaty



DR JACEK DĘBIEC

– amerykański psychiatra, neurobiolog i filozof. Jego prace ukazały się w czołowych pismach naukowych: „Nature”, „Nature Neuroscience”, „Proceedings of the National Academy of Sciences of the USA”, „Trends in Cognitive Sciences”, „Biological Psychiatry” i innych. Jest naukowym i klinicznym konsultantem społecznej Rady ds. Bezpiecznego Odstawiania Leków Psychotropowych (Psychotropic Deprescribing Council).

prezydenckiej nie ma miejsca na przypadkowe gesty. To był bardzo dobrze wykalkulowany manewr – skierowany do określonej grupy wyborców. A media czy widzowie, którzy zareagowali na ten gest oburzeniem, tylko ten przekaz wzmocnili.

Pomogli Nawrockiemu wygrać wybory?

– Pomogli zdobyć głosy młodych, konserwatywnych mężczyzn, którzy w pierwszej turze poparli Sławomira

Mentzena. Proszę zwrócić uwagę, że Rafał Trzaskowski po rozmowie u Mentzena udał się wprost do jego pubu, miejsca, gdzie chodzą na piwo głównie młodzi mężczyźni o prawicowych poglądach. A co w takich barach się ogląda? Najczęściej sport. W Stanach Zjednoczonych futbol czy bejsbol, w Europie – piłkę nożną.

Co ma piernik do wiatraka?

– To, że badania przeprowadzone w zeszłym roku przez badaczy

z Uniwersytetu Loughborough w Wielkiej Brytanii pokazały, że co piąty zawodnik Premier League bierze te snusy. Bardzo prawdopodobne, że ci młodzi wyborcy Mentzena, jeżeli sami nie zażywają nikotyny, to przynajmniej oglądają swoich idoli, sportowców, którzy to robią. A także widzą reklamy produktów nikotynowych w trakcie transmisji sportowych.

Czyli snus to taki ich emblemat...

– Przekaz kandydata na prezydenta był następujący: „Jestem jednym z was – młodych, będących częścią tej kultury męskości, w której zażywa się produkty nikotynowe”. Oburzenie „świętej” części opinii publicznej na Karola Nawrockiego tylko wzmogło poczucie przynależności grupowej, której snus jest istotnym symbolem.

Snusy są niejako odpowiedzią na kryzys męskości?

– W Stanach Zjednoczonych stały się istotnym elementem odradzania się „kultury męskości”. Pojawił się nowy, współczesny „Marlboro Man”. To mężczyzna, który chodzi na siłownię, ma bardzo konserwatywne poglądy i oczywiście zażywa snusy.

W pakiecie z innymi substancjami: kofeiną, kreatyną i różnymi proteinami.

– Jak najbardziej, to jest pakiet. Kreatyna i proteiny są na wzrost masy mięśniowej, a snusy czy kofeina mają wyzwalać energię, ułatwiać podjęcie większego wysiłku.

Jak nikotyna działa na nasz mózg?

– Pobudza zarówno ośrodkowy układ nerwowy, jak również autonomiczny układ nerwowy. Przez co – przede wszystkim – zwiększa pracę serca i ciśnienie krwi oraz zdolność do wysiłku, koncentracji, jednocześnie podwyższając próg bólu. Za sprawą wzmoczonego wydzielania dopaminy pojawia się też pewne uczucie przyjemności. O nikotynie mówi się nawet, że to taki *mind enhancer* – dopalacz naszych czynności poznawczych.

Czy snusy są zdrowsze niż papierosy?

– Z pewnością zażywanie nikotyny w formie snusów pozwala uniknąć dymu papierosowego i jego niszczącego działania na płuca. Ale badania wplywu na zdrowie współczesnych

doustnych form nikotyny są względnie nowe. Wciąż potrzebujemy czasu, żeby się przekonać, jakie są rzeczywiste długofalowe efekty zdrowotne.

Choć nie jest to substancja neutralna dla naszego zdrowia.

– Wcześniejsze badania nad tradycyjnym zażywaniem doustnie tytoniem pokazały, że zwiększa on ryzyko raka jamy ustnej. Jeśli chodzi o zdrowie psychiczne, to wiadomo, że nikotyna wzmaga wydzielanie naszych endogennych opioidów: endorfin, enkefalin, dynorfin. A ich wyzwalać – oraz dopaminy, która jest związana z poczuciem przyjemności i zaspokojenia – ma silny potencjał uzależniający. Co ciekawe, szwedzkie badania pokazały, że snusy mogą być nawet bardziej uzależniające od papierosów. Może dlatego, że poprzez śluzówkę jamy ustnej nikotyna jest wchłaniana szybko i w znacznych ilościach.

Z całą pewnością Trzaskowski powinien lepiej się postugiwać populizmem. Nauczyć się skutecznych populistycznych zachowań.

Promowanie snusów przez Nawrockiego podbija sprzedaż wielkim zagranicznym korporacjom?

– Tak. Według Market Research Future w 2023 r. amerykański rynek snusowy był oceniany na przeszło 490 mln dol. Naukowcy przypuszczali, że w 2024 r. ten rynek wzrośnie do 550 mln, a do 2035 r. do 1,1 mld. Jest to więc rynek z przyszłością.

To paradoks, że mimo zwiększenia się świadomości społecznej na temat szkodliwości nikotyny elementem kampanii wyborczej staje się zażywanie snusa.

– Zwróćmy uwagę, że pierwotnie te saszetki nikotynowe czy snusy były reklamowane jako produkty mające pomóc osobom uzależnionym od papierosów. To miała być zdrowsza alternatywa.

Analogicznie było z e-papierosami. Dzisiaj wiele osób uzależniło się od obu tych form i summa summarum pali więcej.

– To, jak się reklamuje czy uzasadnia pewne produkty, nie musi

odzwierciedlać wszystkich intencji producentów. Więcej, skutki stosowania tych używek mogą być bardzo odległe od deklarowanych intencji. W przypadku snusów mamy aspekt zdrowotny i aspekt kulturowy – chodzi o konkretny obraz męskości. On z całą pewnością wywodzi się z bardziej odległych czasów. Jeśli pani pozwoli, możemy nawet zabawić się w pewną kulturową archeologię.

Bardzo chętnie.

– W „Panu Tadeuszu” mamy taką scenę: ksiądz Robak częstuje szlachtę litewską tabaką, czyli sproszkowanym tytoniem. Można powiedzieć, że tabaka to taki staropolski snus, z fantazją. Skołuba, kichnąwszy, mówi: „To mi tabaka, co to idzie aż do czuba”. Mało tego, ksiądz Robak zwraca się do szlachciców: „Czy uwierzycie Państwo, że z tej tabakiery pan generał Dąbrowski zażył razy cztery?”. Czyli sam bohater narodowy z tej tabakiery zażywał!

Dziś snusy zażywa sam Karol Nawrocki. To pokazuje, jak wynosi się zwykłą używkę do rangi niesamowitości?

– W tym opisie jest jeszcze więcej. Ksiądz Robak cytuje Dąbrowskiego: „Powiedz Litwinom, niech mię czekają z tabaką. Częstochowską, nie biorę innej, tylko taką”. A sam reklamował tę tabakę w następujący sposób: „Pochodzi z Jasnej Góry; księża paulinowie tabakę taką robią w mieście Częstochowie, kędy jest obraz tyłu cudami wstawiony Bogarodzicy Panny, Królowej Korony Polskiej; zowią ją dotąd i Księżną Litewską!”. Widzimy więc powiązanie tych produktów nikotynowych z etosem szlacheckim, staropolskim – no i oczywiście z symbolami religijnymi.

Mimo że te wątki męskości lansowane są przez ruchy konserwatywne również w innych krajach, my tutaj mamy bardzo silne polskie korzenie. Na polskich portalach prawicowych znajdziemy te odwołania do Adama Mickiewicza. ▶

► W takim tonie gloryfikacyjnym?

– Tak, że to taka polska fantazja, a jednocześnie taka słabość silnych mężczyzn. Ci sportowcy zażywający snusy opowiadają, że to nie tylko pobudza, ale też zmusza do większego wysiłku i uodparnia na ból. Dostajemy więc deklarację na zasadzie: „Ja sobie zażyję nikotynę, zaraz wyciągnę szablę i będę wojował z jeszcze większą siłą i determinacją”. Nieprzypadkowo te produkty występują w połączeniu z boksem, siłownią czy piłką nożną.

Mainstreamowe media wcale nie są sojusznikiem demokracji, bo kierują się swoimi korporacyjnymi interesami, a nie wspólnym dobrem.

Wydawało się, że czasy, kiedy papierosy reklamowali lekarze, minęły, możemy je jedynie wspominać, oglądając serial „Mad Men”. To niesamowite, że reklamą używek są dziś sportowcy i lektura Mickiewicza.

– Tutaj mamy odniesienie do takiej surowej męskości, która nie stroni od używek, aczkolwiek nie są to używki, które zostały już zdeprecjonowane przez edukacyjną kampanię prozdrowotną, tak jak papierosy.

Cóż, korporacje bardzo się starają wcisnąć konsumentom ten sam produkt, ale w innej formie.

– Jak najbardziej. W Stanach Zjednoczonych jedną z osób, które lansowały saszetki nikotynowe, był słynny Tucker Carlson – ikona mediów ruchu MAGA. Był influencerem produktów nikotynowych pod nazwą Zyn. Po pewnym czasie Carlson założył własną markę – ALP, skrót od American Lip Pillow (amerykańska podkładka podwargowa). Publicznie powiedział wtedy, że pracownicy marki Zyn dotowali kampanię Kamali Harris i że Zyn to *ladies brand*.

Chcąc zdevaluować tę firmę w oczach odbiorców, stwierdził, że to marka dla pań? Niebywale.

– Snusy od kilku lat są bardzo popularne w Stanach Zjednoczonych, ale w określonych grupach. Głównie mężczyzn, którzy są słuchaczami podcastów Tuckera Carlsons czy Joego Rogana. To nie tylko zażywanie używki, ale też symbol pewnej przynależności kulturowej.

Używki sprzyjają dziś władzy?

– Nie tylko dziś. Niedawno ukazała się praca naukowa, która badała starożytną społeczność z Chavín de Huántar w peruwiańskich centralnych Andach, żyjącą 2 tys. lat przed powstaniem imperium Inków. Archeolodzy znaleźli tam rurki do wdychania nikotyny. Były w nich ślady nikotynowe, ale też innych substancji, przypuszczalnie halucynogenów. Miejsca znalezienia tych rurek sugerowały, że były one

używane przez przywódców grupy w trakcie zamkniętych rytuałów dla wtajemniczonych.

Autorzy pracy przypuszczają, że ci antyczni przywódcy poprzez wdychanie nikotyny i halucynogenów zwiększali swoje zdolności psychiczne – mieli różne wizje, większą siłę i wigor – a tym samym budowali swoją pozycję społeczną. Związki używek z władzą są tak stare, jak stara jest historia ludzkich społeczności.

Po porażce Kamali Harris część komentatorów stwierdziła, że przegrała dlatego, że nie miała takiego swojego Joego Rogana. W Polsce było bardzo podobnie. O Trzaskowskim mówiono, że powinien mieć swojego Krzysztofa Stanowskiego. Czy stronie lewicowo-liberalnej po prostu brakuje emblematu?

– Myślę, że strona konserwatywna ma zdecydowaną przewagę – jej przekaz kulturowy jest bardziej jednorodny. Prawica ma silny pogląd, silne symbole kulturowe. No i to działa. Rogan i inni influencerzy odwołują się do tych lojalności, związków, które ludzie mają z kulturą. I rzeczywiście po stronie, nazwijmy ją, demokratycznej nie widzimy ekwiwalentu.

Nie widzimy nawet próby poszukiwań.

– Strona demokratyczna reprezentuje różnorodne grupy. Nie ma tak popularnych kanałów w mediach jak te prawicowe. Mało tego, zarówno Kamala Harris, jak i inni

demokratyczni politycy uważali, że ich sojusznikiem w kampanii będą media korporacyjne. Nie chodzili więc na wywiady do liberalnych podcasterów, takich jak Brian Tyler Cohen lub David Pakman, ale do CNN lub „New York Timesa”. A przecież te mainstreamowe media wcale nie są sojusznikiem demokracji, bo kierują się swoimi korporacyjnymi interesami, a nie wspólnym dobrem.

Gdy Adrian Zandberg zaczął chodzić po youtubowych kanałach, obserwowalny był przepływ wyborców do lewicy od... Sławomira Mentzena.

– To potwierdza, że ludzie chcą mocnego kandydata, nie programu. A Zandberg ma osobowość.

Bardzo męską osobowość.

– No właśnie. Nie boi się konfrontacji, a to wciąż jest atrybut męskości w naszej kulturze. Nam może się wydawać, że te wzorce kulturowe szybko się zmieniają, ale w przypadku głębszych archetypów wcale tak nie jest. Wciąż chcemy widzieć w roli polityków mężczyzn silnych, którzy, kiedy trzeba, potrafią być agresywni. Nie chcemy kogoś, kto jest miłą kluchą – kto wyjdzie na udeptaną ziemię i zamiast walczyć, będzie mówił okrągło i ładnie.

Chcemy wojownika?

– Chcemy wojownika, który będzie się bił do upadłego o naszą sprawę. Będzie zadawał ciosy i nie będzie się bał ich otrzymywać. Co ważne, nasza kultura deprecjonuje podobne cechy u kobiet, stąd ich trudności w świecie zmaskulinizowanej polityki, w której wciąż są porównywane do mężczyzn i męskich wzorców.

Wiele osób uważa, że Koalicja Obywatelska popełniła błąd, wystawiając Rafała Trzaskowskiego zamiast Radosława Sikorskiego.

– Dlatego właśnie, że Sikorski w pewnych sytuacjach nie stroni od agresji. Jego żona Anne Applebaum powiedziała kiedyś, że Radek do niej przemówił, bo jest taki „przedfreudowski”. Czyli bez neurotycznych lęków i ciągłego powątpiewania w siebie i swoją siłę, które kojarzą się z Freudem. „Dorzynamy watahę”, nie będziemy się patyczkować. W polskim społeczeństwie jest zapotrzebowanie na taką męską energię.



Snus to sproszkowany tytoń, który ma zapach i smak nikotyny.

A mężczyźni, którzy jej nie mają?

– Mężczyzna, który jest feministą, musi odnaleźć swój sposób przeżywania i pokazywania siły. Że można z jednej strony być czułym, opiekuńczym i szanującym kobietę i jej prawa, ale z drugiej – jak trzeba – to przyłożyć. I są w polskiej polityce przykłady sukcesów takiego obrazu „nowego mężczyzny”. Poseł lewicy Łukasz Litewka wygrał kampanię do Sejmu, demonstrując swoją troskę o bezdomne zwierzęta. Większość

Jaką zatem używkę zarekomendowałby pan Rafałowi Trzaskowskiemu?

– Stawia mnie pani w trudnej sytuacji, bo jako lekarz nie powinienem zalecać żadnych używek. Ale myślę, że Trzaskowski mógłby zrobić coś odwrotnego – np. promować polskie jabłka. Mógłby po akcji Nawrockiego ze snusem wyjść i powiedzieć: „Popatrzcie, ja nie zażywam żadnych zagranicznych snusów, jem polskie jabłka. To one dają mi energię”.

W 2023 r. amerykański rynek snusowy był oceniany na przeszło 490 mln dol.

osób lubi domowe zwierzęta. To przemówiło do wyborców.

A może „lewa strona” powinna po prostu znaleźć sobie jakąś używkę? Trzaskowski mógłby palić blanty i młodzi ludzie myśleliby, że jest cool?

– Przede wszystkim politycy muszą mieć świadomość, do kogo się odwołują, czy te symbole kulturowe rezonują z jakąś grupą wyborców. Akurat sztab Nawrockiego dobrze sobie to wykalkulował. Wiedział, że do krytycznej grupy wyborców obraz polityka ze snusem przemówi.

A tym samym wspieram polskich rolników.

– Którzy przecież mieli problem, kiedy Unia Europejska nałożyła sankcje na Rosję i musieli szukać nowego rynku zbytu. Jednocześnie odwoływałby się do wielkomiejskich wyborców, którzy są bardzo przywiązani do zdrowego trybu życia. Tu trochę zbliżamy się do Łukaszenki, który często pokazuje się z produktami rolnymi.

Już widzę te nagłówki: „Dr Dębiec: Trzaskowski powinien być jak Łukaszenka”.

– Z całą pewnością Trzaskowski powinien lepiej postąpić się populizmem. Nauczyć się skutecznych populistycznych zachowań. Jeżeli symbolem kampanii jest promowanie polskich jabłek, może i wygląda to nieco prząśnie, ale przecież większość Polaków lubi jabłka. W dodatku byłoby to zaprzeczenie tych wszystkich krewetek, ośmiorniczek czy kawiorów, które się przykleja grupie politycznej reprezentowanej przez prezydenta Warszawy.

Jedną z trudności w kampanii Rafała Trzaskowskiego polegała na tym, że trudno dodać nowe symbole do wizerunku polityka znanego od lat. A Karol Nawrocki, jak kiedyś Andrzej Duda, był stosunkowo mało znany jako polityk.

Jako przedstawiciel sektora zdrowia jest pan krytyczny wobec promowania używek przez osoby publiczne?

– W tym wypadku wolę być obserwatorem życia publicznego niż moralizatorem. Bezpośrednie rozmowy o używkach, które przeprowadzam z pacjentami, mają dla mnie dużą wartość, bo opierają się na wzajemnym szacunku, trosce i zaufaniu. Natomiast to, co się dzieje na poziomie masowego, wykalkulowanego przekazu medialnego, jest z tego odarte. Tutaj ścierają się naprawdę wielkie interesy – to, co jest złe dla zdrowia, może być np. dobre dla kampanii. Oczekiwania ludzi wobec prezydenta są takie, że chcą oni zobaczyć człowieka takim, jaki jest. Nawrocki więc się nie kryje: „Proszę bardzo, zażywałem snus”.

Polacy uwielbiają Wojciecha Szczęsnego za to, że pali papierosy. Tym samym jest w ich oczach zwykłym, normalnym typem.

– No właśnie, jest mężczyzną ze słabościami. Ale ma też serce do walki i jest oddany drużynie. Z drugiej strony mamy Roberta Lewandowskiego, który ma dokładnie zaprojektowaną dietę, muskulaturę Achillesa i jest de facto maszyną do zdobywania goli. Ze Szczęsnym łatwiej się identyfikować. Takich półbogów, herosów jak Lewandowski możemy uwielbiać, ale trudniej się z nimi identyfikować. Podobnie jest z politykami.

Dominika Tworek

Tragedia niedokończona

Obława, nazywana dziś augustowską, rozpoczęła się 12 lipca 1945 r. Objęła kilka powiatów północno-wschodniej Polski, tereny Grodzieńszczyzny i południowej Litwy

Stanisław Kulikowski

Według historyków obławę przeprowadziły oddziały NKWD wspomagane przez funkcjonariuszy UB. Szczególnie mocno ucierpieli mieszkańcy wsi położonych w Puszczy Augustowskiej i na Suwalszczyźnie. Ofiary były w powiecie sokólskim, w Sejnach, w Sztabinie. Czyszczenie pasa przygranicznego z „wrogów i bandytów” trwało z różnym nasileniem niemal do końca lipca. Wynik to ponad 7 tys. aresztowanych, z których prawie 600 zaginęło bezpowrotnie. Dziś nie ma już wątpliwości, że zostali zamordowani.

Gruszki to mała wieś zagubiona w puszczy. Aniela Trocka, z domu Mieczkowska, w lipcu 1945 r. miała zaledwie cztery lata. O obławie sprzed 80 lat wie jednak dużo. Trudno nie wiedzieć, jeśli się jest z domu Mieczkowskich. 14 lipca 1945 r. Sowietci aresztowali czterech braci jej ojca. Kolejny Mieczkowski, Witold, choć też z Gruszek, nie był z nimi spokrewniony. I jeszcze jeden, Wincenty, z sąsiedniej wsi. Nigdy już do domów nie wrócili. – To straszna tragedia – mówi pani Aniela. – Niedokończona, bo przecież nie wiemy, gdzie oni się podzieli, gdzie ich groby.

Mieczkowscy to byli silni mężczyźni, chłopcy na schwał. No i dorośli. Ale w pobliskiej Mikaszówce matka opłakiwała niespełna 15-letniego syna. Romuald Różański został potraktowany jako partyzant, „bandyta z lasu”. Do domu nie wrócił. Przy kościele, na rozstaju dróg stoi głaz upamiętniający pobyt w Mikaszówce bp. Wojtyły i tablica ze zdjęciem Romka, który na fotografii wygląda jak dzieciak. Bo to był dzieciak.

Logika terroru

Lipiec 1945 r. też był gorący – wspominali czas obławy mieszkańcy puszczańskich wsi przed 36 laty, kiedy pierwszy raz pytałem ich o tamte wydarzenia. – Ruscy co prawda mówili, że wyłapują wrogów władzy, to znaczy partyzantów, akowców, ale tak naprawdę często brali jak popadnie, byle im się liczba zgadzała – tłumaczył dawny członek AK. Anonimowo, bo w 1989 r. jeszcze wielu świadków obławy wołało nie ujawniać swoich danych.

Ponad połowa aresztowanych nie miała nic wspólnego ani z podziemiem okupacyjnym, ani z tym powojennym. Pozornie w działaniach NKWD nie było żadnej logiki. – Ale oni, znaczy Ruscy, mieli swoje powody – mówił ocalały z obławy. – Nie mieli ochoty uganiać się po lasach za uzbrojonymi partyzantami. Ułatwiali sobie robotę. Wyciągali ludzi

Ponad połowa aresztowanych nie miała nic wspólnego ani z podziemiem okupacyjnym, ani z powojennym.

z chałup. Starców i małych też. Mieli listy przygotowane przez szpicli. Gdy kogoś nie zastali w domu, brali innego. Żeby liczba się zgadzała. Więc często brali kogo popadnie. Przyznanie się do przynależności do AK wymuszali biciem.

Wśród szpicli szczególnie ponurą sławą okrył się Jan Szostak, w czasie wojny w AK, po wojnie znienawidzony ubek – z gorliwością neofity denuncjował byłych kolegów, bestialsko katował. Awansował na szefa UB w Augustowie. Po październiku 1956 r. i rozwiązaniu UB przekwalifikował się na artystę

ludowego. Jego prace pokazała w 1962 r. Polska Kronika Filmowa. Rzeźbił w drewnie, wśród jego rzeźb znalazła się Matka Boska, był także Piłsudski. Szostak dobrze prosperował. Po śmierci w 1986 r. żegnały go okazałe nekrologi oficjalne oraz rękopisane w mieście, ręcznie robione, których treść brzmiała: „Z radością informujemy, że zmarł kat Ziemi Augustowskiej Jan Szostak”.

Że brali kogo popadnie, świadczy choćby ten dobrze udokumentowany przypadek: 15 lipca na terenie powiatu suwalskiego aresztowano 477 osób. Według meldunków funkcjonariuszy suwalskiego Urzędu Bezpieczeństwa tylko 24 należały do AK (za: Mariusz Filipowicz, „Obława Augustowska – lipiec 1945”).

Wśród ofiar jest spora grupa ludzi, którzy wrócili z robót przymusowych, najczęściej z Prus Wschodnich. Oni, będąc u Niemców, zwyczajnie w partyzantce być nie

mogli. Do takich osób należał Stanisław Święcicki z Karolina. Do domu wrócił 22 lutego 1945 r. Aresztowano go 13 lipca 1945 r. Miał 22 lata.

Logika, choć bardzo swoista, jednak w tym była. Prócz strachu przed ściganiem uzbrojonych partyzantów i szczególnej buchalterii, która nakazywała aresztować konkretną liczbę osób w danej miejscowości, była jeszcze logika terroru. Ludzie mieli się bać nawet myśli o jakimkolwiek oporze. I bali się. Kilkadziesiąt lat po wojnie, w sytuacji nadchodzącej odwilży – przecież był to czas piekarni w ZSRR i Okrągłego Stołu



Muzeum Obławy Augustowskiej, otwarte 12 lipca 2025 r. w Augustowie.
Nz. mur pamięci z nazwiskami zidentyfikowanych ofiar.

w Polsce – bardzo wielu rozmówców nie chciało ujawniać swoich nazwisk. Bo – mówili – nie wiadomo, jak to wszystko się skończy. Przecież zaledwie kilka lat wcześniej władza z honorami żegnała Szostaka.

Sen z Matką Boską

Stefan Myszczyński z Dworczyńska też się bał. W obławie stracił trzech braci i ojczyma. Szukał ich, próbował kopać w miejscach, o których mówiono, że mogą tam być groby pomordowanych. Nikomu o tym nie mówił. Aż 29 czerwca 1987 r. oznajmił, że miał sen. Śniła mu się Matka Boska, która powiedziała mu, gdzie kopać. I znalazł szkielety przy drodze Giby-Rygoł, w uroczysku Wielki Bór. To ważne, że właśnie tam. Wielu aresztowanych w obławie przetrzymywanych było w Gibach. Stąd ciężarówkami wywożono ich w kierunku Rygoli. Po krótkim czasie ciężarówki wracały puste...

Skojarzenie było oczywiste. Wkrótce leśny trakt zaroił się od miejscowych i przyjezdnych z całej Polski. Pojawiły się układane z patyków krzyże, kwiaty, znicze. Przynoszący je płakali, modlili się. Byli pewni, że oto odnaleźli groby swoich bliskich, że pomogła Matka Boska. Tłumnie przybyli także zagraniczni dziennikarze.

Były powody, by przypuszczać, że władze nie chcą odkryć prawdy o pomordowanych. Jerzy Urban, ówczesny rzecznik rządu, twierdził wbrew faktom, że polskim władzom nie jest znana żadna sprawa związana z masowymi aresztowaniami polskich obywateli przez NKWD. Stało to w brutalnej wręcz sprzeczności z doświadczeniem tysięcy mieszkańców Suwalszczyzny, którzy na słowa rzecznika zareagowali już nawet nie oburzeniem, lecz kpiną. Nastroje podgrzewane były audycjami emitowanymi przez Radio Wolna Europa i Głos Ameryki. Pojawiło się określenie „drugie Katyń”.

Nie te groby

W tej atmosferze prawda o tym, że nie są to groby ofiar obławy, z trudem przebijała się do świadomości, szczególnie tych, którzy stracili bliskich. Musieli ją jednak zaakceptować. Odnalezione groby okazały się cmentarzem żołnierzy niemieckich. Zostały ustalone nazwiska, przynależność poległych do konkretnych oddziałów. Ale byli i tacy, którzy wprawdzie nie dowierzali specjalistom dokonującym ekshumacji, ale jeszcze bardziej nie mogli uwierzyć w to, że Ruscy zakopali zabitych w tak porządnym butach. Najlepiej

bowiem zachowały się w odkrytych grobach właśnie buty.

Pytanie, gdzie są groby pomordowanych w obławie, powróciło ze zdwojoną siłą. Nikt już nie miał nadziei, że ktokolwiek z setek osób zaginionych mógł przeżyć. Bo gdyby ktokolwiek żył, odezwałby się, dał jakiś znak. Tylu ludzi... To niemożliwe, żeby ot tak, w ciszy, gdzieś tam, daleko, poumierali. Zabito ich. Nam już teraz chodzi o to, żeby chociaż świeczkę zapalić na ich grobie. Tylko gdzie on jest? – pytali potomkowie ofiar, gdy się okazało, że te odnalezione w puszczy to nie „ich groby”.

Nie mogli milczeć

Na początku było ich trzech. Założyli Obywatelski Komitet Poszukiwań Mieszkańców Suwalszczyzny Zaginionych w Lipcu 1945. Pomysłodawcą był Mirosław Basiewicz, były milicjant. W 1981 r. próbował założyć milicyjne związki zawodowe. Oczywiście wyrzucili go z milicji. Osiadł na Suwalszczyźnie. Z kolei Stanisław Kowalczyk pracował w suwalskim Kolbecie, miał solidarnościową przeszłość i przekonanie, że może pomóc w poszukiwaniach i powinien to zrobić. Obaj już nie żyją. I Piotr Bajer, wtedy pracownik fabryki mebli, najbardziej z nich znany, bo był aktywnym działaczem suwalskiego MKZ Solidarność, gdzie „robił związkową propagandę” – m.in. nagłaśniał w czasie karnawału Solidarności przemówienia związkowych działaczy. Przystało mu się wykształcenie technika elektronika.

2 sierpnia 1987 r., tuż po tym, jak się okazało, że groby przy trakcie Giby-Rygoł to nie te groby, w kościele św. Aleksandra, największej suwalskiej świątyni, Basiewicz, Kowalczyk i Bajer ogłosili powstanie komitetu. W kolportowanym w kościele oświadczeniu napisali: „Pragnąc pomóc rodzinom w staraniach o powrót zaginionych lub ustaleniu ich losu, w przekonaniu, że wyjaśnienie białych plam w historii stosunków polsko-radzieckich leży w interesie obu krajów, powołujemy Obywatelski Komitet Poszukiwań Mieszkańców Suwalszczyzny Zaginionych w Lipcu 1945 r. Komitet będzie dążył ▶

▶ do ustalenia kompletnej listy zaginionych, ustalenia ich losów (...). Komitet apeluje o pomoc w działaniu do władz PRL, ZSRR, Kościoła, Czerwonego Krzyża”.

Najważniejsze było to, że prosili o przekazywanie wszelkich informacji, podając adresy zamieszkania i telefonów. Utrzymywana przez oficjalne władze zмова milczenia wokół obławy została bezpowrotnie przerwana. Oświadczenia, choć było sformułowane w pojedynczym tonie,

mieli wsparcie. Tuż po ujawnieniu się komitetu, 11 sierpnia 1987 r., pojawił się Apel 56 intelektualistów do Rady Państwa w sprawie poparcia jego działań. Sygnatariuszami byli najwybitniejsi pisarze, aktorzy, ludzie nauki, członkowie ówczesnej opozycji. Również dlatego komitet mógł wykonać prawdziwie gigantyczną pracę, dokumentując przebieg obławy i jej skutki.

Późniejsze prace, dziesiątki książek i setki pomniejszych publikacji,

Wiktor Abakumow, szef Smierszu (kontrwywiadu armii radzieckiej), i opublikował je w 2011 r. Szyfrogramy potwierdzają, że podczas obławy aresztowano ponad 7 tys. osób, a co najważniejsze, jest tam wniosek o zgodę na likwidację 592 osób zatrzymanych w rejonie Puszczy Augustowskiej.

Kiedy kilkanaście lat temu byłem na spotkaniu z Nikitą Pietrowem, nie krył zdziwienia, że strona polska, władze państwowe tak mało zdecydowanie zabiegały i zabiegają o poznanie prawdy o obławie. – Ta prawda jest ukryta w sowieckich archiwach – tłumaczył. – Najpewniej w Moskwie, ale też w Mińsku.

Szansa została utracona, być może bezpowrotnie, w latach 90. minionego wieku. Suwalszczyzna miała wtedy swojego senatora, Andrzeja Wajdę, i pośła, ministra spraw zagranicznych – Bronisława Geremka. Duże nazwiska. W Moskwie był Borys Jelcyn, w Mińsku Stanisław Szuszkiewicz. Z nimi można i trzeba było rozmawiać. Teraz, od lat, są tam Putin i Łukaszenka. I nie ma już Memoriatu.

– Fakt, szansa została stracona. Pewnie dlatego, że tak naprawdę nie mieliśmy wtedy, po przełomie, żadnej polityki wschodniej – podsumowuje Piotr Bajer.

A może tragedia Suwalszczyzny wobec tej ogromnej, katyńskiej, nie wydawała się aż tak wielka, ginęła w jej cieniu?

Kiedy nadziei na odnalezienie grobów pomordowanych ubywa, z każdym upływającym rokiem przybywa już nie ofiar, ale „żołnierzy wyklętych”. Już wszyscy oni są „niezłomni”. Taka teraz panuje „narracja” o obławie. Mitów przybywa. Kompetentni historycy twierdzą, że w czasie obławy w puszczy było co najwyżej 200 uzbrojonych członków Armii Krajowej Obywatelskiej [w: „Obława augustowska (lipiec 1945 r.)”, pod red. Jana Jerzego Milewskiego i Anny Pyżewskiej, Białystok 2005, s. 31]. Tymczasem Wikipedia, dla wielu podstawowe źródło wiedzy, podaje, że było ich – uzbrojonych partyzantów – 3 tys.

Stanisław Kulikowski

Wśród ofiar było sporo ludzi, którzy wrócili z robót przymusowych, najczęściej z Prus Wschodnich. Oni w partyzantce zwyczajnie być nie mogli.

władze nie przyjęły dobrze. Powstanie komitetu natychmiast skrytykował rzecznik Urban, a odpowiedni dyrektor Urzędu Wojewódzkiego w Suwałkach oficjalnym pismem zakazał organizacji jakiegokolwiek działalności. „Ale nie mogliśmy milczeć – mówił po dwóch latach na łamach tygodnika „Krajobrazy” Piotr Bajer. – Był nie tylko Katyń”.

Nie milczeli. W krótkim czasie komitet sporządził listę prawie 600 osób aresztowanych i zaginionych w lipcowej obławie. Nie byli już samotni. Kiedy groziły im szykany,

także te wydawane pod egidą IPN, owszem, przyniosły dużo częściowych, uzupełniających informacji o przebiegu obławy, ale nawet o pół kroku nie przybliżyły do odpowiedzi na pytanie, gdzie są groby pomordowanych.

Nadzieja też umarła

W sukurs polskim badaczom przyszedł Nikita Pietrow, wiceprzewodniczący Stowarzyszenia Memoriał. To on dotarł do szyfrogramów, które stał do Ławrentija Berii gen.



www.wydawnictwomg.pl

Dziesiąta rocznica śmierci kpt. Antoniego Jabłońskiego – zdobywcy Berlina

Tadeusz Foremski

W niedzielę 6 lipca 2025 r. w Surażu nad Narwią odbyły się uroczystości upamiętniające dziesiątą rocznicę śmierci kpt. Antoniego Jabłońskiego – żołnierza 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, który przeszedł szlak bojowy od Lenino, przez wyzwolenie warszawskiej Pragi i niezwykle krwawe walki na Wale Pomorskim, po Berlin. Właśnie kpt. Jabłońskiemu oraz jego czterem kolegom 2 maja 1945 r. przypadł zaszczyt zatknięcia biało-czerwonej flagi na Kolumnie Zwycięstwa w stolicy III Rzeszy. Do tego wydarzenia odniesiono się, ustanawiając 2 maja Dniem Flagi Rzeczypospolitej Polskiej.

Tuż po wojnie Antoni Jabłoński, po latach tułaczki i walki, wrócił do rodzinnego Suraża i założył rodzinę. Doczekał się pięciorga dzieci – córki Teresy oraz synów: Henryka,



Józefa, Jerzego i Stanisława. Za swoje dokonania w czasie wojny i pokoju otrzymał wiele odznaczeń, w tym Krzyż Walczących oraz Krzyże Kawalerski, Oficerski i Komandorski Orderu Odrodzenia Polski.

Na uroczystość oprócz najbliższych członków rodziny zmarłego licznie przybyli mieszkańcy Suraża z burmistrzem Henrykiem Łapińskim, przedstawiciele Wojskowego Centrum Rekrutacji w Białymstoku i 18. Pułku Rozpoznawczego, który wystawił asystę honorową. Obecni byli przedstawiciele Stowarzyszenia Ogólnopolska Rodzina Kościuszkowców z gen. dyw. Piotrem Czerwińskim i gen. bryg. Zenonem Poznańskim, delegacja Związku Kombatantów Rzeczypospolitej Polskiej i Byłych Więźniów Politycznych z sekretarzem generalną Elżbietą Sadzyńską, reprezentanci organizacji społecznych oraz poczty sztandarowe Ochotniczych Straży Pożarnych.

W kościele pw. Bożego Ciała została odprawiona msza. W czasie tej uroczystości głos zabral wiceprezes

SORK gen. bryg. Zenon Poznański: „W tym roku w składzie delegacji udającej się na jubileuszowe uroczystości był syn Józef Jabłoński. Mógł on na własne oczy zobaczyć miejsce, w którym ojciec Antoni dokonał aktu przekazania całemu światu, że Niemiec został pokonany i nad zdobytym Berlinem powiewa biało-czerwona zwycięska flaga, że jeszcze Polska nie zginęła”.

W imieniu braci żołnierskiej generał przekazał rodzinie kpt. Jabłońskiego i mieszkańcom Suraża gorące podziękowania i życzenia, aby pamięć o tym bohaterze żyła na tej podlaskiej ziemi wiecznie.

Przy obelisku i tablicy pamiątkowej na skwerze im. kpt. Antoniego Jabłońskiego przy ulicy 11 Listopada prezes SORK gen. dyw. Piotr Czerwiński powiedział: „Jako Stowarzyszenie Ogólnopolska Rodzina Kościuszkowców czujemy dumę, ale i odpowiedzialność, by pamięć o takich ludziach jak kpt. Antoni Jabłoński nie została zamknięta jedynie w archiwach czy na tablicach. Dlatego dziś oddajemy mu hołd – w imieniu nas wszystkich, ale też w imieniu przyszłych pokoleń, które muszą wiedzieć, kto niósł tę flagę i dlaczego”. Zaapelował do zgromadzonych: „Niech to dzisiejsze spotkanie będzie nie tylko wspomnieniem, ale i zobowiązaniem – by trwać przy wartościach, które On reprezentował: odwadze, wierności i miłości do Polski”.

Gen. Poznański przekazał miejscowej szkole pakiet książek o 1. Dywizji im. Tadeusza Kościuszki, będących pokłosiem konferencji naukowej z okazji 80-lecia jej powstania. ■



Nasze zawodniczki nie miały absolutnie żadnych argumentów przeciw Skandynawkom – to była różnica klas. Mecz Polska-Szwecja na stadionie Allmend w Lucernie 8 lipca 2025 r.

Polska nie chce fiołków

Wojciech Kuczok

Polki zrobiły antyreklamę żeńskiej piłce nożnej – po raz pierwszy zobaczyłem w całości mecz naszej drużyny narodowej i na następne pół wieku jestem wyleczony. Wystarczą mi męki z kadrą męską, która w toporności i nieudacznictwie wydaje się niedościgniona – dziewczęta grają tak samo źle, tylko biegają trzy razy wolniej i strzelają (nawzajem rzadko) dwa razy słabiej. To już za dużo nawet na moją masochistyczną skłonność do oglądania wszelkich zmagania futbolowych biało-czerwonych.

Po meczu z Niemkami w narodzie były niejakie nadzieje, ponieważ nasze piłkarki utrzymały remis do przerwy, a i w drugiej odsłonie pokazały niejaką waleczność, bo powiedziec, że dotrzymywały kroku Niemkom, byłoby jednak przesadą. Nieliczne głosy rozsądku podszytego niepokojem ostrzegały, że nasza kadra straciła tyle sił, że przeciw równie mocnej Szwecji wyjdzie na miękkich nogach – tak też się stało, nasze zawodniczki nie miały absolutnie żadnych

argumentów przeciw Skandynawkom – to była różnica klas. Jeśli więc ktoś sobie roił, że wczesnoletni kryzys reprezentacyjny we wszystkich kategoriach wiekowych zostanie zażegnany udanym występem Polek, musiał przeżyć ponure *déjà vu*: znowu mecz otwarcia, mecz o wszystko, mecz o honor i wypad z imprezy. Zmobilizowałem wielu znajomych do tego, by nie ignorowali mistrzostw Europy tylko dlatego, że grają kobiety, ale już po kwadransie zaczęli mi wysyłać SMS-y z pretensjami. „Kuczok, ja rozumiem inkluzywność i równouprawnienie, ale już wolę amp futbol albo piłkę niewidomych” – byłem wobec tych kąśliwości bezradny jak nasze obrończynie wobec skocznych, wysokopiennych blondyn z Północy.

Trudno, pozostaje poczekać, aż dogonimy na murawach resztę świata, a na razie pocieszać się możemy sukcesami jednej Polki, która na trawie radzi sobie w tym roku fenomenalnie, jak nigdy wcześniej. Iga Świątek zaszła na kortach Wimbledonu dalej niż kiedykolwiek w karierze, co imponuje tym bardziej, że tegoroczny turniej był prawdziwą

rzezią faworytek – w ćwierćfinałach oprócz Świątek i Aryny Sabalenki zameldowała się tylko jedna zawodniczka z czołowej dziesiątki WTA. Być może to efekt złuzowania presji ciągłego utrzymywania się na szczycie rankingów, a może skuteczność nowego trenera, Wima Fissette’a, najpewniej jedno i drugie, wszelako od maja Iga zalicza sukcesy w kolejnych turniejach, w tym TOP4 dwóch Wielkich Szlemów (piszę ten tekst jeszcze przed meczem półfinałowym z Belindą Bencic, sensacyjną zwyciężczynią igrzysk olimpijskich w Tokio). I choć polska myśl szkoleniowa w tenisie za sprawą Tomasza Wiktorowskiego (prowadził Agnieszkę Radwańską i wprowadził Igę Świątek na pierwsze miejsce WTA) podniosła swoją rangę, Iga postanowiła zatrudnić obcokrajowca.

Tymczasem prezes PZPN jest nieuleczalnym orędownikiem polskiej myśli szkoleniowej w futbolu, przez co a priori odrzuca wszelkie kandydatury z zagranicy, nawet jeśli brzmią atrakcyjnie i cokolwiek abstrakcyjnie jako propozycje szkoleniowe dla takich patalochów jak nasze orły. Ani Garetha

Southgate'a nie potraktowano poważnie, ani Roberto Manciniego, a w kuszenie Rogera Schmidta zaangażował się tylko jego znajomy Tomasz Hajto (podobno ktoś z PZPN łaskawie wysłał do Schmidta SMS-a z zapytaniem, czy nie byłby zainteresowany). Kulesza zatem jeszcze nie wiedział, kogo wybierze, ale już wiedział, że będzie to Polak, czyli reprezentant nacji, która zasłynęła wybitnymi operatorami filmowymi, wspaniałymi poetami, kapitalnymi kompozytorami i... najgorszymi trenerami świata. W żadnej z 53 lig europejskich nie pracuje Polak. W żadnej! Trudno dopatrywać się w tym przypadku – nasi coachowie w Europie nigdy szczególnie cenieni nie byli, może poza Grecją i Cyprzem, gdzie za króla Ćwieczka odnosili sukcesy Jacek Gmoch i Kazimierz Górski, i jednostkowym przypadkiem Henryka Kasperczaka, którego 35 lat temu „France Football” wybrał na ligowego trenera roku.

Hasło „dobre, bo polskie” jest wobec tego najbardziej bałamutnym i szkodliwym kryterium wyboru selekcjonera kadry, która stoi w obliczu nieuchronnego odejścia na emeryturę swojej największej gwiazdy. Godnych następców Lewandowskiego nie widać, być może zatem jakiś wybitny fachman wydobyłby z nader przeciętnej ekipy zalety zespołowe, wykrzesałby ducha, zmobilizował do gry nad stan i do przekraczania własnych możliwości – ale o takich fachowcach w Polsce nie słyszano. Mierny trener z miernymi zawodnikami osiągnie mierne wyniki, suma marności nie da wyniku, który mógłby usatysfakcjonować nadwiślańskich kibiców. Mrzonki o wielkości reprezentacyjnej możemy zatem porzucić, cieszymy się klubowymi okruchami – nasi pucharowicze przystąpili do walki w Europie, ligowcy zaś zbroją się w posiłki... zagraniczne.

Nawet w Ekstraklasie polscy szkoleniowcy są w odwrocie, już tylko połowa klubów jest prowadzona przez rodzimych trenerów, a ci Polacy, którzy z sukcesami prowadzą swoje ekipy, nie palą się do prowadzenia kadry. Skądinąd, jeśli

rozumieć nostalgiczny wymiar dyematów Kuleszy, który chciałby nawiązać do najlepszych lat polskiej piłki, należy przypomnieć, że trenerzy, którzy przejmowali naszą kadrę, aby ją doprowadzić do największych osiągnięć, byli ludźmi w wieku średnim albo wręcz młodym: Górski dostał reprezentację przed pięćdziesiątką, Piechniczek zaczął pracować z kadrą w wieku lat 38, Gmoch był o rok młodszy. Tymczasem prezes rozważa wybór między dziadami a dziadersami: faworyci na czwartek 10 lipca to: Adam Nawałka lat 68,

Wystarczą mi męki z kadrą męską, która w toporności i nieudacznictwie wydaje się niedościgniona – dziewczęta grają tak samo źle, tylko biegają trzy razy wolniej i strzelają dwa razy słabiej.

Jan Urban lat 63, Czesław Michniewicz lat 55 i Jerzy Brzęczek lat 54 – trenerzy, którzy swoje pięć minut chwały, by tak rzec, od dawna wspominają przy kominku.

Na klubowym mundialu, wbrew malkontentom zachwycającym się liczbą goli i poziomem większości spotkań przynajmniej od fazy pucharowej, też święcą triumfy szkoleniowcy zagraniczni. W Paryżu dopiero Hiszpan Luis Enrique stworzył drużynę potwora, która pożera kolejnych rywali bez popitki i bez pardonu – od maja czwórkę do zera oberwały już od PSG Inter Mediolan, Atlético i Inter Miami; bez względu na wynik finałowej potyczki z Chelsea ekipę z Saint-Germain należy obecnie uznać na najlepszy klub świata. Bayernowi byli w stanie strzelić gola, nawet grając w dziewiątkę, po dwóch czerwonych kartkach, Real załatwili w pierwsze 20 minut, a wszystko to robili, bawiąc się w najlepsze, grając z polotem, werwą, finezją i bezczelnością, której w takim wymiarze w futbolu dawnośmy nie widzieli.

Chelsea do finału dotarła krokiem dostojniejszym, za rywali mając w co drugim meczu drużyny brazylijskie, szczeble w tej drabince były zatem bardziej dostępne niż w przypadku PSG. W półfinale przeciw Fluminense błysnął świeżo zakontraktowany João Pedro, przybysz z Brighton,

który kropnął dwa cudnej urody gole najstarszemu bramkarzowi imprezy, 44-letniemu Fabio. Za odbudowę potęgi londyńczyków, którzy po drodze wygrali też Ligę Konferencji, odpowiada Włoch Enzo Maresca.

W ogóle z ośmiu ćwierćfinalistów klubowego mundialu aż szóstka uczestników jest prowadzona przez obcokrajowców, a biorąc pod uwagę fakt, że obecny menedżer Realu Xabi Alonso jest Baskiem, to właściwie siódemka. Futbolowe elity są kosmopolityczne, nie kierują się przy wyborach selekcyjnych

opacznie rozumianym patriotyzmem lub kompleksem niedocenionej narodowej szkoły trenerskiej. Tylko Polaków musi trenować Polak, bo tak i już, bo my nie gęsi, swoje znamy, swoje wiemy i na swojość stawiamy, lepsze polskie gówno w polu niż fiolki w Neapolu.

Wracając jeszcze do klubowych mistrzostw świata – wodą na młyn krytyków imprezy upchanej w i tak przepiętnym meczami sezonie stanie się zapewne fatalna kontuzja Jamala Musiala, który po nieszczęśliwym starciu z Giannim Donnarumma złamał nogę. Tyle że trudno w tym pechowym przypadku mówić o kontuzji przemęczeniowej, zwłaszcza że kluby brazylijskie miały w nogach jeszcze więcej meczów niż Europejczycy i na urazy nie narzekały. Taki uraz równie dobrze mógł się przytrafić na treningu, choć oczywiście młodego Niemca żal, bo straci cały nadchodzący sezon. Mam przekonanie, że za cztery lata kolejna edycja klubowego mundialu będzie oczekiwana, zwłaszcza jeśli odbędzie się w bardziej przyjaznej dla Europy strefie czasowej. ■

W nr. 27/1330 „Przeglądu” letni chochlik zamienił imię trenera młodzieżówki Adama Majewskiego na Stefana. Serdecznie przepraszamy.

Supermax zamiast reformy więziennictwa

Francja wybuduje w Amazonii więzienie o zastrzonym rygorze, aby odizolować baronów narkotykowych i islamistów

Tomasz Skowronek

Zgodnie z polityką zwalczania handlu narkotykami francuski minister sprawiedliwości ogłosił, że chce utworzyć w Gujanie Francuskiej więzienie o zastrzonym rygorze, aby „unieszkodliwić” najniebezpieczniejszych przestępców narkotykowych. Propozycja ta przywołuje bolesne wspomnienia kolonii karnych.

Więzienie w dżungli

Zamiar zbudowania w sercu amazońskiej dżungli zakładu karnego „podobnego do amerykańskich

więzień Supermax” Gérald Darmanin ogłosił na łamach prawnicowego „Le Journal du Dimanche” podczas podróży, którą 17-19 maja odbył do Gujany Francuskiej. W izolacji można by tam osadzać baronów narkotykowych i islamskich terrorystów, a wszystko za łączną kwotą 400 mln euro. „To więzienie odegra kluczową rolę w walce z handlem narkotykami”, powiedział później minister francuskiej gazecie. Darmanin, idąc za przykładem swojego poprzednika Didiera Migauda, uznał walkę z przestępczością zorganizowaną za priorytet, a sekunduje mu w tym minister spraw wewnętrznych Bruno Retailleau.

Kartele narkotykowe nad Sekwaną wszczynają coraz krwawsze wojny o wpływy, coraz częściej też dochodzi do porwań osób, które dorobiły się fortuny na kryptowalutach. Porachunki między kartelami i narko-handel dotyczą już nie tylko Marsylii, Lyonu czy przedmieść Paryża, ale także mniejszych miast. W dodatku w ostatnim czasie odnotowano kilka ataków na zakłady karne, np. w nocy z 14 na 15 kwietnia w kilku więzieniach we Francji doszło do podpalenia samochodów na parkingach, a więzienie Toulon-La-Farède zostało ostrzelane.

Jak zapowiedział Darmanin, ośrodek penitencjarny w Gujanie będzie wykorzystywany do zatrzymywania osób „na początku szlaku narkotykowego” i jako „trwały środek usuwania przywódców siatek handlujących narkotykami” we Francji kontynentalnej. Więzienie ma pomieścić 500 osadzonych i powstać

w graniczącym z Surinamem mieście Saint-Laurent-du-Maroni. Pod koniec XIX w. z rozkazu Napoleona III została tam stworzona kolonia karna, do której przywożeni byli więźniowie z Francji, zanim trafili do innych miejsc zsyłki. Niektórzy zostali wysłani na osławioną Wyspę Diabelską u wybrzeży Gujany Francuskiej. Była to kolonia znana z przetrzymywania więźniów politycznych, w tym Alfreda Dreyfusa, który został niesłusznie skazany za szpiegostwo i spędził na wyspie pięć lat (1894-1899). Złą sławę Wyspa Diabelska zyskała z powodu nieludzkich warunków, w jakich przebywali więźniowie; stała się inspiracją dla filmu z 1939 r. z Borisem Karloffem w roli głównej, a także dla powieści „Papillon”, na podstawie której powstały dwa filmy.

„Widzimy coraz więcej siatek handlu narkotykami”, mówił Darmanin reporterom. „Moja strategia jest prosta – uderzyć w zorganizowaną przestępczość na wszystkich poziomach. Tutaj, w Gujanie, na początku szlaku handlu narkotykami. We Francji kontynentalnej – neutralizując przywódców siatek przestępczych. I tak dalej, aż do konsumentów. To więzienie będzie zabezpieczeniem w wojnie z handlem narkotykami”.

Nie dla kolonialnego superwięzienia

Pomysł rozgniewał wiele osób w Gujanie Francuskiej. Plan potępił Jean-Victor Castor, członek tamtejszego parlamentu. Powiedział, że napisał bezpośrednio do premiera Francji, aby wyrazić swoje obawy;





Tak ma wyglądać nowy kompleks więzienny zlokalizowany w Gujanie Francuskiej.

Stały wzrost produkcji kokainy wraz z rosnącym spożyciem narkotyków i powiększającymi się rynkami w Europie, Afryce i Azji spowodował, że w ostatnich latach przez Gujanę Francuską, Martynikę, Saint-Martin i Gwadelupę przechodziło coraz więcej kokainy. Presja inflacji i znacznie wyższe koszty utrzymania niż w kontynentalnej Francji (przy niższych zarobkach) od lat są zmurą francuskich terytoriów zamorskich, nazywanych départements; prowadzi do tego, że część młodych ludzi angażuje się w handel narkotykami, a przestępczość rośnie.

W raporcie przedstawionym Senatowi Francji we wrześniu 2020 r. oszacowano, że od 15% do 20% kokainy docierającej do Francji pochodzi z samej Gujany Francuskiej. „Obywatele terytoriów zamorskich muszą mieć zapewniony taki sam poziom bezpieczeństwa jak mieszkańcy Francji kontynentalnej”, zadeklarował Darmanin.

Georges Patient, socjalistyczny senator reprezentujący terytorium Gujany Francuskiej, twierdzi, że zdaje sobie sprawę z „dramatycznej sytuacji w więzieniach” w Gujanie, związanej z chronicznym przeludnieniem, niegodnymi warunkami przetrzymywania osadzonych i niewystarczającymi zasobami ludzkimi. Zapewnia, że budowa nowego zakładu karnego w Saint-Laurent-du-Maroni stanowi „absolutną sytuację nadzwyczajną”. „Ten projekt, na który czekano latami (...), jest niezbędny, aby przywrócić równowagę w systemie więziennictwa w regionie i zbliżyć więźniów do ich rodzin”. Odnosi się jednak negatywnie do „ofensywy medialnej” ministra sprawiedliwości i wzywa do powrotu do „metody opartej na słuchaniu”. „Gujana zasługuje na coś więcej niż tylko szum medialny. Zasługuje na politykę więzienną, która sprostą wyzwaniom, zbudowaną wspólnie z obywatelami i dla nich”, podsumował.

Budowa więzienia ma zostać ukończona w 2028 r. ■

zauważył przy tym, że decyzja została podjęta bez konsultacji z lokalnymi urzędnikami. „To obraza naszej historii, polityczna prowokacja i kolonialny regres”, podkreślił Castor w oświadczeniu, wzywając Francję do wycofania się z projektu.

Jean-Paul Ferreira, pełniący obowiązki przewodniczącego kolektynu terytorialnego Gujany Francuskiej (zgromadzenia 51 ustawodawców nadzorującego sprawy samorządu lokalnego), powiedział, że ogłoszenie budowy więzienia jest dla nich zaskoczeniem, ponieważ plan ten nigdy nie był z nimi omawiany. „Dlatego członkowie kolektynu ze zdziwieniem i oburzeniem odkryli, wraz z całą ludnością Gujany, informacje zawarte w »Le Journal Du Dimanche«”, napisał w oświadczeniu opublikowanym w mediach społecznościowych. Ferreira nazwał tę decyzję brakiem szacunku i obrazą, zwracając uwagę, że umowa podpisana przez Gujanę Francuską w 2017 r. dotyczyła budowy nowego więzienia, które miałyby zmniejszyć przeludnienie w głównym więzieniu. „Choć wszyscy lokalni urzędnicy od dawna wzywają do podjęcia zdecydowanych działań w celu powstrzymania wzrostu przestępczości zorganizowanej na naszym terytorium,

Gujana nie jest krajem, w którym można przyjmować przestępców i radykałów z [kontynentalnej Francji]”, napisał.

Przestępczość rośnie

Faktem jest, że Gujana zmagają się z dość wysokim poziomem przestępczości. Spośród wszystkich francuskich departamentów to ona ma najwyższy jej wskaźnik w stosunku do liczby ludności. W 2023 r. odnotowano rekordowe 20,6 zabójstwa na 100 tys. mieszkańców, co stanowi prawie 14-krotność średniej krajowej. Saint-Laurent-du-Maroni jest strategicznym węzłem komunikacyjnym dla tzw. mułów, głównie z Brazylii. To osoby, które próbują wsiąść na pokład samolotów zmierzających na paryskie lotnisko Orly i przewieźć do Europy kokainę pochodzącą z sąsiedniego Surinamu.

Władze w Paryżu zapewniają, że nowe więzienie pomoże w rozwiązaniu problemu przeludnienia więzień w Gujanie Francuskiej, a także będzie odpowiedzią na rosnące zagrożenie handlem narkotykami na tym terytorium. Dotyczyć ma to nie tylko Gujany Francuskiej, ale całych francuskich Karaibów, głównie Martyniki i Gwadelupy.

Naturalna broń Iranu?

Położenie cieśniny Ormuz sprawia, że jest ona dla Islamskiej Republiki Iranu czymś w rodzaju... broni atomowej

Chrystian Ślusarczyk

Gdy 13 czerwca Izrael rozpoczął masowe bombardowania celów związanych z irańskim programem nuklearnym, a Iran zdecydował się na odpowiedź raketową, świat z niepokojem zaczął spoglądać w stronę błękitnych wód cieśniny Ormuz. Zawieszenie broni, do którego doszło w nocy z 23 na 24 czerwca, niepokój ten nieco złagodziło. Ale sytuacja w regionie pozostaje napięta. Jaki będzie dalszy rozwój wypadków i czy nie skończy się swobodny przepływ statków przez cieśninę – tego nikt nie jest w stanie przewidzieć.

Dziś aż 20% globalnego transportu ropy naftowej i gazu ziemnego przebiega przez cieśninę Ormuz.

Dziś aż 20% globalnego transportu ropy naftowej i gazu ziemnego odbywa się przez cieśninę Ormuz. Prawie połowa indyjskiej ropy i 60% importu jej gazu ziemnego przechodzi właśnie tym szlakiem. Także Korea Południowa drogą przez cieśninę otrzymuje 60% swojej ropy naftowej, a Japonia – prawie trzy czwarte.

Sir Alex Younger, były wieloletni szef brytyjskiego MI6, w udzielonym BBC wywiadzie oświadczył, że nie wyklucza zablokowania cieśniny przez Iran. Jak twierdzi Younger, powołując się na Agencję Energetyczną USA (EIA), straty liczone będą w setkach miliardów dolarów rocznie. Nie ma w tym cienia przesady: w roku 2023 przez cieśninę Ormuz przepływało ok. 20 mln baryłek ropy dziennie. Szybkie przeliczenia pokazują, że to równowartość 600 mld dol. rocznie.

Iran dla porównania eksportuje ok. 1,7 mln baryłek dziennie. Według EIA w roku finansowym kończącym się w marcu br. kraj ten wyeksportował ropę naftową o wartości 67 mln dol. Był to jego najwyższy dochód w ciągu ostatnich 10 lat.

Jednym z największych importatorów ropy transportowanej cieśniną Ormuz są Chiny. Sporą część surowca Iran sprzedaje Państwu Środka po wyjątkowo korzystnych cenach – wyraźnie niższych niż te na rynkach światowych. Takie działania to tlen dla irańskiej gospodarki i rodzaj wsparcia w walce z amerykańskimi sankcjami. Dlatego zdaniem większości bliskowschodnich ekspertów

Pekin użyje wszystkich swoich zdolności dyplomatycznych, by zapobiec zablokowaniu cieśniny.

Według danych EIA także USA dziennie importują i transportują przez cieśninę ok. 700 tys. baryłek ropy naftowej i węglowodorów ciekłych o niskiej gęstości. Całkowity udział Europy w transporcie ropy przez cieśninę wydaje się mniejszy niż 1 mln baryłek dziennie.

Warto pamiętać, że przewożona tamtędy ropa pochodzi nie tylko z Iranu, ale także z innych krajów regionu: Iraku, Kuwejtu, Kataru, Arabii Saudyjskiej czy ZEA. Zablokowanie cieśniny doprowadziłoby do tego, że globalny transport ropy, gazu i innych niezbędnych dla gospodarki surowców znalazłby się w ślepych zaułku.

W wielu mediach zachodnich możemy teraz przeczytać, że położenie cieśniny sprawia, iż ta droga morska

jest dla Islamskiej Republiki Iranu czymś w rodzaju... broni atomowej. Dowódca Marynarki Wojennej Iranu od paru tygodni straszy jej zamknięciem, a parlament w Teheranie już zatwierdził możliwość zablokowania tej drogi morskiej.

Cieśnina Ormuz łączy Zatokę Perską z Zatoką Omańską i Morzem Arabskim. W najwęższym miejscu ma zaledwie 33 km szerokości. Jest wystarczająco głęboka, aby mogły nią przepływać największe tankowce świata. Całe jej północne wybrzeże należy do Iranu – spory, kilkudziesięciokilometrowy odcinek. Mniej więcej w jego połowie znajduje się bardzo ważne strategicznie dla Iranu miasto – Bandar-e Abbas. W tym ponadpółmilionowym, szybko rozwijającym się ośrodku ma siedzibę główna baza Marynarki Wojennej Iranu. Natomiast od strony południowej wody cieśniny Ormuz oblewają półwysep Musandam. To eksklawa Sułtanatu Omanu i jego muhafaza (arabska jednostka administracyjna) w północnej części półwyspu. Od reszty Omanu, tej znacznie większej, oddziela ją pustynne terytorium Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

Musandam to kilka małych, skalistych i trudno dostępnych półwyspów i wysepek. W ostatnim czasie stały się one dość popularnym celem zagranicznych wycieczek, a łódki z turystami (także z Polski) nie są tam rzadkim widokiem. Jako że Sułtanat Omanu nie aspiruje do bycia lokalną potęgą, irańczycy czują się panami i władcami cieśniny i jej wód.

O ruchu tranzytowym w cieśninie teoretycznie mogłyby mieć coś do powiedzenia również Zjednoczone Emiraty Arabskie, jednak głównie za sprawą położenia



półwyspu Musandam są od niej nieco oddalone.

Groźby blokady to nie nowość

Ruch w strategicznej „irańskiej” cieśninie jest obwarowany międzynarodowymi przepisami. Są one ujęte w Konwencji Narodów Zjednoczonych o prawie morza. Droga wodna przypomina autostradę lub trasę szybkiego ruchu, na której panują

obu krajach będących gospodarzami cieśniny. W świetle prawa międzynarodowego ruch tranzytowy nie może być zawieszony dla żeglugi państw neutralnych, nawet w przypadku wojny, w której uczestniczy państwo położone nad cieśniną. A z taką sytuacją mieliśmy właśnie do czynienia.

Tyle teoria. Praktyka pokazała, że w ciągu ostatnich kilkunastu lat z bezpieczeństwem przepływania tą niewralgiczną drogą morską bywało

Według EIA w roku finansowym kończącym się w marcu br. Iran wyeksportował ropę naftową o wartości 67 mln dol.

jasne (przynajmniej teoretycznie) zasady. Przepływający cieśniną Ormuz poruszają się po wodach terytorialnych Iranu i Omanu. Statki pokonujące tę drogę muszą się trzymać wyznaczonego toru wodnego, który nie jest zbyt szeroki i ma ok. 10 m. Zasad ruchu morskiego muszą przestrzegać przepływający, ale równie ważne obowiązki spoczywają na

bardzo różnie. W latach 80. XX w., podczas ośmioletniej wojny irańsko-irackiej, ataki na instalacje naftowe przerodziły się w „wojnę tankowców”, w której obydwa kraje atakowały neutralne statki, by wyrzucić presję ekonomiczną. Szczególnie narażone były kuwejskie tankowce przewożące iracką ropę. Ostatecznie nad bezpieczeństwem w rejonie cieśniny

zaczęły czuwać amerykańskie okręty wojenne, które wzięły na siebie zadanie eskortowania tankowców. Była to największa od czasów II wojny światowej operacja konwoju morskiego.

Z kolei w roku 2007 i 2008 Amerykanie informowali o nasilającym się „prześladowaniu” i nieustających prowokacjach ze strony irańskich łodzi patrolowych. 26 czerwca 2008 r. Mohammad Ali Dżafari, dowódca irańskich Strażników Rewolucji, oświadczył, że w przypadku amerykańskiej czy izraelskiej agresji na Teheran Iran użyje wszelkich środków, w tym blokady cieśniny Ormuz.

Kolejnym konfliktogennym czynnikiem w rejonie cieśniny są znajdujące się tam wyspy Wielki i Mały Tunb. Obydwie od lat stanowią terytoria sporne, o które Iran rywalizuje z ZEA.

Dziś Amerykanie, we współpracy z Brytyjczykami, wysyłając w rejon Zatoki Perskiej jeden z najpotężniejszych niszczycieli na świecie, dają do zrozumienia, że Zachód nie pozwoli, by transport tak znaczącego odsetka światowej ropy stał się zakładnikiem jednego państwa.

Do tej pory dzięki skutecznym akcjom Zachodu Iranowi nigdy nie udało się skutecznie zablokować cieśniny Ormuz. Ale ciągle groźby Teheranu i oficjalna zgoda irańskiego parlamentu na zablokowanie cieśniny powodują stały wzrost kosztów ubezpieczenia statków, które obierają tę trasę. Niektóre firmy w ogóle nie decydują się na ubezpieczenie, zastaniając się magicznym dla tej części świata słowem „bezpieczeństwo”, a raczej jego brakiem...

Warianty trasy

Co jednak by się stało, gdyby władze w Iranie zdecydowały się na jakąś (bardziej lub mniej skuteczną) formę zablokowania cieśniny? Jeśli Iran myśli o zablokowaniu ok. 3 tys. statków, które każdego miesiąca przepływają przez cieśninę, to według ekspertów najsukuteczniejszym sposobem byłoby rozmieszczenie min przy użyciu szybkich łodzi ▶

► szturmowych i okrętów podwodnych, których Iran posiada całkiem sporo. Irańska marynarka mogłaby także przeprowadzić ataki na zagraniczne statki handlowe. Z drugiej strony duże okręty wojenne mogłyby się stać łatwym celem dla Amerykanów.

Zdaniem większości bliskowschodnich ekspertów Pekin użyje wszystkich swoich zdolności dyplomatycznych, by zapobiec zablokowaniu cieśniny Ormuz.

Jak zareagowałby świat, gdyby Iran wykorzystał swoją naturalną broń, jaką jest cieśnina? Patrząc na mapy, nietrudno dojść do wniosku, że jej omijanie, np. wokół Afryki, nie wchodzi w rachubę.

Jakimś rozwiązaniem byłoby wykorzystanie ropo- i gazociągów. Według raportu EIA Arabia Saudyjska uruchomiła swój rurociąg Wschód-Zachód o długości ok. 1,2 tys. km, który jest w stanie przetransportować do 5 mln baryłek ropy naftowej dziennie. Zjednoczone Emiraty Arabskie połączyły swoje śródlądowe pola

naftowe z portem Fudżajra w Zatoce Omańskiej. Z kolei w 2019 r. Arabia Saudyjska tymczasowo przekształciła gazociąg, tak by można nim było transportować ropę naftową. Jednak transport tymi ropociągami może być zagrożony, ponieważ członkowie

ruchu Huti z Jemenu chcą te nowe, dodatkowe drogi niszczyć.

EIA szacuje, że alternatywne trasy umożliwiłyby łączny przesył ok. 3,5 mln baryłek ropy dziennie, co stanowiłoby mniej więcej 15% surowca transportowanego obecnie przez cieśninę Ormuz. A to niewiele.

Zdaniem ekspertów nawet częściowe zablokowanie przez Iran cieśniny mogłoby podnieść ceny ropy do 120-130 dol. za baryłkę (obecnie na światowych giełdach kosztuje ok. 70 dol.), a w przypadku całkowitego zablokowania w skrajnym scenariuszu

cena wzrosłaby do nawet 300 dol. za baryłkę. Przełożyłoby się to na gwałtowny wzrost cen frachtu morskiego oraz na globalny wzrost cen całej produkcji, bo ropa napędza praktycznie wszystko.

Polska po wstrzymaniu dostaw ropy z Rosji jest całkowicie uzależniona od importu z Bliskiego Wschodu. Według wyliczeń analityków przy wzroście ceny ropy do 120 dol. za baryłkę litr benzyny kosztowałby u nas 7-8 zł. Gdyby zrealizował się najgorszy scenariusz 300 dol. za baryłkę, nasi kierowcy za litr popularnej benzyny 95 płaciliby ok. 14 zł!

Tych czarnych scenariuszy niestety nie możemy wykluczyć. Bo mimo czerwcowych ataków Izraela na Iran, mimo zniszczeń i sporej dezorganizacji w pracach nad irańskim programem nuklearnym Islamska Republika nie ma zamiaru z niego zrezygnować. A Teheran widzi, że jest w stanie osiągnąć celów na terenie Izraela i atakować amerykańskie bazy w regionie, nie ma więc zamiaru zejść z raz obranej przez siebie drogi.

Chrystian Ślusarczyk

wishsurfing.pl

Które marzenie wybierzesz?

Wybierz i pomóż spełnić marzenie chorego dziecka, podopiecznego Fundacji Dziecięca Fantazja.

wishsurfing.pl

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Pandemia obronności powaliła dużą część Polski na kolana. Związują się zgromadzenia, które ruszają bronić granic nie wiadomo przed kim i nie wiadomo jakim prawem. Prawem odwiecznego męskiego złudzenia, że jak agresor nazywa się obrońcą, łatwiej to zaakceptować. W kraju, w którym dochodzi do ok. 1 mln (zgłoszonych) aktów przemocy domowej rocznie, gdzie w ponad 95% ofiarami są kobiety i dzieci, nagle poruszenie wywołuje jeden, rzeczywiście brutalny, a nawet śmiertelny, napad na kobietę, tylko dlatego, że sprawcą okazuje się nie-Polak.

Przemoc polska nie wzbudza emocji, politycy prawnicy od lat starają się ją lekceważyć, usprawiedliwić, zalegitymizować. Powstają całe teorie wspierające się na archetypach tradycyjnej, zaakceptowanej przemocy wobec kobiet. Wyjątkiem są epizodyczne akty, statystycznie niezauważalne przypadki agresji,

zabiera należne im prawa pracownicze, obywatelskie, człowiecze. To jego funkcjonowanie odbiera nadzieję na dobre i lepsze życie, to on skazuje ludzi na ubóstwo, brak poczucia bezpieczeństwa (zatrudnienia, zarobków, warunków do mieszkania). Trudno o bardziej przemocową formę zastraszania milionów ludzi, bezradnych wobec tego słonia w pokoju. Równocześnie świat opinii, mediów, autorytetów – milczy. Milczy nie przypadkiem, bo akurat jemu w tej rzeczywistości jest dobrze, stabilnie, wygodnie i dostatnio. Kto gryzie rękę, która go karmi? Kto wyłamuje się z tego chóru, zostaje objęty anatema, ostracyzmem, skazany na niebyt. Przy okazji nazwany jest komunista, Stalinem, Gułagiem, Katyniem i czym tam jeszcze. Kapitalizm w swojej potworności niszczenia, powodowania degrengolady ludzkich żywotów jest jak ów nagi król – niewidzialny. Bezkarne.

Co by tu jeszcze obronić, panowie?

kiedy napastnikiem jest obcokrajowiec. Wtedy Polak wypręża pierś i z bezmyślnym zapalem rusza z odsieczą o bojówkarskiej proveniencji. Ów zapał i erupcja agresji nie biorą się z niczego. Nie będzie odkrywczе stwierdzenie, że agresja rodzi się z lęku, strachu, braku poczucia bezpieczeństwa, z uczucia zagrożenia. Nie umiając określić źródeł tych lęków, tłumy mężczyzn stają się łatwym łupem manipulacji, szczucia przeciw tym innym, obcym, nie naszym, nie-Polakom, niebiałym, niekatolikom.

Czy dziwi, że tykają oni takie wyjaśnienie? No, nie bardzo dziwi, realnie są przestraszeni, pełni lęków, których sami nazwać nie potrafią, a żadnych innych interpretacji nie słyszą. Wierzą zatem w to, co im suflują wszystkie te Bosaki, Mentzeny, konfederaty czy inni Kaczyńscy. Jeśli coś łączy światowe prawice, to ten sam schemat wskazywania niebezpieczeństwa, gdzie ów nie nasz jest diabolicznym zagrożeniem tłumaczącym wszystko, co niesie realne lęki społeczne. Ci, którzy podsuwają te tropy, znają fakty, ale cóż fakty – liczą się emocje i proste (bo fałszywe) wyjaśnienia. Ci, którzy w to wierzą, faktów nie znają, nie chcą znać, nie wiedzą, dlaczego mieliby pytać czy samodzielnie myśleć.

To jest ten moment, kiedy powinienem odkryć karty. Bo w swoim najgłębszym przekonaniu jestem pewien, że wiem, skąd te lęki biorą się w rzeczywistości i dlaczego tego wyjaśnienia próżno szukać w jakichkolwiek przekazach medialnych, politycznych lub eksperckich.

Otóż źródłem tego poczucia braku bezpieczeństwa jest coś naprawdę istniejącego, wszechobecnego, globalnego i przez swoją niepodważalną dominację – niezauważalnego. To kapitalizm. Kapitalizm, który odziera ludzi z poczucia przewidywalności,

Oswojony. Dlaczego? Bo ci, którzy kreują narracje, mają zbyt wiele do stracenia. Media – zyski. Profesorowie – katedry. Ekspertki – zatrudnienie w bankach czy innych podobnych instytucjach. A politycy ryzykują marginalizację. Tu heterodoksja jest karana z nie mniejszą zaciekłością niż katarzy i albigeni w średniowieczu, a „czarownice” jeszcze kilka wieków dłużej.

Kapitalizm nigdy nie był projektem dla wszystkich, nigdy żadna równość nie miała w nim znaczenia, nigdy powszechny dobrostan nie jawił się jako cel czy choćby asumpt do poczynania, planów, dokonań i podbojów. Toksyczność tego procederu rządzenia ludzkością jest tak dojmująco powszechna, że nie ma dzisiaj głosu, który by kapitalizm wystraszył śmiertelnie. „Widmo komunizmu” już nie krąży. Może lepiej byłoby powiedzieć: jeszcze, wciąż nie? Bo kapitalizm sam z siebie nigdy nie przyznaje się do winy, nie przeprasza, nie cofa się. Chyba że coś go przerazi – wtedy próbuje to kupić, oswoić, zneutralizować. Bóg konsumpcji okazał się władcą przepotężnym, sprawiającym wrażenie naprawdę wszechwładnego. Dzisiejszy świat jest jego kornym sługą. A my, ludzkość, zgasiłszy w sobie ogień buntu, zapomnieliśmy o marzeniach zmieniających świat, boimy się naruszenia status quo.

Kapitalizm jak wszyscy jego niegodni poprzednicy, z których czerpie pełnymi garściami: imperializm, feudalizm, kolonializm i unoszący się nad nimi wszystkimi jak duch patriarchy, otóż tenże kapitalizm nie jest wieczny. Świata i ludzkości na kapitalizm po prostu nie stać, a tej tyranii nie sposób dłużej tolerować. Czas tę kurtynę człowieczej, globalnej tragedii zasunąć i zgasić światło.

Jasnowidz i piętnastu sprawiedliwych

Sprawę łącznie rozpatrywało piętnastu sędziów i ławników. Każdy skład był jednogłówny – raz uniewinniając, a raz skazując na dożywocie

Mateusz Cieślak

Czy na podstawie tych samych dowodów za ten sam czyn można człowieka raz uniewinnić, a innym razem skazać na dożywocie? Jak się okazuje – można. I za każdym razem wyrok zapada jednogłównie.

W oknach kamienicy stojącej przy głównej ulicy Będzina pojawiło się migające światełko. Robiło się coraz jaśniejsze, aż wreszcie styczniową ciemność rozświetlił mocny blask. Choć była piąta nad ranem, ktoś nie spał. „Pali się”, zaalarmował straż pożarną. Strażacy mieli niedaleko, zjawili się w mgnieniu oka. Szybko też ugasili pożar. Podejrzewali, że nie był to nieszczęśliwy wypadek. Co wzbudziło podejrzenia? Niemal w tym samym czasie płonęły dwa mieszkania. Obydwa na drugim piętrze. W obu znaleziono ciała.

W jednym mieszkaniu, należącem do właścicielki budynku, pani Jadwigi, leżała właśnie ona. Tak przypuszczano, bo ciało było doszczętnie spalone. W drugim mieszkaniu leżał Tadeusz B., lokator, którego właścicielka kamienicy zatrudniała w charakterze dozorczy. Obok niego znaleziono przedmiot, który z jednej strony był tłuczkiem do mięsa, a z drugiej miał toporek. Były na nim ślady krwi, więc uznano, że to tym narzędziem popełniono zbrodnię. W laboratorium okazało się, że krew należy do obu osób znalezionych w mieszkaniach. Ale – i to jest ważne dla ciągu dalszego tej opowieści – nie znaleziono żadnych innych śladów. Żadnych śladów kogoś, kto mógł popełnić tę potworną zbrodnię. Mieszkania były tylko nadpalone.



Rafał P. został przetransportowany na warszawskie lotnisko Chopina samolotem wojskowym 25 kwietnia 2024 r., a następnie osadzony w zakładzie karnym.

Nie wiadomo jednak, czy coś z nich zniknęło. Jak to możliwe? Policja przeprowadziła swoje śledztwo. Podwójne morderstwo badała też prokuratura. Kilkuosobowe składy sędziowskie aż sześciokrotnie analizowały cały materiał dowodowy. Mimo to nie ustalono, czy przy okazji morderstwa coś z mieszkań zrabowano. A przecież pani Jadwiga była osobą majątną. Całe życie mieszkała w Kanadzie, a do Będzina przyjechała, by uporządkować sprawę związane z kamienicą.

Bezradność czy nieudolność?

Początkowo policja była bezradna. Choć może to niewłaściwe określenie. Okno mieszkania dozorczy było otwarte. Zwisiała z niego

tkanina, umocowana tak, by utrzymała ciężar dorosłego człowieka spuszczającego się po niej jak po linie. Kończyła się tuż nad chodnikiem. Jako że styczeń 2006 r. był śnieżny, zostały w tym miejscu ślady butów. Tak jakby ktoś wydostał się z kamienicy przez okno, po czym odszedł. Całkowicie jednak pominięto te dowody, nie sprowadzono psa tropiącego.

Jedno z okienek na parterze było stare i nie domykało się. Z zewnątrz wystarczyło je pchnąć, by dostać się na klatkę schodową. Jego również nie zbadano. Przyjęto, że zbrodniarz musiał mieć klucze i wszedł głównym wejściem. Dlaczego tak właśnie uznano? Nie wiadomo.

Bezradność policji skończyła się mniej więcej po tygodniu. Ktoś

zadzwoił na numer alarmowy. Celowo należy używać określenia „ktoś”, ponieważ policja nie zainteresowała się, kto i skąd dzwonił. Co prawda, w tamtym czasie nie obowiązywał jeszcze przepis nakazujący rejestrowanie telefonicznych kart prepaid, ale próby ustalenia tożsamości rozmówcy nie zostały wcale podjęte. A było to chyba ważne, gdyż ta nieznaną osobą twierdziła, że mordercą jest Rafał P. Chodziło o właściciela działającego na parterze kamienicy baru O kurczę.

Rafała P. zatrzymano, co nie powinno dziwić. Szybko jednak go zwolniono, co również dziwić nie powinno – nie było żadnego dowodu, że to on jest mordercą. On sam do tej zbrodni też nie chciał się przyznać. Policja więc znowu była bezradna.

Wizyta u jasnowidza

Postanowiono sięgnąć po rozwiązanie niestandardowe – poprosić o pomoc jasnowidza. I to nie było jakieś. Zrezygnowano z wróżek i wróżbitów, których w Zagłębiu Dąbrowskim nie brakuje. Pomocy szukano aż na Pomorzu. W Człuchowie bowiem mieszka ten najślawniejszy aktualnie polski jasnowidz – Krzysztof Jackowski.

Jackowski się zgodził. Policjant, który wtedy z nim się spotkał, wystąpił w filmie dokumentalnym i opowiadał, że do Człuchowa pojechano z niektórymi elementami wyposażenia podpalonych mieszkań. Przywieziono też fragmenty odzieży ofiar.

Spotkanie trwało około pięciu godzin. Jackowski wahał przywiezione przedmioty, wstawał, siadał, chodził, dumał. Aż wreszcie powiedział, że policja ma szukać kobiety, która mieszka 8 km od miejsca zbrodni. Kobieta policja powinna znaleźć w miejscowości mającej jakiś związek z kościołem.

Kobiet mieszkających 8 km od miejsca zbrodni było wiele. Jak znaleźć tę właściwą? Udało się, choć nie w miejscowości mającej jakiś związek z kościołem.

Miejscowością wskazaną przez Jackowskiego były najprawdopodobniej Wojkowice Kościelne.

Z Będzina do tej wsi jest 13, a nie 8 km, ale mniejsza o to, błąd rzędu kilku kilometrów to drobiazg, szczególnie w sytuacji, gdy chodzi o ujęcie mordercy. W Wojkowicach Kościelnych policja żadnej użytecznej kobiety nie znalazła. Znalazła ją obok – 10 km dalej, też 13 km od Będzina, mieszkała Ewa. I Ewa była kluczem.

Słuch absolutny

Bar O kurczę prowadzili wspólnie Rafał i jego żona Alina. Pomagała im Ewa. Wykonywała najprostsze czynności, takie jak sprzątanie. I gdy policjanci już ją odnaleźli, powiedziała im, że słyszała dziwną rozmowę, którą prowadzili przy wódcie jej narzeczony oraz Rafał P.

Oni siedzieli na zapleczu baru, ona sprzątała ubikację, w której automatycznie włączał się wentylator, gdy ktoś wchodził do środka. Od rozmawiających mężczyzn dzieliła ją solidna ściana o grubości 40 cm. Na zapleczu działały agregaty lodówek

Niemal w tym samym czasie płonęły dwa mieszkania. Obydwa na drugim piętrze. W obu znaleziono ciała.

i zamrażarek, nie było więc cicho jak makiem zasiał. Hałas wydawany przez agregaty był na tyle intensywny, że w barze zainstalowane zostały specjalne brzęczyki, które informowały o wejściu klienta, inaczej nikt nie usłyszałby otwieranych drzwi.

Wobec tego sąd stwierdził, że Ewa nie zasługuje na to, by dać jej wiarę, lecz potem uznał, że jest świadkiem w 100% wiarygodnym. Za każdym razem w składzie orzekającym panowała jednomyślność. Ostatecznie przyjęto, że Ewa jest wiarygodna i tę rozmowę słyszała bardzo wyraźnie.

O czym panowie rozmawiali? Rzekomo o właścicielce kamienicy. Co dokładnie mówili? Nie wiadomo, ponieważ Ewa zmieniła zeznania. Raz mówiła, że podsłuchiwała rozmowę o planowaniu morderstwa. Innym razem, że w rozmowie tej nic nie było o zabójstwie. A wreszcie twierdziła, że szczegółów rozmowy nie pamięta.

Pewnie należy tu wspomnieć, że kiedy Ewę odpytywała policja, jej

brat miał problemy z prawem. Warto byłoby się zastanowić, czy Ewa na swój sposób nie chciała pomóc policji w odniesieniu sukcesu – tak by policjanci byli z niej zadowoleni, co mogłoby się przekładać na sytuację jej brata. To jednak najmniejszy problem, gdy chodzi o wiarygodność tego świadka, który nie dość, że nie mógł słyszeć rozmowy prowadzonej na zapleczu baru, to w dodatku zataił przed sądem ważną okoliczność. Ewa bowiem ukryła, że miała klucze do drzwi wejściowych kamienicy. A to – zgodnie z założeniem przyjętym przez policjantów – sytuowało ją w kręgu podejrzanych. Dodajmy, że tylko ona mówiła o jakiejś rozmowie. Równie dobrze takiej rozmowy mogło nie być.

Zabił dla kilku tysięcy?

Jasnowidz i Ewa – to były mocne atuty śledztwa. Wręcz jedyne. Ale akt oskarżenia wspomina wyłącznie o Ewie. Prokurator przyjął,

że musiała słyszeć rozmowę o planowaniu zabójstwa. Po co Rafał P. miałby chcieć zabijać właścicielkę kamienicy? Ponieważ zalegał z zapłatą czynszu za bar. Ta zaległość miała wynosić ok. 4 tys. zł.

Żona Rafała P., Alina, twierdzi tymczasem, że żadnej zaległości nie było. Aby to udowodnić, przyniosła na komisariat policji zeszyt, w którym małżonkowie zapisywali wszystkie wydatki związane z prowadzeniem baru. Miało tam się znajdować podpisane przez panią Jadwigę oświadczenie, że cała zaległość została uregulowana. Niestety, ów zeszyt zaginął i nie ma go w aktach sprawy. Być może jednak coś dałoby przesłuchanie policjantów, którzy wówczas ten zeszyt odbierali. Minęło sporo lat, ale któryś mógłby coś pamiętać. Podczas tamtej wizyty na komisariacie Alina P. zemdląta. Podobnie zresztą Rafał P., kiedy się dowiedział, że będzie odpowiadał za zabójstwo. Stracił przytomność. ▶

► Nie symulował. Nieprzytomny miał drgawki i policjanci wezwali pogotowie. Medycy odwieźli Rafała P. do szpitala.

Rozpoczął się proces. Pierwszy z sześciu. Na ławie oskarżonych zasiadło dwóch rzekomych sprawców – Rafał P. oraz narzeczony Ewy. Sprawa toczyła się w Sądzie Okręgowym

Tym razem Rafał i jego domniemany kompan byli już dwiema oddzielnymi osobami, ale wspólnie trzymali trzonek tłuczka. Musieli go trzymać jednocześnie, gdyż wedle sądu obaj doprowadzili do śmierci.

Sąd stwierdził również, że do zabójstwa doszło pomiędzy 31 grudnia 2005 r. a 2 stycznia 2006 r. Takie daty

Od tego wyroku odwołała się prokuratura. Tym razem Sąd Apelacyjny w Katowicach uznał, że zeznania Ewy są całkowicie wiarygodne, i po raz kolejny sprawa trafiła do Sądu Okręgowego w Katowicach. Właściciela baru skazano na dożywocie, ale jego rzekomego współnika uniewinniono.

Na tym etapie sąd szukał jakiegoś mocniejszego motywu niż wspomniane 4 tys. zł zaległości za czynsz. Tym motywem miała być chęć uzyskania odszkodowania za spalony bar. Sąd zapomniał, że ogień został podłożony na drugim piętrze, a bar znajdował się na parterze.

Jeszcze raz nad losem Rafała P. pochylił się Sąd Apelacyjny w Katowicach. Uznał, że właściciel baru O kurczę jest podwójnym mordercą i resztę życia powinien spędzić w celi.

Łącznie sprawę rozpatrywało piętnaścioro sędziów i ławników. Zawsze byli jednogłośnie – raz uniewinniając, a raz skazując na dożywocie. Raz jedną, a raz dwie osoby. Ani razu żaden z wydających wyrok nie zgłosił zdania odrębnego. Tak skrajnie różne decyzje zawsze podejmowano jednomyślnie.

Pani Alina walczy o uwolnienie męża. Ciągle poszukuje osób, które mogą coś wiedzieć na temat tamtej tragedii, coraz bardziej odległej.

Rafał P. opuścił terytorium Polski i ukrywał się za granicą. Sąd Okręgowy w Katowicach wydał za nim list gończy, europejski nakaz aresztowania oraz czerwoną notę Interpolu. Sprawą jego poszukiwań zajęli się ślascy „łowcy głów”, włączono w nią ENFAST, czyli europejską sieć współpracy policyjnej zajmującą się poszukiwaniem najbardziej niebezpiecznych przestępców. 3 lutego 2024 r. poszukiwany został zatrzymany w jednym z domów w miejscowości Schijndel w Holandii przez tamtejszych funkcjonariuszy.

Niderlandzki sąd wyraził zgodę na ekstradycję Rafała P. do Polski. 25 kwietnia 2024 r. mężczyzna został przetransportowany wojskowym samolotem na lotnisko Chopina w Warszawie, a następnie osadzony w zakładzie karnym.

Mateusz Cieślak

Czy na podstawie tych samych dowodów za ten sam czyn można człowieka raz uniewinnić, a innym razem skazać na dożywocie?

w Katowicach. W składzie orzekającym było pięć osób – dwoje sędziów i trzy ławniczki. Wyrok – dożywocie. Dla jednego i drugiego mężczyzny.

Niby dwóch ludzi, a jeden

Sam wyrok jest kuriozalny. Opis czynu dotyczącego dozorczy: „Działając wspólnie i w porozumieniu (...) przez co najmniej trzykrotne uderzenie w głowę (...) spowodował obrażenia głowy”. Sędziowie zrobili z dwóch mężczyzn – rzekomych sprawców zbrodni – jedną osobę.

Opis czynu dotyczącego pani Jadwigi: „Działając wspólnie i w porozumieniu (...) poprzez wielokrotne uderzenie w głowę narzędziem twardym (...) spowodowali obrażenia głowy w postaci co najmniej trzech ran”.

przyjęto, mimo że jeden z policjantów sporządził notatkę z rozmowy ze sklepikarzem mającym lokal niedaleko kamienicy. Sklepikarz ten mówił, że widział panią Jadwigę jeszcze 1 stycznia wieczorem.

Sąd apelacyjny nie zostawił suchej nitki na tym pierwszym wyroku. Krytykowano też pracę śledczych, uznając, że była prowadzona „w sposób chaotyczny, pobieżny i daleki od profesjonalizmu”. Wytknięto niezbadanie zapisu kamer monitoringu, których w pobliżu było kilka, lekceważące podejście do sprawy anonimowego telefonu i nieprzesłuchanie wszystkich ważnych świadków. Wspomniano o śladach na śniegu.

Kazano sądowi okręgowemu zbadać sprawę raz jeszcze. Nowy skład sędziowski uniewinnił obu mężczyzn.

KSIAŻKI

Jan Malicki

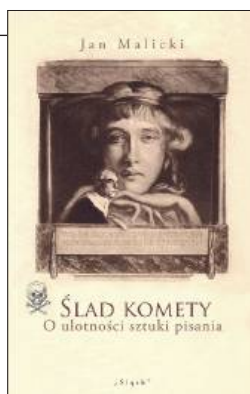
Ślad komety

O ulotności sztuki pisania

Wydawnictwo Śląsk, Katowice 2024

Historyk literatury, niegdyś profesor Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach i Uniwersytetu w Ostrawie, przez 27 lat dyrektor Biblioteki Śląskiej w Katowicach, jest autorem nie tylko wielu książek naukowych i serii wydawniczych, ale także stałym felietonistą miesięcznika społeczno-kulturalnego „Śląsk”. Zaprezentowany zbiór esejów i artykułów dowodzi, że ich autor jest znawcą śladów każdej istoty w nieogarnionej galaktyce pokoleń i kustoszem szlachetnej przeszłości, nie tylko rodzinnego Śląska. Nie tylko strażnikiem pamięci, zawsze zaangażowanym w perpetuum mobile ludzkiego istnienia, ale także łowcą literackich niezwykłości. Zajmuje się rekonstrukcją i uzupełnianiem brakujących fragmentów, odkrywając ślady i prowadząc po ścieżkach zapomnianych ludzi i ich twórczych dokonań w czasach, gdy kultura książki chyli się ku zmierzchowi. Warto dodać, że kilka tekstów zamieszczonych w zbiorze było zainspirowanych publikacjami „Przeglądu”.

(es)



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Neandertalczyki na granicy

Porażka prezydencka Trzaskowskiego, chociaż niewielka, ma bardzo poważne konsekwencje. Nie przypadkiem w sondażach Platforma i koalicja dramatycznie tracą. Miliony wyborców, by zmniejszyć ból przegranej, odsuwają się od polityki i idą na emigrację wewnętrzną. Wielu moich znajomych pakuje się i tam właśnie zmierza. Rozumiem mechanizm, sam z coraz większą niechęcią śledzę wydarzenia polityczne. Ale to samobójcza taktyka, realizowanie marzeń PiS i Konfederacji: niech liberałowie sobie żyją, jesteśmy litościwi, nie mamy intencji was likwidować ani wychować, na ogół jesteście niereformowalni, życie sobie, ale z boku, na tej emigracji, i nam nie przeszkadzajcie. A my już po swoim przerobimy duszę tego kraju.

Nie ma jednak takiej emigracji wewnętrznej, na której będzie można dobrze i wygodnie żyć. Ci, którzy pamiętają PRL, wiedzą, że polityka sączyła się nawet przez zamknięte drzwi, pukała złowrogo do okien. Jedyną radą jest więc emigracja zewnętrzna – to polecam emigrantom wewnętrznym – jeśli nie opuszczą kraju, zostaną ukarani. Lecz my, którzy chcemy czynnie przeciwstawiać się złu, bez was już na pewno przegramy.

Wstawiłem te słowa na Facebooka i przeraziły mnie komentarze. Cytuję jeden z wielu, bardziej umiarkowany: „Problem w tym, że rozjechaliśmy się mentalnie z wybranymi przez siebie władzami, nie zrealizowali podstawowych

haseł wyborczych, odbudowy wymiaru sprawiedliwości, praw kobiet, stworzenia praw LGBT, a też skreślili w prawo, choćby likwidując prawo do azylu na polsko-białoruskiej granicy, a teraz »poprawiając« po Bąkiewicz na granicy z Niemcami. Nie o taką Polskę walczyliśmy. Zostaliśmy osieroceni przez ludzi, którym daliśmy władzę. Stracili nasze zaufanie”.

Po internecie krążą dziesiątki tysięcy takich wpisów. Teraz dotożył się do tego Szymon Hołownia i już powszechne jest poczucie, że rośnie u nas bałagan i wszystko idzie w rozsypkę. Hołownia, dobry mówca i narcyz, stanowi przykład, że władza to nałóg, który czasami ogłupia. Co za pomysł łądować się ciemną nocą do mieszkania Bielana, gdzie przybył Kaczyński, i potajemnie konspirować z gangsterami. I jeszcze wpaść. Widowiskowy przypadek politycznego samobójstwa.

Rozczarowanie i agresja to prawdopodobnie kolejne stadium przeżywania żałoby. Defetyzm szerzy się jak wysoce zaraźliwa choroba. Jeśli tego nie zablokujemy,

mamy gwarancję klęski. Konieczne jest potężne szarpnięcie pojazdu, który utkwiał w błocie niemożności. Inaczej mówiąc, Tusk musi zrobić coś, a właściwie COŚ. Odnoszę wrażenie, że Tusk, PO nie są do końca świadomi tego, co się dzieje. Tak przecież było przy poprzedniej porażce rządu Tuska. Wiem od jego współpracowników, że był wtedy głuchy na ostrzeżenia. Ale nie da się „mocno szarpnąć” bez gwałcenia prawa, a liberałowie domagają się od Tuska, by tak działać jak w przypadku przejścia telewizji publicznej.

Mroczne są perspektywy – słabo liczę, ale bez trudu obliczam. Nawrocki będzie przez pięć lat prezydentem, za dwa lata zaczną się rządy PiS i Konfederacji z nadzieniem Brauna. Za pięć lat będę miał 80 lat – jeśli rzecz jasna dożyję. Przyjdzie mi więc zapewne umierać w kraju, który trudno lubić, w poczuciu, że zostawiam swoim dzieciom i wnukom brunatną Polskę, pełną gniewu, złości, nienawiści. Potwory oczywiście będą się pożerać nawzajem, ale to żałosna poeciecha. A przecież w ostatnich latach stałem się co do Polski optymistą, a tu okoliczności pchają mnie w stronę pesymizmu.

Hołownia, dobry mówca i narcyz, stanowi przykład, że władza to nałóg, który czasami ogłupia. Widowiskowy przypadek politycznego samobójstwa.

Wracając do porażki Rafała Trzaskowskiego, jak to możliwe, że jego sztab, który sknocił kampanię, milczy? Żadnego poczucia winy.

Straż obywatelska złożona jest z kiboli i braunowców, rzecz jasna na polsko-niemieckiej granicy pokazują się też politycy PiS. „Obywatelską” akcją dowodzi Robert Bąkiewicz, nowa twarz PiS, zbir o gębie neandertalczyka, uderzające podobieństwo. Członkowie tej „straży” sprawiają wrażenie ludzi bezdomnych i alkoholików bądź napakowanych kiboli. A Dudzie i Nawrockiemu te bandy bardzo się podobają. Bronią Polski przed obcy mi, próbują bezprawnie kontrolować samochody. Polscy szwoleżerowie, husaria, chronią polskie niewiasty przed gwałtem, znieważają strażników granicznych. I co? Dlaczego się ich nie zamyka? Tomasz Siemoniak, szef MSW, robi sympatyczne i pocziwe wrażenie. Ale by walczyć z takim przeciwnikiem, trzeba mieć w sobie trochę skurwysyństwa. Miał to Sienkiewicz, więc wyjechał na wakacje do Brukseli.

Więcej niż trunek

W Grecji ouzo, w Turcji – yeni raki, w Bułgarii – mastika.
Wszystkie pachną słońcem i anyżkiem

Chrystian Ślusarczyk

W gorące, letnie dni, których z każdym rokiem w Polsce przybywa, chętnie sięgamy po coraz to nowsze odmiany piw i cydrów. O ile te pierwsze często goszczą na naszych stołach, o tyle cydry – jabłkowe, gruszkowe, brzoskwińowe – które przecież coraz śmielej zapełniają sklepowe półki, w naszych domach zobaczyć można rzadziej. Trudno o jednoznaczną odpowiedź, dlaczego tak się dzieje, o tym, że jesteśmy jabłkową i gruszkową potęgą, nikogo chyba nie trzeba przekonywać. Tymczasem przeciętny Polak wypija rocznie mniej niż litr cydru o zawartości alkoholu 4,5%, podczas gdy np. Anglicy wypijają 16 litrów na osobę.

Od lat właśnie ouzo na wszystkich kontynentach jest kojarzone z greckim anyżkowym napojem alkoholowym.

Niemal zupełnie nieznanymi pozostaje zaś u nas „król letnich stołów”, anyżkowy destylat, w Polsce niesłusznie i myląco nazywany wódką, produkowany z wyłoków winogronowych z dodatkiem – co czyni go wyjątkowym – anyżu. Już sam ten fakt nakazuje daleko idącą ostrożność w klasyfikowaniu anyżkowego tercetu: ouzo (w Grecji), yeni raki (w Turcji i Azerbejdżanie) i mastiki (w Bułgarii). Być może najtrafniejszym określeniem tego alkoholu byłoby aromatyzowane brandy.

W nielicznych sklepach, które oferują ten alkohol w Polsce, znajdziemy go raczej przy koniakach i francuskim calvadosie, a nie obok wódek. Anyżkowy destylat jest dość mocny – zawartość alkoholu wynosi

najczęściej 38-40%, choć w Bułgarii natrafimy też na mastikę o mocy 47-48%. Mogłoby więc się wydawać, że w czasie letnich upałów nie będzie dobrym rozwiązaniem. Jednak spożywający go, od Słowenii po wschód Turcji czy nawet Zakaukazie, rzecz jasna w umiarkowanych ilościach, zgodnie twierdzą, że ten schłodzony trunek stanowi doskonałe orzeźwienie. Picie go w ilościach większych niż szklaneczka z dodatkiem lodu nie ma sensu. Chodzi nam w końcu o smak, aromat i odpowiednio dopasowany do danej potrawy aperitif.

Opisując turecką yeni raki, warto pamiętać, że na całych Bałkanach najpopularniejszym od wieków destylatem z owoców jest rakija, robiona najczęściej z winogron czy śliwek. W Turcji także – choć w mniejszym

ouzo i jego odpowiedniki to znacznie więcej niż napój. To symbol dziedzictwa kulturowego i tradycji Grecji, Bułgarii i Turcji. Na Bałkanach podkreśla głęboką więź między ludźmi, miłe spędzanie razem czasu przy stole. Dziś dla zapracowanych, ciągle gdzieś się śpieszących nacji Zachodu i Północy nie do końca jest to zrozumiałe.

Meze – bałkańskie delektowanie się

Historia i tradycje związane z anyżkowym alkoholem są zaskakująco stare. Pierwsze skuteczne próby stworzenia anyżkowego napoju alkoholowego na Bałkanach, głównie w Turcji, sięgają początku XVI w. Yeni raki, a u sąsiadów ouzo i mastika, błyskawicznie znalazły swoje miejsce w życiu kulinarno-społecznym całego ówczesnego imperium osmańskiego. Na przestrzeni wieków ouzo, yeni raki i mastika stały się nieodzownym elementem tamtejszych uroczystości. Jedną z charakterystycznych cech tego trunku jest to, że stworzono do niego bardzo bogatą paletę przekąsek. W Turcji czy Grecji, a w mniejszym stopniu w Bułgarii, niemal każdy wie, co do anyżkowego aperitif pasuje, a co nie. Powstały małe przystawki, tzw. meze, które podróżujący do Hiszpanii porównują do popularnych tapas. Są ich dzisiaj setki, a na stoły trafiają wciąż nowe, coraz bardziej wymyślne.

Wróćmy jednak do samego trunku i sposobu jego konsumpcji. Ouzo i jego bałkańskie odpowiedniki spożywane są w dość dużych, przezroczystych szklaneczkach. Dużych, bo należy zostawić sporo miejsca na lód albo – co zdarza się rzadziej – lodowato zimną wodę. Nieschłodzonych ouzo, yeni raki czy

stopniu – rakija, po turecku raki, jest konsumowana. Z kolei yeni raki (tur. yeni oznacza nowy) sama w sobie jest konkretną marką, która zyskała ogromną popularność – tak wielką, że dziś wszędzie na świecie, pisząc czy mówiąc o tureckiej anyżówce, używa się słów yeni raki.

Z wyżej wymienionych anyżkowych napitków zdecydowanie największą karierę zrobiło jednak greckie ouzo. Mimo że dla większości znawców nie jest ono ani lepsze, ani gorsze od tureckich czy bułgarskich odpowiedników, od lat właśnie ouzo na wszystkich kontynentach jest kojarzone z greckim anyżkowym napojem alkoholowym.

Zarówno pod Akropolem, jak i w sąsiednich krajach bałkańskich

mastiki nie warto nawet próbować! W niektórych lokalach na Bałkanach zdarza się, że po zamówieniu możemy dostać dwie szklanki – jedną na właściwy trunek, drugą na lód. Zamawiający sam decyduje, ile lodu chce wrzucić.

Po dodaniu lodu, ewentualnie wody, alkohol mętnieje i przypomina mleko. To mleczne zmętnienie pojawia się, ponieważ anyżek zawiera składnik, który nie rozpuszcza się w wodzie. W Bułgarii i w niektórych innych regionach Bałkanów to zmętnienie nazywane jest chmurką. Nie

(pomidory, ogórki, papryka pieczona, cebula, olej, ocet, sól i ser solankowy). Bułgarzy często podają też pokrojony, dość twardy ser solankowy, posypany dla ozdoby i dla smaku czerwoną papryką w proszku, lub kaszkawał, czyli bałkański, dość tłusty ser żółty.

W Grecji i na tureckich wybrzeżach, gdzie styczność Polaków z ouzo jest zdecydowanie najczęstsza, przystawek meze czy mezedes (gr.) jest bez liku. O miano najpopularniejszej na pewno może się ubiegać kawałek greckiego sera

to dla wielu kulinarny letni numer jeden. Jego niezbędne składniki? Gęsty grecki jogurt, drobno poszatkowany ogórek, rozarty czosnek, nieco koperku, oliwy i soli. Oczywiście należy podawać je mocno schłodzone. U Greków i Turków, a także na Riwierze Bułgarskiej popularnością cieszą się drobne szprotki i sardynki w oliwie. W Grecji i Turcji przystawkę stanowią również gołąbki z faszerowanych ryżem liści winogron. W Turcji to dolma, w Grecji – dolmades. Podaje się je na chłodno z jogurtem, polewając



Ouzo to symbol dziedzictwa kulturowego i tradycji zarówno Grecji, jak i Bułgarii i Turcji.

dziwny się zaproszeniu padającemu około południa (pierwsze w ciągu dnia) czy o godz. 19-20 (drugie) na „małą chmurkę” przed posiłkiem. Później ten właściwy, pyszny posiłek smakować będzie jeszcze wyborniej.

Jakie smakołyki zatem są podawane do ouzo, yeni raki czy mastiki? W Bułgarii nikt nie ma wątpliwości, że najlepiej do tych trunków pasuje dobrze u nas znana sałata szopska

feta polany oliwą, z najczęściej zielonymi oliwkami. W regionie Morza Egejskiego ouzo pije się do grilloowanych kawałeczków ośmiornicy, rzecz jasna solidnie polanych oliwą. Doskonale pasują też kalmary. Popularnym owocem morza pasującym do ouzo są także mule z oliwą i cytryną. Podawane są też plastry pieczonego bakłażana z serem (feta lub kaszkawał). Doskonałym meze będzie tzatziki. Ten grecki specjał

sosem z masła z dodatkiem sproszkowanej czerwonej papryki. Odpowiednio przygotowane do dolma liście można kupić w niektórych naszych sklepach. Niestety, nie są tanie. Oszczędniejsi mogą je zbierać, bo krzewy winogron sadzone są dziś masowo.

Dobrym pomysłem na meze dla leniwych są dostępne niemal w każdym polskim sklepie zielone lub czerwone papryczki faszerowane serem feta, pływające w aromatyzowanym sosie z oliwy.

W czasie największych upałów, tak powyżej 40 st., niektórzy Grecy, Turcy czy Albańczycy jako meze ▶

▶ do bałkańskiej anyżówki wciąż podają schłodzonego arbuza czy aromatycznego melona. Te pierwsze, dojrzałe pod greckim słońcem, dostępne są już w naszych sklepach. Gorzej z melonami, których smak nie wiadomo dlaczego przez cały rok różni się niewiele.

Nieschłodzonych ouzo, yeni raki czy mastiki nie warto nawet próbować!

Generalnie meze (mezedes) muszą być wyraziste – słone, kwaśne (sporo cytryny), podawane z oliwą, niektóre średnio ostre. Wszystkim tym przekąskom często towarzyszy białe, lekko podpieczone pieczywo, polane oliwą i posypane ziołami. Pamiętajmy o umiarkowanym i – co chyba jeszcze ważniejsze – powolnym spożywaniu (a raczej delectowaniu się) meze. Bo meze to przystawki, których wybór jest ogromny, ale stanowią tylko kulinarne preludium do właściwego dania.

Anyżkowe trunki na Zachodzie

Podczas gdy nasz anyżkowy tercet ouzo, yeni raki i mastika nie ma słodkawego posmaku i doskonale pasuje do słonych meze, na zachodzie Europy powstały trunki, które bez wahania możemy zaliczyć do

likierów. Czy przypasują podniebniom Polaków? Trudno powiedzieć – na pewno warto spróbować.

We Francji pija się pastis, trunek produkowany głównie z anyżku i lukrecji, zazwyczaj z ziołowymi dodatkami. To mocny napój, najczęściej o zawartości alkoholu 40-45%. Jest typowy dla Prowansji i południa Francji. Pije się go latem, rozcieńczając wodą z dodatkiem lodu.

Włosi z kolei chętnie sięgają po sambuca. To bezbarwny likier anyżkowo-ziołowy z koprem włoskim,

zazwyczaj o mocy poniżej 40%. Jest produkowany na bazie kwiatów czarnego bzu (wł. sambuco). Sambuca wykorzystywana jest często do przygotowywania koktajli.

Choć większość Bułgarów kojarzy mastikę jedynie z własną ojczyzną i jest przekonana, że posiada do niej wszelkie prawa, na greckiej wyspie Chios także powstaje mastika. Z tą tylko różnicą, że grecki trunek jest produkowany z połączenia destylatu kryształów mastyksu, czyli żywicy śródziemnomorskiej, z czystym alkoholem i cukrem. Na Chios ten anyżkowy likier spożywany jest od stuleci.

Wielu z nas, będąc jakiś czas temu w Grecji albo na Cyprze, sprezentowało sobie butelkę ouzo. Być może kupioną na lotnisku, w strefie najpopularniejszych pamiątek z tych krajów. I przez lata pięknie zapewne opakowane butelki zbierają kurz w domowym barku czy w szafce. Gorące, letnie miesiące to najlepsza okazja, by ouzo, a może i yeni raki lub mastikę odkurzyć...

Chrystian Ślusarczyk

“CAVERNA MAGICA”
– revisited 2025

ANDREAS VOLLENWEIDER
& FRIENDS

19.10.2025 NFM, Wrocław 22.10.2025 NOSPR, Katowice

JOHN PORTER
HELICOPTERS 45

11.11.2025 STARY MANEŻ • GDAŃSK
26.11.2025 STODOŁA • WARSZAWA

KULT

24.10.2025 Warszawa, Torwar
15.11.2025 Katowice, Spodek

BILETY DOSTĘPNE NA: [TICKETCLUB.PL](https://www.ticketclub.pl) | [STODOŁA.PL](https://www.stodola.pl)

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Skale obrzydliwości

Narodowy socjalizm i katolicyzm tworzą nadzwyczaj toksyczną miksturę, chęptaną przez niezliczone rzesze obywateli Polski, a potem wyrzygiwaną publicznie ku uciesze gawiedzi i przy rosnących słupkach poparcia dla skrajnej prawicy. Naród karmiony takim koktajlem wyrodnije, brunatnieje i hołubi swoich harcówników za to, że „mówią, jak jest”, a cokolwiek by mówili podłego, nikczemnego, jadowitego i haniebnego, poprzedzają to katolickim „Szczęść Boże”, cytatai z Biblii lub puentują głośną modlitwą. W odstępie kilkudziesięciu godzin Kaczyński ze swoją świtą zdążył pobłogosławić „obrońców granic”, Bąkiewicz wygłosić do kamer i mikrofonów swoje faszystowskie credo, Duda w obłąkańczym słowotoku uznać, że Polsce potrzeba wieszania zdrajców, a Braun zanegować istnienie komór gazowych i zacytować „naukowe” opracowania dotyczące mordów rytualnych. Owóż, ja osobiście wołę mordy rytualne od mord narodowych socjalistów katolickich, którzy najwyraźniej postanowili odbić w Polsce rząd dusz.

Nie dziwię się, że puszczaają nerwy już nawet największym stoikom rodem z krakowskiej szkoły ekumenizmu i tolerancji – nawet Tomasz Fiałkowski, jeden z tytanów intelektualnych „Tygodnika Powszechnego”, napisał na swoim Facebooku o obecnej Polsce, że to „obrzydliwy, gówniany kraj”. Tu już nie czas na język ezopowy, o Polsce należy pisać tak, jak Thomas Bernhard pisał o Austrii, której obywatele dewocją i ksenofobię wysłali z mlekiem matek i której nie mógł darować hipokryzji – ci sami obywatele, którzy ekstatycznie witali Hitlera na Heldenplatz w 1938 r., po wojnie przybrali pozę ofiar nazistowskiego reżimu. O ironio, Bernhard wytchnienie odnalazł w Polsce, którą wspominał najrzewniej, zwłaszcza czas, który spędzał w towarzystwie Stanisława Leca na Nowym Świecie – ale inna to była Polska, inne demony w niej się budziły – te, których Bernhard najbardziej nienawidził, dopiero teraz urosły w siłę.

Ci sami fanatycy, gotowi zabić w obronie dobrego imienia ojczyzny, stawiający pomniki i muzea reprezentantom narodu, który jakoby masowo i z narażeniem życia ukrywał Żydów, dzisiaj gorliwie polują na imigrantów i tropią ludzi, którzy w człowieczym odruchu chcieliby dopomóc uchodźcom. Milion spośród nich oddało głos w ostatnich wyborach prezydenckich na skrajnego antysemitę, bezkarnie głoszącego teraz kłamstwo oświęcimskie i znieważającego naczelnego rabina

Polski podczas uroczystości w Jedwabnem. „Nie ma w słowniku ludzi kulturalnych słów, które by mogły wystarczająco obelżywie określić takie postępowanie”, jak rzekł był ustami Zbigniewa Zapasiewicza kapitan Wagner w „C.K. Dezerterach”. Braun korzysta z antyizraelskich nastrojów, by hodować na nich swoją ksenofobię.

Fakt, że Izrael pod rządami Netanjahu zmienił się w państwo zbrodnicze, dokonujące ludobójstwa z tępym i zajadłym okrucieństwem, przy biernej postawie narodów świata, w żadnej mierze nie usprawiedliwia negowania zbrodni dokonywanych na narodzie żydowskim przed kilkudziesięciu laty, także przez nasz rodzimy antysemitki, pogromowy żywiol.

Wołę mordy rytualne od mord narodowych socjalistów katolickich, którzy najwyraźniej postanowili odbić w Polsce rząd dusz.

Gdyby ktoś chciał uznać, że ten „gówniany, obrzydliwy kraj” jest najbardziej gównianym i najobrzydliwszym obecnie krajem na świecie, musiałbym zaprotestować – także na polu zaślinionym gównem i obrzydliwością jesteśmy kilka kroków do tyłu za innymi, takie to nasze szczęście w nieszczęściu. Zapatrzeni w innych, jesteśmy siłą rzeczy wobec nich zapóźnieni, także w zbydlęceniu. Trzeba uważać, bo jak pisał Bernhard w „Wycince” (notabene właśnie trwają próby wznowieniowe wybitnego przedstawienia Krystiana Lupy w celu rejestracji dla Teatru Telewizji – brawo TVP, niebawem wróci kur-wizja i nie będzie już takich rzeczy na antenie!), „by wyratować się z opresji, jak sądzę, potrafimy być tak zakłamanymi jak ci, którym to zakłamanie nieustannie zarzucamy i z powodu tego zakłamania mieszmamy ich wciąż z błotem, taka jest prawda; w ogóle nie jesteśmy ani trochę lepsi od tych, którzy ciągle wydają nam się nieznośni, wstrętni, odstręczający, z którymi chcemy mieć jak najmniej do czynienia, podczas gdy, przecież bądźmy szczerzy, mamy nieustannie z nimi do czynienia i jesteśmy tacy sami jak oni. Zarzucamy tym ludziom wszelkie możliwe nieznośności i obrzydliwości, a sami nie jesteśmy ani trochę mniej nieznośni i obrzydliwi, a może nawet jesteśmy bardziej nieznośni i obrzydliwi niż oni”.

 Anna Bimer

Na wielkim łożu z atłasową pościelą leży Karolina Wajda. Jest ledwie pełnoletnia. Jej słynny ojciec nie ma pojęcia, że córka zadała się z muzykami. Leżą obok niej, a potem sięgają po szklancezki.

– W prawdziwym ujęciu będzie w środku coś? Jakaś herbata? – pyta Sławomir Łosowski z grupy Kombi.

– Coś tam wlejemy, ale butelka musi być prawdziwa – oświadcza Juliusz Machulski. – Mam jakieś dewizy, trzeba, żeby ktoś skoczył do Peweksu po butelkę „Black & White”.

Reżyser nakręcił z Kombi wideoklipy do ich dwóch utworów, w tym „Black and White”.

Dorobek zobowiązuje. Jak się czaruje „Seksmisją” i „Kingsajzem” i zostało się „polskim Spielbergiem”,



Seksmisja, czyli Kingsajz ma znaczenie

Juliusz Machulski oznacza: pomysł, błyskotliwość, humor, staranność na najwyższym poziomie

nie wolno odpuszczać w żadnym detalu. Nawet przy produkcji teledysku, nawet gdy tytułowa whisky miga na ekranie przez jedną trzecią sekundy. Machulski oznacza: pomysł, błyskotliwość, humor, staranność na najwyższym poziomie, czyli przekraczanie granic aż do kreowania innych rzeczywistości.

Jeśli „Vabank” nas przekonał, to „Seksmisja” rzuciła na kolana. 12 mln widzów! I te teksty: „Kopernik była kobietą!”, „Nasi tu byli”, „Sfiksowaliście, boście chłopa dawno nie miały! Chłopa wam trzeba!”, „Kobieta mnie bije”, „Ciemność, widzę ciemność”, „Nie ma mężczyzn? A dlaczego tu nie ma okien? A dlaczego tu nie ma klamek?”, „No wiesz! Nasza cywilizacja zaważyła się w gruzy,

a tobie tylko dupy w głowie!” i niezapomniane zdanie klucz: „Kierunek – wschód. Tam musi być jakaś cywilizacja!”. Większość narodziła się już na planie, spontanicznie, pod wpływem chwili.

Film kultowy, powstał 40 lat temu, a do dziś rozpała emocje. Ledwie kilka lat temu przed sądem toczył się proces o prawa czy raczej ich brak do wykorzystania cytatu zaczerpniętego z filmu w reklamie. Chodziło o „Ciemność widzę...”. Tymczasem przed „Seksmisją” sama jasność, jak w podświetlanej podłodze w kabinie Maksy i Oly, czyli głównych bohaterów. Youtuberzy z Polski objaśniają amerykańskim nasze realia i konteksty zawarte w „Seksmisji” po tym, jak streszczenie filmu pojawiło się

na amerykańskim kanale Mystery Recaped, posiadającym 1,16 mln subskrybentów. To oznacza, że film żyje w coraz to nowych rejonach świata, w coraz to nowych pokoleniach i kolejnych środkach przekazu. Stale nadąża.

„Seksmisja” weszła do kin w roku orwellowskim. Scenariusz Machulski pisał wcześniej, na stypendium w Paryżu w 1981 r., gdy dopadło go zapalenie płuc i cała rodzina szła na plażę. Znowu sytuacja polityczna po wprowadzeniu stanu wojennego, jeszcze bardziej niż w przypadku „Vabanku”, sprawia, że widzowie, idąc do kina, łakną terapeutycznego pocieszenia. I satysfakcja gwarantowana! Komediowa wizja społeczeństwa samych kobiet w państwie

Bożena Strykówna w roli Lamii, napisanej specjalnie dla niej, i Jerzy Stuhr.

Katarzyna Figura: Zdjęcia do „Kingsajzu” z moim udziałem zaczęły się od sceny kultowej, gdzie leżą goła i chodzi po mnie Jacek Chmielnik.



Szuflandia wymagała stworzenia rekwizytów w skali 20:1 i powstała we współpracy ze studiem w Czechosłowacji.



totalitarnym trafia w dziesiątkę. Dwaj zahibernowani przed dziesiątkami lat mężczyźni budzą się w nowej rzeczywistości. Są zniewoleni przez kobiecy reżim, w którym panuje przemoc i wszechwładza na miarę Big Brothera. (...)

Wracamy do roku 2044, kiedy nasi panowie przebudzili się ze snu par excellence zimowego. Okazuje się, że geny męskie przepadły w czasie wojny, która się toczyła, gdy panowie słodko spali. W nowej cywilizacji mężczyźni traktowani są – ni mniej, ni więcej – jak mamuty, które powinny dawno wyginąć. Nie będą już do niczego potrzebni, odkąd partenogeneza sprawia, że w procesie rozmnażania zbędny jest plemnik.

Odhibernowani są cudownie kontrastowi. Odmienne reagują na opresję, całkiem inne uczucia wywołuje u nich nadmiar obecności płci przeciwnej. Jest przemoc, a więc lęk, ale i bunt. Bunt zaś prowokuje do pokonywania przeszkód i wyzwolenia, a na dodatek zde-maskowania całego reżimu, który opiera się na zaczadzeniu propagandową bujną, jak we wszystkich totalitaryzmach.

Trzeba dodać, że ucieczka do rzeczywistości, czyli, jak mówią youtuberzy i inni użytkownicy internetu, do realu – możliwa jest wyłącznie przy pomocy jednej z funkcjonariuszek Ligi Kobiet, która w kontakcie „z chłopem” poczuła zew natury. I tak oto miłość zwycięża wszystko. (...)

– Zaczęło się od tego, że Julek czytał różne książki naukowe i gdzieś tam natchnęło go to dzieworództwo. Partenogeneza. Wokół tego zaczynał budować cały świat kobiet. Prace trwały, a efekty były konsultowane z licznymi przyjaciółmi. Między innymi jeden nasz przyjaciel, socjolog, zapytał przytomnie: „Dobrze, a co będzie z popędem seksualnym?”. Stąd zostało dopisane: „Weź pigułkę”, w domyśle: pigułkę zatrzymującą popęd – wspomina Bożena Strykówna.

Film science fiction wymaga wielkich nakładów finansowych. Musiał mieć Juliusz Machulski dar przekonywania po ojcu, skoro dostał budżet jak ten z „Vabanku” razy pięć. W wytwórni została zbudowana ▶

► scenografia, ale sporo zdjęć powstało w kopalni soli w Wieliczce. Ujęcia na zewnątrz kręcono na plaży w Łebie. A w roli rezydencji Jej Ekscelencji wystąpiła willa przy Raduńskiej 19 w Rudzie Pabianickiej.

– Byłem wtedy w szkole filmowej i dziekan Machulski zabrał nas na plan „Seksmisji”, kiedy kręcili zdjęcia z zebrania Ligi, gdzie kobiety siedziały w piętrowych łóżkach – opowiada Cezary Pazura. – Niewiarygodne! Już przy „Vabanku” przeżyłem pierwszy szok, bo miałem wrażenie, że oglądam amerykański film z polskimi aktorami. Jak zobaczyliśmy plan „Seksmisji”, te dekoracje, stroje, obsadę... Było jasne, że powstaje kolejny hit. Tylko jeszcze nie wiedzieliśmy jak wielki.

O kostiumach bohaterek krążyły różne legendy, również i ta, że były podrasowanymi niemieckimi (wtedy zachodnioniemieckimi) roboczymi kombinezonami ochronnymi. Nieprawda. To mundury niemieckiego Afrika Korps z II wojny światowej.

– Może chodziło o stroje zewnętrzne. Bo faktycznie miałyśmy takie srebrne kombinezony, zresztą uszyte z tworzywa, którym ociepla się statki, i tam w środku był azbest – opowiada Bożena Strykówna. – Natomiast kostiumy, w których grałyśmy większość scen, wymyśliła Małgosia Braszka. Dostała tylko

jeden trop, że mają być odrobinę militarne. Stąd kolory khaki i biały, poduszki na ramionach, obszerne kieszenie. No i buty – mocne buciora na zelówkach, żebyśmy miały optycznie dłuższe nogi.

Odrębną kwestią w PRL była merytoryczna procedura akceptacji filmu. Podczas kolaudacji nad każdym dziełem pochylała się cenzura.

– Na premierze, która odbyła się w Warszawie, został wyświetlony cały film. Ale potem nastąpiły interwencje, żeby wyciąć „Kierunek – wschód. Tam musi być jakaś cywilizacja” – wspomina Strykówna.

„Seksmisja” rzuciła na kolana. 12 mln widzów! I te teksty: „Kopernik była kobietą!”, „Nasi tu byli”, „Kobieta mnie bije”, „Ciemność, widzę ciemność”.

– Pamiętam, że na premierze w innym mieście, Łodzi, Juliusz zapelował do widzów: „Ja bardzo państwa proszę, żebyście się nie śmiali, bo będę miał coraz krótszy film”.

„Seksmisja” zrobiła furorę w całym demouladach, czyli krajach naszego ówczesnego bloku. Podobno Olgierd Łukaszewicz, odtwórca roli Alberta Starskiego, został rozpoznany w Bułgarii na plaży nudystów. I to jest wymiar sukcesu misji zakończony z wielkim powodzeniem!

– Miałam podobną sytuację – mówi Strykówna. – Tylko nie z nudystami, ale z celnikami, i na granicy z Czechami. Zostałam rozpoznana i zdemaskowana okrzykiem: „Haroczka?!”.
Nawet w ZSRR podobała się „Seksmisja”, ponoć też samemu Gorbaczowowi. Nie wiadomo jednak, czy widział wersję reżyserską, czy okrojona przez ichnią cenzurę. W wyniku tej ingerencji wycięte zostało 40 minut i zmieniono tytuł na „Nowyje amazonki”. (...)

W przypadku „Kingsajzu” też pojawił się królewski rozmach. Postęp

technologiczny sprawił, że tym razem podczas realizacji Machulski miał podgląd nakręconego materiału już na planie. Był to jeszcze podgląd czarno-biały, ale natychmiast (a nie po wywołaniu taśm) można było ocenić, co i jak zostało utrwalone. Na świecie w tym czasie wchodziły nowe możliwości komputerowe. Zabawa kinem wkracza w zupełnie inne rejstry. W Hollywood pięć lat wcześniej zrealizowano „E.T.” z Oscarem m.in. za efekty specjalne, a 10 lat później „Jurassic Park”. My zaś zostaliśmy porwani do krainy krasnoludków. Każdemu według skali.

– „Kingsajz” powstał w 1988 r. – opowiada Katarzyna Figura. – Ale Julek znał mnie przecież jeszcze jako dziecko, kiedy wystąpiłam w roli Puka w „Śnie nocy letniej”. Bardzo odważne było obsadzenie mnie w tej roli, bo zwykle mężczyźni grają tę postać. A tu ja i pamiętam, że miałam takie warkoczyki, a w nich druciki, co tworzyło niesamowitą fryzurę, dzięki której przypominałam zwierzątko z lasu nocy letniej, a troszeczkę Pippi Langstrump. (...) Tak więc ja już znałam Julka, był starszy ode mnie, ale czasami do nas zaglądał. A później byłam zaprzyjaźniona z Bożeną Strykówną i Hanią Mikuć, odkąd otoczyły mnie opieką, kiedy zaczynałam występować na prawdziwej scenie Teatru

KSIAŻKI

Tomasz Jastrun
Oddani istnieniu
Wiersze wybrane
Czytelnik, Warszawa 2025



Wybór wierszy z 13 tomików poety znanego czytelnikom „Przeglądu” z cotygodniowych felietonów. Często pisze w nich ciepło o swoich bliskich, znajomych, a także spotkanych na swojej drodze nieznanym. Zastanawia się nad biegiem życia, a także losem człowieka na tle historii. Te same motywy odnajdujemy w jego poezji. „To chyba jedyny w polskiej współczesnej poezji autor, który tak konsekwentnie zbiera dowody na mijanie czasu. Dla Jastruna przemijanie jest żywiołem nie mniej niszczącym niż ogień czy woda. (...) Poeta mówi o ludzkim losie, starając się chronić czytelnika przed grozą; rzecz można – z wielką delikatnością używa słów mocnych, a obrazy zderza, pozostawiając nas w zdumieniu, że tak łatwo stało się tak wiele”, pisze o wierszach Tomasza Jastruna poetka Anna Janko.

(es)

Ochoty. Z Bożoną mieszkaliśmy nawet w jednym pokoju na wyjazdach z Ogniskiem (Machulskich – przyp. red.) albo w Zamościu. W naszej paczce był też Krzysiek Kiersznowski. Kiedy więc usłyszałam, że Juliusz Machulski ma dla mnie rolę w „Kingsajzie”, byłam przeszczęśliwa. Wiedziałam, że po filmie Julka będę z dnia na dzień znana. Moja popularność wprawdzie już dawała o sobie znać od premiery „Pociągu do Hollywood”. Miałam za sobą też wyjątkowe spektakle teatralne, jak „Trzy siostry” Czechowa w Teatrze Współczesnym u boku Mai Komorowskiej i Marty Lipińskiej, gdzie byłam Iriną. Grałam tam też Czesław Wolfejko i najwięksi wspaniali aktorzy tego teatru. Fakt, że od razu trafiłam w tak niesamowite miejsce do bardzo mocnego zespołu i grałam z największymi aktorami sceny polskiej, jest kontynuacją i wynikiem tego, że byłam w sztuce od dziecka, w sztuce, czyli w Ognisku. Potem w warszawskiej szkole teatralnej skupialiśmy się głównie na teatrze, wiedzieliśmy, jak należy przygotowywać się na scenę. Nie do filmu, jak uczono w Filmówce. Ale bardzo często jeździłam do studentów łódzkiej szkoły, do reżyserów i operatorów, robiłam z nimi etudy.

Szuflandria wymagała stworzenia rekwizytów w skali 20:1 i powstała we współpracy ze studiem w Czechosłowacji. Wiele kwestii technicznych rozwiązano sposobem. Pierwszą kwestią była figura Figury.

– Zdjęcia do „Kingsajzu” z moim udziałem zaczęły się od sceny kultowej, gdzie leżę goła i chodzi po mnie Jacek Chmielnik jako Olo – opowiada aktorka. – Ściąga ze mnie jedwabne prześcieradło, ja leżę, a on przechadza się po tym nagim ciele, po jego konturze. Musieliśmy od tego zacząć, żeby fachowcom dać czas na opracowanie tych zdjęć, bo nie było efektów specjalnych. Tak naprawdę w Polsce nic takiego do tej pory nie istniało, więc również pod tym względem był to film przetomowy. Zostałam nakręcona naga i to trwa, ponieważ troszeczkę się tam przekręcam, poprawiam, bo coś mnie łaskocze, po czym na podstawie tych kadrów została

zbudowana wielka konstrukcja, żeby nie powiedzieć figura ze styropianu, w Studiu Barrandov wtedy w Czechosłowacji. Pewnie była konstruowana przez dłuższy czas i dopiero wtedy zostały nakręcone zdjęcia, jak Jacek Chmielnik przechadza się po tej konstrukcji na wzór mojego biodra. A na koniec oba obrazy zostały precyzyjnie nałożone na siebie. I wyszło super. Cała scenografia, cała Szuflandria, została zbudowana w halach wytwórni na Łąkowej w Łodzi: półki, szufłada, durszlak, telefon, kubek... W ogóle pomysłowość i ta niezwykła wyobraźnia Julka pokazywała się od „Vabanków” i „Seksmisji”, ale tutaj osiągnęła niesamowity rozmiar! Wiedziałam, że to będzie wielki hit. A dla mnie – niesamowity prezent.

– Odkąd Jan Machulski pozyskał ambasadora do rautów w teatrze,

Podobno Olgierd Łukaszewicz, odtwórca roli Alberta w „Seksmisji”, został rozpoznany w Bułgarii na plaży nudystów. I to jest wymiar sukcesu!

wiem, że dla sprawy nie cofną się przed niczym – żartuje Cezary Pazura. – Juliusz też ma wielki dar zjednywania sobie ludzi do swoich pomysłów. No, żeby huta szkła w tamtych czasach chciała zrobić dwumetrową szklankę!

– Julek ma też talent do nieoczywistego obsadzania ludzi – mówi Katarzyna Figura. – Tak jak ojca obsadził w „Vabanku”. Jan Machulski nagle przestał być amantem i okazało się, że potrafi być powściągliwym, tajemniczym gościem. Oscarowa rola. Wspomnijmy też o Czarku Pazurze, przecież niesamowita jest jego kreacja w „Kilerze”. Bo ma też Juliusz dar prowadzenia aktorów, umie, jak jego rodzice, otwierać ludzi. No i to jest po prostu cudowna praca, bo jej clou stanowi wzajemna ciekawość, wszystko odbywa się z nadzwyczajnym poczuciem humoru, z lekkością, wręcz powiedziałabym z zabawą, ale przede wszystkim intelektualną. Porównałabym klimat tej pracy z atmosferą na przykład u Roberta Altmana. Zresztą oni obaj z Julkiem są podobni, zbliżone osobowości,

porównywalne style pracy, obaj sprawiali, że na planie jest pogodnie i bezpiecznie, a dzięki temu można pójść dalej, właśnie przekroczyć pewne granice. Tymczasem wielu reżyserów, również teatralnych, jako narzędzie stosuje podminowanie, pracuje na konflikcie. Albo starają się skłócić aktorów, albo sami wchodzą w antagonizm z aktorami czy członkami ekipy. Wtedy też bardzo często powstaje coś niezwykłego, ciekawego, ale jakim kosztem? Praca z Julkiem zawsze oznaczała przyjemność, co pobudza inspirację, kreację, i nie na zasadzie, że później będziesz odchorowywać jak w innych przypadkach, gdzie wprawdzie cenisz sobie, co powstało, ale zostało to okupione jakimś cierpieniem, co – nie wykluczam – może się później odkładać i ciążyć jakoś na naszym zdrowiu i formie. Praca w klimacie

przyjemności i ta radość tworzenia tylko może nas rozwijać dalej i budować w zdrowiu emocjonalnym.

„Kingsajz” był kolejną po „Seksmisji” satyrą Juliusza Machulskiego na system totalitarny. Tylko trzeba to było zrozumieć. Po zarzutach, jakie padły w niektórych kręgach amerykańskich, a potem i polskich, że film ten jest antyfeministyczny, lepiej nie pytać, czy o kraj zwany Szuflandią pytało stowarzyszenie osób z niskorostością.

Rekwizyty wykonane w skali 20:1 stanęły na tej samej ulicy Łąkowej, gdzie lata wcześniej stanął w drzwiach wielki Kirk Douglas. Gdyby przyjechał na plan Kingsajzu, poczułby się trochę malutki.



Fragmenty książki
Anny Bimer
Świat Machulskich.
Biografia rodzinna,
Rebis, Poznań 2024



1955 – dwa tygodnie radości

V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów



Słoneczne lato 1955 r., do słynnego referatu Nikity Chruszczowa zostało jeszcze ponad pół roku, ale już czuć delikatny powiew nadchodzącej odwilży. Na żelaznej kurtynie pojawiają się drobne pęknięcia. W Warszawie 31 lipca zaczął się, trwający do 14 sierpnia, V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów. Do stolicy zjechało 170 tys. młodzieżowych delegatów z Polski i całego świata. Na festiwal pod hasłem „O Pokój i Przyjaźń” składały się koncerty, wystawy, odczyty i spotkania. Sztynne ramy organizacyjne imprezy szybko zostały rozsadzone i stała się ona wielokulturowym karnawałem pokolenia wkraczającego w dorosłość, z podnoszącym się z ruin

miastem w tle. Czytelników pragnących poznać szerszy kontekst festiwalu zapraszamy na wystawę „Lato, które zmieniło wszystko. Festiwal 1955” do Muzeum Warszawy. Zaprezentowano tam materiały archiwalne i pamiątki: plakaty, pocztówki, chusty, przypinki, programy, fotografie, socrealistyczne rzeźby i malarstwo. Można też posłuchać wspomnień uczestniczek i uczestników.

Muzeum Warszawy
Rynek Starego Miasta 42
do 21 grudnia





1, 5. Festiwalowy pochód na Krakowskim Przedmieściu.
2. Afrykańskie rytmy na placu Zamkowym. Dla większości warszawiaków było to pierwsze spotkanie z osobami innych ras, kultur, języków.
3. Razem na jednej tańce: sikh, Norweżka i Hindus.

4. Plakat festiwalowy projektu Wojciecha Fangora i Jerzego Tchorzewskiego.
6, 7. Kolorowo ubrani, egzotyczni uczestnicy festiwalu budzili olbrzymie zainteresowanie na warszawskich ulicach.

FOT. NAC (6), MUZEUM WARSZAWY (2)



WYDARZENIE

31. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce
Christian McBride – Remembering Ray Brown with Benny Green & Greg Hutchinson

„Przez ponad trzy dekady zaszczytem było dla mnie być częścią wszechświata jazzu. Mój świat w tym wszechświecie najlepiej rozumiem poprzez zespoły, które miałem przywilej tworzyć, prowadzić i z którymi występowałem”, podkreśla Christian McBride. Amerykański wirtuoz kontrabas, kompozytor, aranżer, producent i dziewięciokrotny zdobywca Grammy wraca po 10 latach na warszawską Starówkę, by oddać hołd swojemu mentorowi, legendzie kontrabas Rayowi Brownowi. McBride, jeden z jego najstynniejszych uczniów, zagra z dwoma współpracownikami Browna, pianistą Bennym Greenem i perkusistą Gregorym Hutchinsonem, którzy przez wiele lat byli członkami Ray Brown Trio. Będzie to nie tylko wspomnienie genialnego artysty, ale przede wszystkim ponadczasowy Wielki Jazz. (ap)

Więcej na: www.jazznastarowce.pl, www.facebook.com/festiwaljazznastarowce

Warszawa, Rynek Starego Miasta, 19 lipca, godz. 19

SERIAL

Harry to posprząta

„Strefa gangsterów” to historia rodziny, która rządzi Londynem. Na pierwszy rzut oka Harriganowie są utożsamiani i poważani przez wszystkich, ale tak naprawdę Conrad (Pierce Brosnan) i Maeve (Helen Mirren) to niebezpieczne małżeństwo, stojące na czele rodu pozbawionego kręgosłupa moralnego. Akcje i decyzje rodziny nie mają jednak większego sensu – od kłopotów nieustannie ratuje ich Harry da Souza (Tom Hardy). Kiedy jeden z członków rodziny doprowadzi do eskalacji konfliktu z drugą zważnioną rodziną, Harry będzie musiał posprzątać bałagan. Najnowszy serial Ronana Bennetta i Guya Ritchiego, który wyreżyserował pierwsze odcinki, to wszystko, czego oczekujemy od gangsterskiej produkcji: przemoc, manipulacje, walka o władzę (a także przetrwanie). Przez 10 odcinków nie możemy oderwać wzroku, bo ciągle chcemy więcej. Na całe szczęście właśnie zapowiedziano drugi sezon produkcji.

Jan Tracz

Strefa gangsterów, reż. Guy Ritchie, SkyShowtime



NA POWAŻNIE



Wolfgang Amadeus Mozart, „Idomeneo”, dyrygent Dawid Runtz, reżyseria Marek Weiss, Polska Opera Królewska, premiera 31 maja 2025 w Teatrze Królewskim w Łazienkach

Król Staś śpiewa z łoża

Jeśli ktoś pragnie zobaczyć, jak wyglądał w galowym mundurze Stanisław August Poniatowski, powinien podczas spektaklu spojrzeć do tyłu, do tzw. łoża królewskiej. Na scenie pojawia się w pełnej krasie caryca Katarzyna II, niegdyś kochanka Poniatowskiego. Trochę więc dziwne, że król zgadza się na zabicie carycy, choć ona nie śpiewa. Akcja jednak dotyczy dramatu mieszkańców Troi, a muzyka Mozarta jest boska.

Bronisław Tumilowicz

MIĘDZY OKŁADKAMI

Tobias Wolff
Oto początek naszej historii
 tłum. Krzysztof Umiński
 Czarne, Wołowiec 2025

Wolff to mistrz krótkiej formy, który precyzyjnie odstania dramaty codzienności. Osadzone gdzieś między erą Kennedy’ego a czasami młodszego Busha historie jego bohaterów – zwykle mężczyzn z prowincji, rozbitków życiowych, żołnierzy, nauczycieli – są zapisem porażek, które nie przestają być ludzkie. Zwyczajne sytuacje – zepsute auto, uraza do brata, ośmieszenie w szkole – niespodziewanie zyskują wagę i prowadzą do emocjonalnych eksplozji. Wolff nie moralizuje, nie unika ironii, ale jego język daje ukojenie. Jak pisze Joe Woodward, „na przestrzeni akapitu wysadza losy bohaterów w powietrze”, a my jesteśmy tego świadkami, poruszeni i wdzięczni. To proza, która nie tyle opowiada historie, ile je przeżywa – razem z nami. Jak stwierdził George Saunders, „ależ mamy szczęście, że istnieje ktoś taki”.

Rafał Piłkuła



Kolumnę przygotowała Agata Gogońkiewicz

Rafał Kowalczyk

Nory to nieodłączny element życia borsuków. Zwierzęta te są z nimi jednoznacznie kojarzone. Wiele gatunków wykorzystuje nory jako miejsce rozrodu, a czasem jako schronienie, ale dla borsuków mają one szczególne znaczenie – te drapieżniki spędzają w nich większość życia. W czasie surowych zim mogą nie wychodzić z nory nawet przez cztery miesiące, a w pozostałym okresie większość, bo dwie trzecie doby, również spędzają pod ziemią. Oznacza to, że borsuki kryją się w swoich podziemnych schronieniach przez trzy czwarte życia. Są więc raczej podziemnymi niż naziemnymi stworzeniami.

Nora to miejsce, wokół którego kręci się prawie całe życie tych skrytych zwierząt. Stanowi schronienie w ciągu dnia i w czasie snu zimowego. Tam na świat przychodzą borsuczęta. Wreszcie to w norach często kończy się życie borsuków. Nory to schronienia, ale okazuje się, że mogą też odgrywać rolę znaczników terytorium i sygnalizować potencjalnym intruzom, że ta nora i obszar wokół są już zajęte. To dlatego w swoich badaniach tak dużo uwagi poświęciłem związkom borsuków z norami.

Na terytoriach rodzinnych borsuki mogą mieć od kilku do 20 nor i kryjówek, ale zazwyczaj tylko jedna, zwana norą główną, służy jako miejsce rozrodu, snu zimowego oraz główna dzienna kryjówka. Inne nory są najczęściej znacznie mniej rozbudowane. Zdarza się, że mają jedno wejście, korytarz i komorę i są użytkowane sezonowo albo wręcz sporadycznie. Zdarza się również, że borsuki adaptują na swoje potrzeby nory lisie – powiększają je i rozbudowują. Nory główne to natomiast rozległe konstrukcje z wieloma, nawet kilkunastoma wejściami, licznymi komorami gniazdowymi i dziesiątkami, jeśli nie setkami metrów podziemnych korytarzy.

Borsuki w Puszczy Białowieskiej spędzają w norach średnio trzy czwarte dni w roku, choć samce i samice mają trochę inną strategię użytkowania nory głównej i innych



Król podziemia

Borsuki kryją się w swoich podziemnych schronieniach przez trzy czwarte życia

kryjówek w obrębie terytoriów. Te pierwsze spędzają w norze głównej mniej czasu niż samice. Inne nory są odwiedzane przez samce od marca do października, samice odpoczywają natomiast w innych norach od czerwca do listopada, co jest związane z opieką nad potomstwem, które zaczyna podążać za matką dopiero pod koniec czerwca. Wcześniej każdego ranka samica powraca do młodych, by spędzić z nimi dzień. Osobniki z tej samej rodziny odpoczywają razem w jednej norze 44% dni od marca do listopada.

Dzięki obrożom założonym białowieskim borsukom mogliśmy je namierzać w podziemnych korytarzach. Zwierzęta te użytkowały nawet 40 podziemnych komór rozmieszczonych na powierzchni do 300 m kw. Pokazuje to, jak skomplikowaną podziemną konstrukcją jest borsuczka nora. I od razu nasuwa się pytanie:

po co borsukom tak rozbudowane schronienia? Częściowe wyjaśnienie może przynieść sezonowa zmienność jej użytkowania.

W Puszczy Białowieskiej największą powierzchnię nory borsuki wykorzystywały latem. Zimą zajmowały natomiast niewielką jej część – korzystały z dwóch do trzech komór. Przygotowanie nory na zimę to nie lada wysiłek. Jesienią borsuki ściągają do podziemnych komór suche liście, trawę i mech, by przygotować swoją siedzibę na nadchodzący chłód i okres snu zimowego, kiedy przez długie tygodnie właściwie się nie poruszają. Okazuje się, że borsuki na zimę przygotowują tylko niewielką część nory, bo i tak przez znaczną część tego czasu pozostaną w odrętwieniu. Inaczej sprawa wygląda latem, gdy borsuki są znacznie aktywniejsze i codziennie opuszczają norę. Wtedy często zmieniają ▶

▶ podziemne komory. Może to wynikać z faktu, że nory są zamieszkałe przez pasożytujące na ich skórze pchły, wszoły i kleszcze, których nagromadzenie może być uciążliwe. Potwierdza to angielski eksperyment, w którym część borsuków zasiedlających norę traktowano pasożytoobójczym sprayem. Następnie obserwowano, jak często zmieniają one podziemne komory w porównaniu z osobnikami, które nie zostały spryskane tym środkiem. Okazało się, że osobniki, które nie doświadczyły przeciwpasożytniczej kąpieli, zmieniały podziemne komory znacznie częściej, zapewne ze względu na dokuczliwość krwiopijnych prześladowców.

Rozległa nora może także pozwalać na ograniczenie kontaktów z intruzami – lisami i jenotami. O ile te pierwsze kopią własne nory, w których się rozmnażają, i rzadziej wykorzystują borsucze schronienia do wychowywania młodych, o tyle jenoty, które bardzo rzadko kopią nory, korzystają z borsucznych labiryntów w czasie zimowego odrętwienia oraz w trakcie rozrodu. Dla tych przybyszów ze wschodu głębokie i rozległe nory borsucze mogą być doskonałym schronieniem przed chłodem oraz przed innymi drapieżnikami.

Zimą w Puszczy Białowieskiej niemal 90% głównych nor borsucznych jest zasiedlonych również przez jenoty. Można nawet pokusić się o stwierdzenie, że nory borsucze odegrały istotną rolę w czasie jenociej inwazji, bo chroniły te zwierzęta przed mrozem i wilkami, które

nor borsucznych mogą wchodzić też szopy pracze, co zaobserwowano w Niemczech, a ostatnio również w zachodniej Polsce, bo szopy stopniowo kolonizują obszar naszego kraju od zachodu.

Oczywiście nie jest tak, że borsuki bezkrytycznie tolerują intruzów w swoich norach. Wielokrotnie zdarzało mi się znajdować zabite młode

Nory to schronienia, ale okazuje się, że mogą też odgrywać rolę znaczników terytorium i sygnalizować intruzom, że ta nora i obszar wokół są już zajęte.

lisy i jenoty w pobliżu wejść do nor albo wdeptane w piasek w oknie nory (tak czasem nazywa się wejście do podziemnego królestwa borsuków). Ale nie tylko drapieżniki średniej wielkości korzystają z borsucznych nor. W Puszczy Białowieskiej spośród dziewięciu odnalezionych przez nas rozrodczych nor wilczych aż sześć stanowiły nory borsucze. Wilki po prostu przywłaszczają sobie taką norę, poszerzają wybrane otwory wejściowe i wychowują tam swoje młode.

Nory borsucze nie są zlokalizowane w przypadkowych miejscach. Najczęściej znajdują się na szczytach lub zboczach wzniesień, stokach wąwozów, wyrobiskach, rzadko na płaskim terenie. W takich wyżej położonych miejscach borsukom nie grozi podsiąkanie wód gruntowych. Najczęściej nory są kopane w piaszczystych glebach pod warstwą gliny,

od miejscowych leśników wskazywały, że niektóre nory są znane nawet od kilkudziesięciu lat. W różnych materiałach źródłowych znajdowaliśmy zapiski na temat tych schronień. O jednej ze stałe zamieszkiwanych nor borsucznych w uroczysku Zamczysko, gdzie według miejscowych legend miał się niegdyś mieścić zamek książąt litewskich lub

polskich królów, a gdzie faktycznie odnaleziono wczesnośredniowieczne cmentarzysko, po raz pierwszy wspomniano w 1830 r. w „Powszechnym Dzienniku Krajowym”. Napisano tam, że borsuki, kopiąc jamy, miały wygrzebywać „resztki naczyń tłuczonych”. Po białoruskiej stronie Puszczy Białowieskiej zachowały się zapiski z lat 40. i 50. XX w., które wskazywały, że niektóre obserwowane przez nas nory „są znane od czasów carskich”, co wskazywałoby na ich co najmniej stuletnią historię.

Wiele z tych nor było ciągle zajmowanych przez borsuki, mimo że często nosiły one ślady ingerencji ludzi. Takie schronienia często rozkopywano, zwłaszcza w białoruskiej części puszczy, żeby schwytać zwierzęta, bo sadło borsucze było – i nadal lokalnie jest – traktowane jako medykament na choroby dróg oddechowych.

Tak więc niektóre z borsucznych nor mogą być zasiedlane od setek lat i dziedziczone przez kolejne pokolenia tych drapieżników. Zresztą dosyć często w miejscach, gdzie znajdują się nory, widać pagórkowate, porośnięte roślinnością struktury będące pozostałościami starych nor. Dowodzi to, że borsucze schronienia nie są statycznymi konstrukcjami, ale tworzą rozległe podziemne królestwa – ciągle rozbudowywane, ulepszone, przesuwane, czasem częściowo porzucane, z zapadłymi korytarzami i komorami.

Borsuki kopią też nowe wejścia do nor, a czasem okna nor tworzą się

Borsuki użytkowały nawet 40 podziemnych komór rozmieszczonych na powierzchni do 300 m kw.

w wielu częściach Europy są najważniejszą przyczyną ich śmiertelności. Nie chodzi tu o zabijanie jenotów dla pokarmu, bo rzadko są one przez wilki zjadane, ale o eliminowanie konkurencji, podobnie jak w przypadku relacji wilk-pies. Wiosną, w okresie rozrodu, co piąta nora borsucza była wykorzystywana do wychowywania młodych przez lisy lub jenoty. Do

która tworzy rodzaj powały zabezpieczającej zwierzęta przed wodą deszczową czy tą z wiosennych roztopów. Miejsca zapewniające takie warunki nie są łatwo dostępne. Borsuki starannie je wybierają i zasiedlają przez wiele pokoleń.

W czasie inwentaryzacji nor, którą prowadziliśmy w Puszczy Białowieskiej trzy dekady temu, informacje

w miejscach, gdzie strop korytarza się zawalił, na przykład gdy przeszedł po nim żubr. Gdy borsuki czyszczą swoje nory, zdarza się, że wyrzucają z nich kości innych borsuków, być może swoich przodków. (...)

Co ciekawe, nie zawsze nory są jedynymi schronieniami borsuków. Puszcza Białowieska jest pełna dziuplastych drzew. Nie oznacza to, że borsuki odpoczywają w dziuplach. Wiele starych lip i dębów ma u swojej podstawy wypróchniałe wejście do wnętrza obszernego pnia, gdzie może się zmieścić nie jeden borsuk, ale cała rodzina tych zwierząt. Suche próchno zaś to wygodne poślanie, pozwalające wysuszyć futro po przemierzeniu wielu kilometrów pośród wilgotnej roślinności, często w deszczu. Po nocnym śledzeniu borsuka z obrozą zdarzało mi się znajdować go odpoczywającego w wypróchniałym pniu z nosem skierowanym w stronę wyjścia, zapewne po to, aby zareagować w wypadku pojawienia się intruza.

Niektóre z borsucznych nor mogą być zasiedlane od setek lat i dziedziczone przez kolejne pokolenia tych drapieżników.

Jedna z takich sytuacji wprawiła mnie w niemałe zdumienie. Po stwierdzeniu, że w czasie namiarów telemetrycznych borsuk nie zmienia pozycji od godziny, i dotarciu na miejsce jego przebywania, okazało się, że sygnał z nadajnika na szyi borsuka dochodzi z kilku metrów nad ziemią. Czyżby borsuk wspiął się na drzewo? Po obejściu miejsca dookoła i oględzinach roślinności udało mi się rozwiązać zagadkę borsuczego „uniesienia”. Okazało się, że śledzony przeze mnie samiec wszedł przez wypróchniały otwór u podstawy pnia potężnej pochylonej lipy do środka jej pnia i wspiął się na wysokość kilku metrów. (...)

To jednak nie stojące, a leżące pnie były dość częstym schronieniem borsuków. Wśród dziuplastych drzew wykorzystywanych przez te zwierzęta ponad 80% stanowiły lipy, choć zdarzały się przypadki zasiedlenia dębów, jesionów i klonów. Takich

drzew jest szczególnie dużo w Rezerwacie Ścisłym Białowieskiego Parku Narodowego. Lipy, dzięki dość miękkiemu drewnu, szybko próchnieją, a pień wywróconego drzewa wygląda jak kilkunastometrowa rozgałęziająca się rura z potężnymi konarami. Takie drzewo przypomina norę i właśnie w takich pniach poszczególne borsuki spędzały średnio 20 dni w roku, ale tylko w czasie sezonu wegetacyjnego. Co ciekawe, w tego rodzaju pniach swoje młode często rodzą jenoty – w czasie prowadzonych przeze mnie badań miałem okazję śledzić też osobniki tego gatunku, którym wcześniej założono obroże.

Warto zauważyć, że las naturalny, jakim w wielu częściach jest Puszcza Białowieska, pozwala zaobserwować pierwotne zachowania zwierząt i wykorzystywanie przez nie naturalnych kryjówek. W puszczy, gdzie prawie połowę terenu pokrywają siedliska wilgotne i bagienne, niełatwo znaleźć miejsce na norę. Wypróchniałe

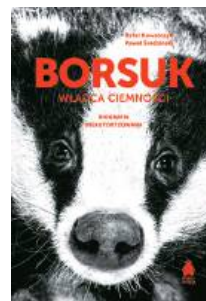
pnie powalonych drzew lub dziuple u ich podstawy mogą stanowić doskonałą dzienną kryjówkę, jeśli do podziemnej nory jest czasem kilka kilometrów, a po drodze czyha wiele niebezpieczeństw.

Przy swoich norach borsuki są dość ostrożne. Wieczorem wychodzą powoli: najpierw wychylają głowę i obwąchują najbliższe otoczenie. Młode najczęściej wychodzą po dorosłych, choć zdarza się, że niecierpliwie potomstwo urządza zabawy przy norze nawet w ciągu dnia. Borsuki spędzają stosunkowo krótki czas przy norze – poza okresami, gdy czyszczą swoje schronienie albo ściągają do niego świeżą wyściółkę. Po wyjściu borsuka z nory można zaobserwować lustrowanie jej okolicy. Potem młode osobniki się bawią, dorosłe zaś wykonują toaletę, aby pozbyć się pasożytów. Następnie dorosłe borsuki dość szybko oddalają się ścieżkami odchodzącymi od nory, by

zdobyć pokarm. Pozbawione opieki młode zazwyczaj szybko kryją się w bezpiecznej norze.

Poranne powroty są błyskawiczne, jakby borsuki czegoś się bały. O brzasku zazwyczaj pędzą do najbliższej nory i szybko do niej wbiegają, a raczej wjeżdżają po pochyłej rynnie wyżłobionej w kopcu przez codzienne wchodzenie i wychodzenie. Słyszałem nawet, że to zachowanie było wykorzystywane do chwytania borsuków po białoruskiej stronie Puszczy Białowieskiej. Do otworu nory wkładano worek przywiązany sznurem do najbliższego drzewa. Śpieszące się borsuki wpadały do worka i zaciągały sznur, a schowani w pobliżu łowcy wyciągali je z nory zapakowane do worka.

Niestety borsuki nigdy nie miały łatwego życia z ludźmi. Choć wydawać by się mogło, że zwierzęta te nie są źródłem mięsa – jakkolwiek w przeszłości zachwalano pieczeń z borsucznych szynek – czy ciepłego futra, to od wieków były prześladowane. A to dla sadła, w którego zdrowotne i rozgrzewające własności wierzono, a to dla skóry stanowiącej ozdobę ze względu na jej unikatową srebrzystą kolorystykę. W 1958 r. w białoruskiej części Puszczy Białowieskiej rozpoczęto intensywne zwalczanie drapieżników średniej wielkości. Głównym celem były lisy, jenoty i tchórze, uznane za szkodniki, ale ucierpiały również borsuki, ponieważ jedną z metod zwalczania drapieżników było rozkopywanie nor łęgowych. W samym 1961 r. zniszczono 40 nor, w wyniku czego liczba rodzin borsucznych spadła tam z około 30 do zaledwie ośmiu. Nory borsucze, które stanowią dla zwierząt cenne schronienie i podstawę funkcjonowania, czasami stawały się więc ich przekleństwem.



Fragmety książki Rafała Kowalczyka i Pawła Średzińskiego *Borsuk. Władca ciemności. Biografia Nieautoryzowana*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Suwałki 2025

Wróżby to raczej...

No to minister Sikorski się nie wstrześlił. Co roku latem jest organizowana narada ambasadorów, zjeżdżają się na nią z całego świata. Taka narada zawsze ma oficjalny motyw przewodni, no i są zapraszani różni goście. Rok temu odbyła się we wrześniu, a zainaugurował ją panel z udziałem Radostawa Sikorskiego oraz prezydenta Finlandii Alexandra Stubba. W tym roku uświetnili ją prezydent Mołdawii Maia Sandu oraz szef Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej Rafael Grossi.

Ale i tak nic nie przebiję roku 2010, kiedy na zaproszenie MSZ przyjechał do Warszawy szef rosyjskiej dyplomacji Siergiej Ławrow. To było szeroko komentowane spotkanie, Ławrow i Sikorski występowali przed audytorium w Krajowej Szkole Administracji Publicznej w panelu poświęconym „Nowej erze stosunków Polska-Rosja”. Nazwa piękna, chociaż mało trafna, ciekawe, kto ją wymyślił. Potem rozmawiali w cztery oczy, odbyły się także rozmowy plenarne delegacji. Co z tego zostało? Tyle co ze spotkań Obamy z Putinem. W tym czasie jeszcze miłych... I pewnie jakieś wspomnienie, bo takich dinozaurów dyplomacji jak Ławrow i Sikorski w dzisiejszych czasach ze świecą szukać.

Ławrow, nawiasem mówiąc, wypominany jest Sikorskiemu do dzisiaj, że ambasadorowie musieli go wysłuchać. Lepiej, żeby na niego nie patrzyli? O, to piękna dyplomacja by była...

Jakiś ślad takiego podejścia mogliśmy dojrzeć teraz w Warszawie. Otóż przyjechało do kraju ponad 160 szefów placówek: 103 ambasad, 35 konsulatów generalnych, 25 Instytutów Polskich, oraz Polacy pracujący w Europejskiej Służbie Działań Zewnętrznych. Wszyscy

byli gośćmi marszałków Sejmu i Senatu, spotkali się też z prezydentem Dudą i premierem Tuskiem. I uwaga – spotkanie z korpusem zaproponowano też prezydentowi elektowi. A on odmówił, „nie skorzystał z okazji”.

To gest bardzo wiele mówiący. Zapowiadający wojnę na linii MSZ-Kancelaria Prezydenta. Czy na pewno tak będzie? Nawrocki już podczas kampanii zapowiadał, że nie podpisze ambasadorskich nominacji Bogdanowi Klichowi (Waszyngton) i Ryszardowi Schnepfowi (Rzym). Ale też będzie podchodził do innych kierowników placówek w sposób elastyczny, zindywidualizowany. To lepsza zapowiedź niż stałe „niet” Andrzeja Dudy. Ale czy dużo lepsza? Skoro Marcin Przydacz, który ma być szefem Biura Polityki Międzynarodowej u Nawrockiego, to były pisowski wiceszef MSZ i główny krytyk polityki kadrowej Sikorskiego, to jakie można mieć nadzieje?

A teraz dwa zdania o sygnalizowanym na początku braku wstrzeżenia się. Otóż jednym z haseł zjazdu ambasadorów (sorry, kierowników placówek) było „funkcjonowanie służby zagranicznej”. Bo szefowie placówek, jak dowodził minister, chcą się dowiedzieć, jak będzie funkcjonowało MSZ, nie chcą słuchać nowych exposé. Biegają więc po gmachu, zbierają ploteczki, odnawiają znajomości. To „funkcjonowanie MSZ” bardzo ich obchodzi.

Tylko jeśli minister chce im mówić o tym teraz, akurat przed rekonstrukcją rządu i przed inauguracją nowej prezydentury, gdy nowe dopiero się wykuwa, jest to zupełnie bez sensu.

Attaché



Aktorka filmowa i teatralna Ewa Krasnodębska 9 lipca obchodziła 100. urodziny. Na ekranie zadebiutowała w 1949 r. w filmie „Za wami pójdą inni”. Nz. w „Piątce z ulicy Barskiej” (1953).



PENETRACJE

ZDANIE PAWEŁ SĘKOWSKI,
REDAKTOR NACZELNY

Lewica musi się zastanowić, co dalej robić, w jakim kierunku iść. Wydaje się, że trend jest następujący: Nowa Lewica ewoluuje w kierunku nowego członu Koalicji Obywatelskiej (triumfowałby senator Marek Borowski, który dawno już wyrażał opinię, że PO jest dziś partią centrolewicową), a partia Razem staje się główną siłą autonomicznej lewicy, co by jednak pociągało za sobą zmianę umiejscowienia lewicy na polskiej scenie politycznej. Nie dla wszystkich wyborczyń i wyborców lewicy strasne są wszystkie postulaty i działania partii Adriana Zandberga i Aleksandry Owcy. W takim scenariuszu niewątpliwym partykularny sukces partii Razem (o ile przekroczyłaby pięcioprocentowy próg wyborczy w wyborach parlamentarnych) niekoniecznie byłby tożsamy z sukcesem polskiej lewicy jako formacji reprezentującej elektorat lewicowy w Polsce.

TPR Tygodnik Poradnik
ROLNICZY PAWEŁ KUROCZYCKI,
REDAKTOR NACZELNY

Rodzi się pytanie: czy utrzymać zakaz importu ukraińskiej żywności do Polski? Uważam, że tak. Firma UPI-Agro prowadzi fermę dla 8 tys. sztuk bydła, w tym 3,1 tys. krów z wydajnością 12 tys. litrów. UPI-Agro ma w swojej strukturze także cukrownię i w tym gospodarstwie przerabia wyśłodki na mleko. To jest charakterystyczne dla wszystkich agroholdingów na Wschodzie, także w Rosji. Obecnie na Ukrainie trwa budowa 125 ferm bydła. Jeśli będą takie jak wspomniana wyżej UPI-Agro, to wyprodukują ok. 4 mld litrów mleka. A zatem wystarczy postawić jeszcze ze 250 ferm i będą produkować więcej mleka niż Polska, a mają 30 mln mieszkańców. My nie możemy skonsumować naszych 12 mld litrów, a co dopiero oni. Nietrudno sobie wyobrazić ser podolski zamiast podlaskiego. Klient w Biedronce różnicy nie zauważy.

WO MARIANNA STUHR,
MALARKA ABSTRAKCYJNA

Mieszkam w Kronbergu, malutkim średniowiecznym miasteczku. To, że wyjechałam z Polski, bardzo mi pomogło. Znalazłam się na neutralnym gruncie, gdzie potencjalni odbiorcy mojej sztuki nie wiedzą, co znaczy moje nazwisko. Nikt nie pyta, gdy się przedstawiam: „Czy z tych Stuhrów?”. Anonimowość mi służy. Moja kariera zdecydowanie przyspieszyła. A dlaczego Niemcy? Bardzo prozaiczny powód, praca mojego męża. Ian jest Amerykaninem polskiego pochodzenia, tak jak jego rodzice. Urodził się w Niemczech, gdzie stacjonował jego tata, który pracował wtedy dla amerykańskiej armii. Mąż jest obieżyświatem, mieszkał w wielu krajach, do Polski miał przyjechać na pół roku, ale poznał mnie i spędziliśmy w Warszawie 13 lat. Tu urodziły się nasze dzieci. Są trójjęzyczne. Leoś chodzi do niemieckiej podstawówki, Helenka do gimnazjum i u niej w klasie na 25 dzieci jest 18 narodowości. To jest rozwijające, ale są też minusy. Jest duża rotacja; zaprzyjaźniasz się z kimś, a za kilka miesięcy ten ktoś wyjeżdża. Jak dzieci się urodziły, tata mówił po angielsku, ja po polsku. I świetnie to działa. Dzieci między sobą najczęściej rozmawiają po angielsku, ale po polsku mówią i czytają bardzo dobrze. Po wakacjach w Polsce widzę, jak wzbogaca im się słownictwo i odwaga mówienia.

BRAKUJĄCE LITERY

W każdym rzędzie wstaw po 6 liter, tak aby odczytać trzy hasła – rozwiązania.

ODAGTOB AKY OBAZI

JACĘWIZATKTECIPACĄ

ZEWYORYKAZAPLTAH

ROZWIĄZANIA:
ODWAGA TO BRAK WYOBRAŹNI, JAK CIĘ WIDZIA TAK TEŻ CI PŁACĄ, ZŁE WYBORY KARZĄ PO LATAC



TYGODNIK
ANGORA
PRZEGLĄD PRASY KRAJOWEJ I ŚWIATOWEJ
ODPOCZNIJ OD CYFROWEGO ŚWIATA



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeklad@tygodnikprzeklad.pl
listy@tygodnikprzeklad.pl

tygodnikprzeklad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeklad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:

Agata Gogolkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeklad.pl
Marzena Michalek m.michalek@tygodnikprzeklad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morzoi i.morzoi@tygodnikprzeklad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek,
Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski,
Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Patkiewicz, Rafał Piłula,

Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumilowicz,
Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak,
Andrzej Werbilan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamierowska-Soczawa
Stali felietoniści: Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun,
Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski,
Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka, Anna Rosiak,
Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoredaktorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyszyn
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeklad.pl
Koordynator do spraw promocji i reklamy:

Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzeklad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeklad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeklad.pl

Sprzedż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeklad.pl

Aby język giętki...

PROF. ANDRZEJ RYCHARD

O ŚRODOWISKU NAUKOWYM

Za mało mamy intelektualnego nieposłuszeństwa, a za dużo konformizmu.

STEFAN CHWIN O OBRONIE MNIEJSZOŚCI

Lewicowa empatia dla mniejszości jest szlachetnym pomysłem na klęskę wyborczą i polityczne samobójstwo, bo większość jest zwykle przeciw mniejszościom.

ANDRZEJ SKWORZ

O DZIENNIKARZACH MAINSTREAMOWYCH

Włączyli się do kampanii, jakby to była ich własna misja: ratować Polskę przed populizmem.

KRYSTYNA JANDA O WYBORACH

Wybór wydawał się prosty, dobro, wiedza, doświadczenie i ewidentne zło i kłamstwa. Białe i czarne. A jednak...

AGNIESZKA SMOCZYŃSKA O PRAWDZIE

Prawda się dewaluuje. Spuszczamy na wszystko zasłonę. Tym bardziej dzisiaj. Po wyborach w Stanach, a teraz w Polsce.

MAREK KONDRAT O CÓRCIE HELENCE

Siedem lat to wiek kaskady pytań: jak się pochopnie odpowie na jedno, pojawia się 15 kolejnych.

JAN PESZEK O OLDZE CHAJDAS

Kocham ludzi, którzy mówią swoim językiem, są niezależni, nie ulegają ogólnie przyjętym i obowiązującym trendom.

ANNA DYMNA O RADOŚCI ŻYCIA

Kiedy byłam młoda, zgrabna, to nie zdawałam sobie sprawy z tego, jaka jestem szczęśliwa. A teraz mam 73 lata i czuję radość życia.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WKBKPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Donatella



Red

RYTUAŁY UKRYTE

Salon Goldenmark
Warszawa, pl. Konstytucji 6
do 31 lipca

Ewa Stawiarska ukończyła studia na Wydziale Sztuki Uniwersytetu Technologiczno-Humanistycznego im. Kazimierza Pułaskiego w Radomiu na kierunku grafika. Mieszka w Ostrowcu Świętokrzyskim i zajmuje się rzeźbieniem modeli paleontologicznych na podstawie skamieniałości, jej prace znajdują się w zbiorach muzealnych na całym

świecie. Artystka tworzy też w nurcie malarstwa metaforycznego. W cyklu „Arcana Ritus” każda scena, postać czy gest jest śladem tajemnych obrzędów – zapomnianych lub wymyślonych. Choć realistycznie namalowane, wprowadzają nas w atmosferę rodem ze świata fantazji, marzeń, kolorowych snów.



Nie idź w stronę światła



Lobster

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



MĘDZYNARODOWY FESTIWAL CHOPINOWSKI DUSZNIKI-ZDRÓJ



DUSZNIKI INTERNATIONAL CHOPIN PIANO FESTIVAL
1-9.08.2025

Wystąpią:

Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Narodowej - Dyrygent: Paweł KAPUŁA, Mikhail PLETNEV, Julia ŁOZOWSKA, Aristo SHAM, Sergei BABAYAN, Antoni KLECZEK, Kevin CHEN, Gabriela MONTERO, Kyohai SORITA, Krzysztof JABŁOŃSKI, Kamila SACHARZEWSKA & QUINTETTO ARDENTE, Manami SUZUKI, Aimi KOBAYASHI, Boris GILTBURG, Philipp LYNOV, Piotr ANDERSZEWSKI, Marcin ZDUNIK, Szymon NEHRING, Olga PASIECZNIK, Natalia PASIECZNIK, Yehuda PROKOPOWICZ, Mateusz DUBIEL, Krzysztof WIERCINIŃSKI, Kate LIU, Eric LU

Dyrektor artystyczny: Prof. Piotr PALECZNY

MECENASI



PARTNERZY



PATRONI MEDIALNI



PARTNER MEDIALNY



SPONSORZY



ON AIR

GDY SERCE ROZKAZUJE, PRAWDA MUSI POCZEKAĆ...



STAN WYJĄTKOWY

NOWY FILM MISTRZA CZESKIEJ KOMEDII
JANA HŘEBEJKA

W KINACH OD 25 LIPCA



AURORA